REALIA KONTRA PROPAGANDA ZEŁENSKIEGO

Bajki o wielkim biznesie na odbudowie Ukrainy



Piotr Semka ostro o próbach wybielania nazistów na zachodzie Polski



SYN PREZYDENTA DANIEL NAWROCKI Z WŁASNYM KANAŁEM NA YOUTUBE

Wojna kognitywna – jak Izrael sieje chaos

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 29/689 13–19 LIPCA 2026
CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy można im wierzyć?

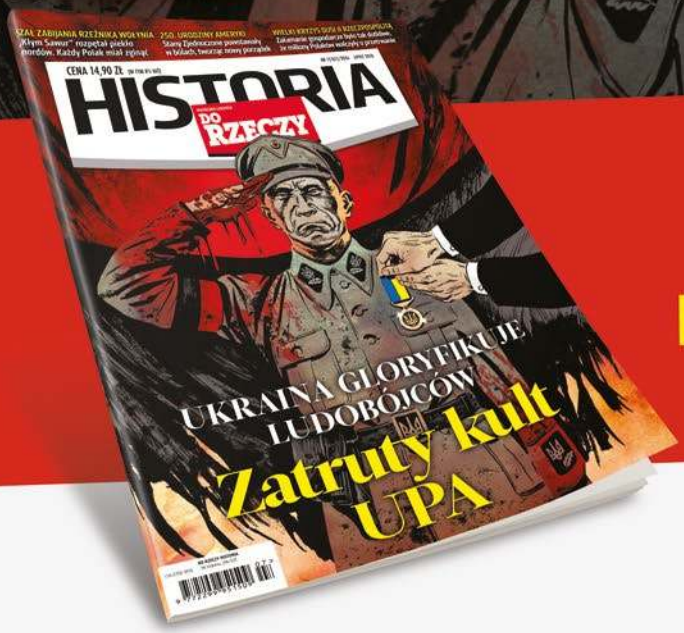


Łukasz Warzecha o meandrach polityki PiS

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KULT UPA NA KOŚCIACH POLSKICH KOBIET I DZIECI

Banderowskie kłamstwa i mity – „Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później upowcy walczyli z Sowietami – mówi prof. Damian Karol Markowski

Polsko-ukraiński żmut – Oba nasze narody splecione są bolesną historią, która bardzo poważnie rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Czy da się jeszcze zrealizować wskazania Jana Pawła II, który jasno zabrał głos w sprawie leczenia ran Polaków i Ukraińców? – zastanawia się w swoim tekście Piotr Semka

II RP przy pustym stole – „Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano na wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie »pożyczali« ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki – mówi dr Kamil Piskała, autor książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu"

Russo-Bałtem i czerwonym Fordem – Zarówno Rosja biała, jak i czerwona odnosiła pewne sukcesy na polu motoryzacyjnym. W czasach sowieckich Kreml stawał na głowie, by auto w końcu przestało być dobrem luksusowym

Promienne pióro Mistrza Ildefonsa – Jerzy Putrament słusznie zauważył, że tego poetę nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano

Na politycznym spalonym – Czterokrotnie o mundialowej absencji reprezentacji Polski nie zadecydowało boisko, lecz kwestie pozasportowe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e248126c5c



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Morał z irańskiej wojny

Nie przepadam, delikatnie to ujmując, za polityką w wydaniu Joe Bidena. Podobnie mam dużo wątpliwości co do działań jego syna, Huntera, tak w USA, jak na Ukrainie. Muszę jednak przyznać, że dawno nie ubawiłem się tak bardzo, jak czytając wpis Huntera, nominujący Donalda J. Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla. Za co? „Żaden prezydent w historii nigdy nie skończył tej samej wojny tyle razy". Oczywiście chodzi o wojnę w Iranie, którą prezydent USA skończył już pierwszego dnia absolutnym zwycięstwem, po czym kończył ją jeszcze wiele razy, zawsze taką samą wiktorią, aż wybuchła ona na nowo kilka dni temu.

Jak znowu powiedział prezydent USA, komentując nową falę walk: „Myślę, że to już koniec […]. Nie chcę już mieć z nimi nic wspólnego. To szumowiny. Wiecie, co to znaczy? To po prostu szumowiny. To chorzy ludzie [...], okrutni i agresywni ludzi. Gdyby mieli broń jądrową, użyliby jej. Z mojego punktu widzenia to już koniec. Zawieramy porozumienie. Wszyscy się zgodzili. Żadnej broni jądrowej. Zawieramy porozumienie. A oni wychodzą, rozmawiają z prasą i mówią, że nawet o tym nie rozmawialiśmy. Coś z nimi nie gra. Są szaleni" – rzucał na Irańczyków coraz mocniejsze oskarżenia prezydent USA.

Nie wiem, przykro to powiedzieć, z kim tu bardziej nie gra. O ile bowiem stanowisko Iranu zrozumieć jest łatwo, o tyle właśnie postawa Waszyngtonu robi wrażenie, używając języka prezydenta USA, szalonej. Przypomnę, że do kolejnej fali walk – USA zaatakowała 80 celów w Iranie, a Iran odpowiedział atakami na bazy USA w regionie – doszło po pogrzebie ajatollaha Chameneiego, zabitego w pierwszym dniu izraelsko-amerykańskiej wojny przeciw Iranowi. To o tyle ważne, że sam pogrzeb najwymowniej pokazał dramatyczny błąd, który popełnili Izraelczycy i Amerykanie – pod wpływem całkowicie nieprawdziwych doniesień uznali, że atak doprowadzi do natychmiastowej zmiany reżimu. Efekt, doskonale widoczny podczas uroczystości, był odwrotny. USA i Izrael, zabijając znienacka i podstępnie niektórych irańskich przywódców, jedynie wzmocniły tamtejszy system. Nieprzebrane tłumy, miliony żałobników żegnających zabitego ajatollaha doskonale to pokazały.

Jednak USA pomyliły się nie tylko w sprawie nastrojów społecznych w Iranie. Jeszcze większym błędem było niedocenienie zdolności militarnych Teheranu. Lutowa napaść była najgłupszym i najbardziej ryzykownym działaniem podjętym przez Stany Zjednoczone od lat. Jego jedynym namacalnym efektem jest to, co obecnie obserwujemy – narodziny nowego, regionalnego imperium na Bliskim Wschodzie. Przez własną pychę USA wykreowały Iran jako kolejną światową potęgę. Zabijając elitę polityczną, scementowały wokół ajatollahów cały naród. Co więcej, ostentacyjnie łamiąc reguły prawa międzynarodowego, Waszyngton uprawomocnił to, na co Iran nie mógłby sobie wcześniej pozwolić, a więc zgłoszenie roszczeń do kontroli nad cieśniną Ormuz.

W ten sposób Teheran dostał do ręki niesamowicie skuteczną broń ekonomiczną – regulując ruch przez cieśninę, przez którą przepływa 20 proc. światowej ropy transportowanej drogą morską, może dowolnie wpływać na całą światową gospodarkę. Iran może skutecznie szantażować samego Trumpa: doprowadzając do wzrostu cen ropy, ma wpływ na amerykańskich wyborców. Ci i tak są coraz bardziej do obecnego prezydenta zniechęceni. Wznowienie konfliktu pociągać może dramatyczną przegraną republikanów za kilka miesięcy i początek procesu impeachmentu Trumpa.

Najciekawsze jest to, że ta najbardziej spektakularna od czasów Wietnamu klęska USA przechodzi w Polsce niemal bez echa. Nie prowadzi do praktycznie żadnej refleksji. Ogół polskich polityków cały czas wierzy bezwzględnie w racjonalność i skuteczność działań amerykańskiego sojusznika. Dlatego polska polityka sprowadza się do wyścigów o to, kto pierwszy ogłosi, że w Polsce pojawi się stała amerykańska baza.

Utożsamienie wzrostu bezpieczeństwa Polski i stałej obecności żołnierzy USA jest niekwestionowanym dogmatem. I to mimo tego, że kilka ostatnich miesięcy wojny na Bliskim Wschodzie uczy czegoś dokładnie odwrotnego. Ani gigantyczne zakupy amerykańskiej broni, ani miliardowe inwestycje w USA nie uchroniły szejków państw arabskich od katastrofy, czyli ataków irańskich. Ba, istniejące tam stałe amerykańskie bazy stały się pierwszym i głównym celem irańskich uderzeń. Nie odstraszały i nie zapewniały bezpieczeństwa, ale – przeciwnie – przyciągały ataki i podnosiły poziom ryzyka. Wystarczy teraz popatrzeć, jak gruntownie Irańczykom udało się je rozbić. Amerykanie nie byli w stanie dotrzymać swoich zobowiązań, nic dziwnego zatem, że kolejni szejkowie, chcąc nie chcąc, próbują się porozumieć bezpośrednio z Iranem.

Wniosek jest prosty: zamiast polegać na rzekomo pewnym odstraszeniu, które zapewniają Stany Zjednoczone i obecność wojsk USA, Polska powinna prowadzić taką politykę, żeby w przypadku konfliktu Rosja – USA nie być pierwszym celem ataków Moskwy. Taki jest przynajmniej morał z niekończącej się wojny nad Zatoką Perską. ©℗

eprasa.pl e248126c5c



TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
CZY MOŻNA IM WIERZYĆ?
Meandry polityki PiS

20 ROZMOWA Z DR. TOMASZEM SOMMEREM
NIEWIARYGODNY RESET PIS W SPRAWIE UKRAINY

24 KRZYSZTOF KAWĘCKI
PANTEON ZBRODNIARZY

KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZŁAMANA MIOTŁA TUSKA
Strategie zamiatania już nie działają

29 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PASMO NAWROCKIEGO. SYN PREZYDENTA Z WŁASNYM KANAŁEM NA YOUTUBE

32 PIOTR SEMKA
INTRYGUJĄCY NAZIŚCI, CZYLI WYBIELANIE Z BRUNATNEJ FARBY

KULTURA

36 FILIP MEMCHES
MUZYKA PRZECIW DEMOKRACJI
Nieoczywista „apolityczność" Thomasa Manna

38 PIOTR GOCIEK
KAŻDEMU JEGO HISTORIĘ

40 GRZEGORZ KONDRASIUK
REWOLUCJA U BRAM PO ŚLĄSKU

41 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SĄ SPRAWY NAJWAŻNIEJSZE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 WOJCIECH GOLONKA
REALIA KONTRA PROPAGANDA ZEŁENSKIEGO
Bajki o wielkim biznesie na odbudowie Ukrainy

48 ADAM WIELOMSKI
FORTEPIANY DMOWSKIEGO

50 ROZMOWA Z DR. HAB. MICHAŁEM CHABERKIEM OP
JAK POWSTAŁ ŚWIAT

HISTORIA

52 ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM ROSZKOWSKIM
GWIAŹDZISTY SZTANDAR
250 lat Stanów Zjednoczonych Ameryki

56 ROZMOWA Z SEBASTIANEM REŃCĄ
„KRÓL" MOJŻESZ I JEGO OKUPACYJNY „EDEN"

ŚWIAT

60 WITOLD REPETOWICZ
JAK IZRAEL SIEJE CHAOS
Wojna kognitywna

63 MACIEJ PIECZYŃSKI
NOWA ELITA ROSJI

66 JAN BOGATKO
KLĘSKA NIEMIECKICH KOLEI

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
CHIŃSKA REWOLUCJA
Innowacje z Państwa Środka

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
GRA O PIŁKARSKIE SZATY
Jak się ubierają uczestnicy mundialu

LATO Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
ZATOKA ŚPIĄCEGO SMOKA
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Ha Long

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl e248126c5c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Domiński/Reporter**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraszy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Orzeł wylądował", Jerzy Karwelis, „DRz" nr 24/2026

To w kontekście odebrania Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy. Ponoć „temat Orderu Orła Białego jest już tak spalony prestiżowo", że w konkluzji Autor proponuje likwidację instytucji Orderu Orła Białego, a w jego miejsce „stworzenie nowego, czystego formatu nagradzania – uwaga! wyłącznie Polaków – innym odznaczeniem".

W 1831 r. po zdławieniu Powstania Listopadowego przez Rosję car Mikołaj I rozdał ponad 100 tysięcy krzyży Virtuti Militari swemu wojsku, które brało udział w „uśmierzeniu buntu Polaków". Nawet tym żołdakom, którzy tylko znajdowali się w tym czasie na terytorium Królestwa Polskiego, a bezpośredniego udziału w walce nie mieli. Spalił prestiżowo order? Niewątpliwie. Co uczyniła odrodzona Rzeczpospolita po odzyskaniu niepodległości? Przywróciła Virtuti Militari jako najwyższą nagrodę dla żołnierza polskiego. Bo cnota (virtuti) nie została zhańbiona, pozostała czysta, to car zhańbił się swą decyzją.

Orderowi Orła Białego patronuje biały herbowy Orzeł Rzeczypospolitej. Żadne nadania go nie zhańbiły i nie poniżą, hańbią się ci, co się okazali jego niegodnym.

Przy okazji: odznaki orderu nie wiesza się na szyi; krzyż orderowy noszony jest na wstędze zakładanej przez pierś.

Z pozdrowieniami dla całej „Rzeczy"
Tadeusz Jeziorowski

A więc można!

Szanowna Redakcjo,
polemika dotycząca polityki Polski wobec Rosji panów Adama Wielomskiego i Piotra Semki nasuwa jeden w miarę optymistyczny wniosek – mianowicie taki, że o tym w ogóle wreszcie można podyskutować. Wniosek smutniejszy – taka dyskusja może odbyć się jedynie w „Do Rzeczy" lub na niektórych forach internetowych. Nie ma na nią miejsca w przestrzeni publicznej, politycznej, o parlamentarnej nie wspominając. Telewizje popierające obecny rząd lub zachowujące „neutralność" starannie unikają tego tematu. Nadawcy tzw. prawicowi, jak np. wPolsce24 lub Republika, zajmują zdecydowanie antyrosyjskie stanowisko, nie dopuszczając do żadnej dyskusji. Zwłaszcza TV Republika wręcz żyje antyrosyjskością, promując nieustannie wydawnictwa „demaskujące" Donalda Tuska jako „reseciarza" stosunków z Rosją, co ma być – według tej stacji – jednym z koronnych argumentów do usunięcia jego rządu. [...] Można mieć jedynie nadzieję, że słabnący PiS będzie tracił poparcie na rzecz obu Konfederacji i być może po kolejnych wyborach powstanie rząd, który przestanie kierować się fobiami, a zwycięży w nim chłodny rozsądek i polityczny realizm. Oby.

Inaczej dalej będziemy błądzili po omacku w surrealistycznym zbożu, bo „we wsi Moskal stoi".

Z poważaniem
Leszek Sebesta

„Treść życia Tolkiena", rozmowa z dr Holly Ordway, „DRz" nr 28/2026

[...] Chciałbym w ramach uzupełnienia tej pasjonującej lektury podzielić się z Redakcją oraz Czytelnikami pewną ciekawostką, która idealnie obrazuje, jak głęboko katolicka pobożność Tolkiena przenikała się z jego geniuszem filologicznym oraz pracą nad Śródziemiem. Otóż Tolkien dokonał pieczołowitego przekładu najważniejszych tradycyjnych modlitw Kościoła na stworzony przez siebie, najbardziej dostojny język elfów wysokiego rodu – Quenya. Wśród jego prywatnych zapisków lingwistycznych odnaleziono (i opublikowano) kompletne, niezwykle poetyckie wersje modlitwy „Ojcze nasz" (w języku elfów: „Átaremma") oraz Pozdrowienia Anielskiego „Zdrowaś Maryjo" (w języku elfów: „Aia María"). Profesor przełożył również m.in. apostolskie wyznanie wiary (Credo) oraz modlitwę „Pod Twoją Obronę" („Sub Tuum Praesidium") [...].

Z wyrazami głębokiego szacunku,
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl e248126c5c

NA PIERWSZY OGIEŃ

Polska krew w czeski piach



PIOTR SEMKA

Nad Wisłą niewielu osobom coś mówi nazwisko pisarza Aloisa Jiráska. Nic dziwnego. Choć ten pisarz odgrywa dla Czechów rolę podobną do tej, którą u nas odegrał Henryk Sienkiewicz, to jego cykl eposów o wojnach husyckich nie wzbudza w Polsce specjalnego zainteresowania. Na dodatek dzieła mistrza oblane są zjadliwym, antykatolickim sosem, co nad Wisłą niespecjalnie zachęcało – oprócz lat stalinowskich – do tłumaczeń. Ale jest w twórczości Jiráska jedna wzruszająca nas nowelka „Gość" o epizodzie sprzed dokładnie 160 lat.

Jirásek miał 15 lat, gdy w czerwcu 1866 r. wybuchła wojna austriacko-pruska. Wywołał ją kanclerz Otto von Bismarck, który chciał zmiażdżyć opór Wiednia przeciwko zjednoczeniu Niemiec pod batutą Prus. Jirásek pochodził z okolic czeskiego miasta Nachod. Wybrał się na pobliski trakt, aby przyjrzeć się wkraczającym do Czech Prusakom. Zupełnie przypadkowo usłyszał, jak dwaj pruscy żołnierze wołają do siebie w brzmiącym znajomo języku. Tak młody Czech poznał Stanisława, Polaka w kajzerowskim mundurze. Zaproszony na obiad do domu Jiráska Polak zobaczył na półce egzemplarz „Kordiana" Słowackiego i z zaciekawieniem czytał znajome frazy po czesku. Wskazał na swoją pikielhaubę: „Widzisz mój hełm z orłem, którego nienawidzę? Mnie śni się polski orzeł...".

Do spotkania doszło tuż przed bitwą pod Nachodem 27 czerwca 1866 r. Po tym starciu pobojowisko zasłane było poległymi. Traf chciał, że młody Jirásek odnalazł na polu bitwy ciało zabitego Polaka. Na pamiątkę zabrał tomik „Konrada Wallenroda" Mickiewicza, który Polak miał przy sobie, i stary zegarek pokryty zaschniętą krwią. Czeski pisarz zachował te dwa przedmioty z czcią jako relikwie. Były dla niego symbolem strasznego losu dwóch bratnich narodów słowiańskich. Zniewolonych ludów, których synowie ginęli w nieswoich wojnach dwóch rywalizujących teutońskich władców. Za ich spory płacili życiem młodzi Polacy i Czesi.

Opowiadanie Aloisa Jiráska przypomniało mi się 3 lipca br., kiedy przypadła 160. rocznica znacznie krwawszej bitwy pod Sadową, 50 km od Nachodu. Zderzyło się tam 255 tys. żołnierzy pruskich z 210 tys. austriackich. Prusacy stracili 2 tys. zabitych, a Austriacy odnotowali 5,7 tys. ofiar. Armia Wilhelma I wygrała, bo miała nowocześniejsze karabiny Dreyse.

Polacy ginęli po obu stronach. Z Wielkopolski wywodziły się pruski 58. poznański pułk piechoty, 7. zachodniopruski pułk grenadierów oraz 37. zachodniopruski pułk fizylierów. Z kolei najwięcej Polaków służyło w austriackich korpusach, do których trafiali rekruci z Galicji – 1., 2., 6., 8. i 10. O tej tragedii pisał gorzko Cyprian Kamil Norwid do swego przyjaciela Józefa Bogdana Zaleskiego: „Pod Sadową głównie wygrali Polacy – ułany poznańskie, bijąc się i mordując z Polakami (ułany galicyjskie)". ©℗



FOT. KWP RADOM

NAJPIERW ZABRALI, PÓŹNIEJ ROZBILI

Tylko cztery miesiące cieszyli się policjanci Mustangiem GT, którego skonfiskowali pijanemu kierowcy. W ubiegły czwartek w Milejowicach (woj. mazowieckie) Mustang został rozbity o płot prywatnej posesji. Jak do tego doszło? Według policyjnej wersji winna jest kierująca VW, która rozpoczęła manewr skrętu w lewo i nie ustąpiła pierwszeństwa policjantom wyprzedzającym (na sygnałach) inne pojazdy. Nikomu nic się nie stało. Kobieta została ukarana mandatem w wysokości 2 tys. zł i 10 punktami karnymi. Czy Mustang nadaje się do wyklepania? Nie wiadomo. ***(raw)*** ©℗

TRUMP VS FUTBOL – 1:0

Donald Trump uznał, że Folarin Balogun, napastnik reprezentacji USA, niesłusznie obejrzał czerwoną kartkę w meczu z Bośnią i Hercegowiną (USA wygrały 2:0), chwycił więc za telefon, by poinformować Gianniego Infantino, co myśli o decyzji sędziego. I choć prezes FIFA zarzeka się, że rozmowa z Trumpem nie była tego powodem, to wykonanie kary zawieszono, a Balogun zagrał w jednej ósmej finału mundialu z Belgią (1:4 dla Belgii). Futbolowy świat zakipiał z oburzenia, ale politycy w ojczyźnie futbolu poczuli krew i też interweniowali w FIFA w sprawie swojego zawodnika, który miał pauzować w sobotnim meczu Anglii z Norwegią. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl e248126c5c

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl e248126c5c



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niejęzyk

Ziemkiewicz wciąż nie przeprosił Kaszubów! ” – wyskoczyło mi nagle z Google. Dlaczego niby miałbym przepraszać Kaszubów? Jeśli już, to raczej od nich można by żądać przeprosin – za Tuska. Nie mówię, że ich winię, wszędzie mógł się ktoś taki pojawić. Ale czego się ktoś tam czepia mnie?

Otóż, okazało się, przeprosin domagają się ode mnie regionalni działacze, za to że w jakiejś internetowej dyskusji zwróciłem uwagę, iż nie ma „języka kaszubskiego”, tylko „gwara kaszubska”, jeden z wielu dialektów polszczyzny. Napisałem to, oczywiście, jako polonista, kierując się wiedzą nabytą w czasie studiów. Wytknięto mi, że w tzw. międzyczasie weszła w życie ustawa sejmowa, na mocy której mowa kaszubska jest „językiem regionalnym”. Faktycznie, umknęło mi to. Domyślam się, że z tej ustawy wynikają jakieś finansowe obrywy na pielęgnowanie „języka regionalnego”, wydawanie w nim broszur etc. i tym należy tłumaczyć domagających się przeprosin aktywistów.

Cóż, gdyby Sejm przyjął ustawę, że Księżyc nie jest satelitą Ziemi, tylko pełnoprawną, osobną planetą – z punktu widzenia astronoma nic by to nie zmieniało. Fakt, że mowa kaszubska ze wszystkich dialektów polszczyzny najbardziej od niej odbiega, głównie w fonetyce, i są językoznawcy skłonni uważać ją za osobny język, ale to fachowe, bardzo niszowe spory i nie po to zwracam na niedoszłe przeprosiny uwagę, by je referować. Jakkolwiek bowiem kto uważa, język regionalny czy gwara, żadna z tych opcji nie jest dla nikogo zniewagą.

Uważać, że odmawianie mowie kaszubskiej rangi osobnego języka jest jakąś obrazą, dyskryminacją, czymś, za co należy przepraszać, to myślenie nie tylko aberracyjne, lecz także niebezpieczne. Nie słyszałem niczego złego o wielbicielach kaszubskości i mam nadzieję, że nie ma w nich antypolskiego jadu – ale np. „ślązakowcy” bywają go pełni. Dla wielu z nich walka o urzędowe uznanie gwary śląskiej za „język śląski” to jeden z etapów uznania Śląska za osobny kraj, a potem za część Wielkich Niemiec. I tu się kończą niszowe spory językoznawców. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Strach się leczyć

Wszystko to, co zaczęło się od afery Szpitala Południowego, wygląda tak, jakby ktoś nagle zdarł zasłonę. Niemal co dzień na jaw wychodzą kolejne skandale. Ośmieleni ujawnionymi patologiami sygnaliści postanowili przerwać zmowę milczenia. Tak oto bulwersujące praktyki, będące do tej pory indywidualnym doświadczeniem pacjentów czy skrywaną wiedzą branżową, nagle wtargnęły na czołówki medialnych doniesień. I nie chodzi tu tylko o astronomiczne kwoty wyłudzane z systemu przez ewidentnych oszustów i zaradnych cwaniaczków (w tej grupie jest także minister Sobierajska-Grenda), choć skoro lekarze okradali szpitale, to przecież brak pieniędzy odczuli pacjenci. Groźniejsze są znieczulica i skrajny brak empatii.

Przykładem jest choćby świadectwo dziennikarza Witolda Jurasza, który przez dwa kolejne dni spędzał na SOR Szpitala Południowego ze swoją 84-letnią mamą po kilkanaście godzin, gdzie w końcu usłyszał, że dzieje się tak, ponieważ tylko jeden lekarz przyjmuje, mimo że na wielu oddziałach są inni lekarze. Co więcej, jak wyznał lekarz: „Mają oni w umowach wpisany obowiązek schodzenia z oddziałów na SOR, ale tego nie robią, bo im się nie chce”. Zważywszy, że od 2025 r. obowiązują nowe regulacje dotyczące zakazu stosowania terapii daremnej, takie doniesienia muszą budzić trwogę. Znowelizowany Kodeks Etyki Lekarskiej zabrania stosowania procedur, „które nie przynoszą korzyści pacjentowi u kresu życia”, a decyzja o uznaniu terapii za daremną należy do zespołu leczącego. Według wielu lekarzy wytyczne w tym zakresie są nieprecyzyjne, pozostawiają uznaniu lekarza kluczowe decyzje dotyczące życia i śmierci pacjenta. Otwiera to furtkę do „legalnej” eutanazji. Ufam, że większość lekarzy to ludzie wysokich standardów moralnych, ale niestety nie można wykluczyć, że o naszym losie będzie decydował ktoś podobny do „bohaterów” ujawnianych afer. ©℗

eprasa.pl e248126c5c

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Wężykiem, wężykiem...



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Bezwzględnie należy odsunąć PiS od władzy. O konieczności radykalnych działań przypomniał społeczeństwu prof. Ireneusz Kamiński, socjolog zresztą. Stop. W trakcie wywiadu w Polsacie redaktor Szubartowicz pytał go o zataczającą coraz szersze kręgi aferę w służbie zdrowia, która może pogrążyć Koalicję Obywatelską. Stop. Pan profesor wyjaśnił nam przekonująco, że wcale, że nie, a nawet, że a skąd. Stop. Że nie jest to wina Tuska czy Koalicji, tylko po pierwsze systemu (może trzeba posadzić system, ale tego profesor nie przesądził), a po drugie i ważniejsze: „To jest oczywiście wina PiS" – skończył, żeby nikt nie miał wątpliwości. Stop. Minęło kilka dni i ani Kaczyński, ani Czarnek nie zapowiedzieli zmian w rządzie i zdymisjonowania winnych. Stop. No luuudzie.

Trwa stronniczy konkurs „Znajdź szpital, w którym nie pracował Dawidek z KO". Stop. Wszystko to przez to, że – jak się okazało – pracował nie tylko w warszawskich szpitalach, lecz także w szpitalu w Częstochowie. Stop. I teraz podam państwu informację kompletnie bez sensu, ale za to nie ma to nic do rzeczy, to znaczy do sprawy, o której tu informuję. Stop. Otóż dyrektorem szpitala w Częstochowie, w którym też pracował Dawid Kacprzyk, była Beata Pochodnia, która należy do Koalicji Obywatelskiej, startowała do Sejmu, ale się jej nie udało. Stop. Za to udało się jej rządzić szpitalem i zatrudnić Dawidka, traf chciał, że też z Koalicji Obywatelskiej. Stop. Nie mam pojęcia, po co to napisałem.

Minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda wystąpiła na konferencji prasowej. W trosce o czas dziennikarzy i opinii publicznej mówiła bardzo esencjonalnie, lakonicznie wręcz, co bardzo nam się podoba. Stop. Podam przykłady: na pytanie, czemu nie ustąpi ze stanowiska po tylu gigantycznych wpadkach służby zdrowia, odpowiedziała, że ma kontrakt. Na kolejne, dlaczego będąc ministrem i biorąc ministerialną pensję, wydoiła też szpital z pół miliona złotych za jakiś nibyzakaz konkurencji, odpowiedziała, że wydała w tej sprawie oświadczenie. Stop.

Nie wykluczałbym, że osoba tak elokwentna na następną konferencję przyprowadzi kogoś, kto konferencję zacznie, zwracając się do dziennikarzy parafrazą ze skeczu Gołasa z Kobuszewskim z Kabaretu Dudek: „Oni to mogą pani minister skoczyć tam, gdzie mogą panią minister w d... pocałować". Stop. Wężykiem, wężykiem... ©℗

eprasa.pl e248126c5c



GWIAZDOBZDUR

INTERNETOWA LEKARKA DUSZ

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

Czy ktoś może mieć gorszą prasę niż lekarze, którzy w ostatnich tygodniach stali się symbolem „dojenia" państwa (niestety, kilka czarnych owiec wystarczy, by dorobić gębę całemu środowisku)? Zadanie niełatwe, ale na posterunku meldują się influencerzy. A dokładniej makijażowa youtuberka Agnieszka Grzelak. Stwierdziła, że... influencerzy ratują ludziom życie. – Przez to, że jestem „dinozaurem" i mam doświadczenie [w Internecie – przyp. red.], wiele razy słyszałam od was taki feedback na żywo – rozpoczęła Grzelak. – Wiadomo, zawód lekarza jest bardziej poważany i jest to zawód od wieków. I oby tak było. To zawód, który realnie ratuje życie, i ja to totalnie rozumiem. Ale nawet my



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/EAST NEWS

nie wiemy, ile żyć mogłyśmy uratować nieświadomie [...]. My czasami, wiem, że teraz robię z tego patetyczną, wielką sprawę, ale naprawdę z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nieraz słyszałam od osób, które miały bardzo ciężki okres w życiu, nawet depresyjny – było im bardzo ciężko i nie miały ochoty na nic innego, niż tylko leżeć i tam zostać. Słyszałam, że w tych najtrudniejszych momentach, gdy ktoś włączał jakieś moje głupotki, pomagało to jego mózgowi przełączyć się na inny tryb, może trochę luźniejszy. Taki, żeby się uśmiechnąć, żeby się bezwarunkowo zaśmiać. Po prostu tym osobom robiło się lżej i potrafiły przejść przez ciężki okres w swoim życiu – opowiadała w podcaście „SISTRS".

– Wiem, że użyłam tu mocnego słowa – depresja – ale to jest to, co słyszałam od moich widzów. Takie komentarze pojawiają się też pod naszym podcastem – zakończyła. Są takie wypowiedzi, które komentują się same. Oto jedna z nich.

UCIŚNIONA CZY NIE?

Inba aktorska. Oskar Wojciechowski, mąż aktorkoinfluencerki Klaudii Halejcio, w programie Magdy Mołek chwalił się, że to on zachęcił ukochaną do wymiany teatru na działalność influencerską. – To ja zniechęciłem Klaudię do teatru. Klaudia zaczęła kręcić na Instagramie kampanię i mówię jej: „Zobacz, z tego jest tak, ludzie to lubią, ludzie to oglądają. No, ja rozumiem, teatr...". Ona mi tysiąc historii sprzedała, dlaczego ten teatr jest ważny, ale średnio mnie interesowały te argumenty i sama dopiero z czasem zrozumiała, że można to odłożyć zupełnie na półkę – ogłosił. Te słowa wywołały burzę. Głos w komentarzu postanowiła zabrać Katarzyna Zielińska, która zasugerowała, że ukochany Halejcio nie pozwala jej na realizację aktorskich ambicji. „Smutne bardzo. Zamiast być skrzydłami dla swojej żony i wspierać ją w talencie. Jestem przerażona tymi wypowiedziami" – stwierdziła. Halejcio postanowiła stanąć w obronie ukochanego i odpowiedzieć Zielińskiej. „No więc wszyscy wiecie, że od siedmiu lat nie gram w teatrze, i naprawdę śmieszy mnie to dzisiaj, że nagle pojawiły się osoby, które piszą, jak bardzo jej szkoda mojego talentu, że jak jest przykro, że nie gram w teatrze, Gdzie byłaś, Kasiu, siedem lat temu? Dzisiaj postanowiłaś wypowiedzieć się o tym, jak bardzo szkoda ci, że nie ma mnie w teatrze. Dlaczego ważna jest tak dla ciebie sztuka? Akurat w dniu mojego ślubu nagle wszyscy zaczęli się interesować moją karierą. Bardzo dziwne. Najbardziej zaskakujące są twoje wpisy, Kasiu, przeplatane blokami reklamowymi. Mówisz o sztuce, teatrze, jak bardzo ważna jest, a za chwilę hasło: »Na Kasia15 maseczka na twarz«. Naprawdę? I ty chcesz mi powiedzieć, że to jest ważne?" – oburza się celebrytka. „Prawda wygląda zupełnie inaczej, bo to była moja decyzja. To ja bałam się zrobić krok w nieznane. Bałam się odejść od czegoś, co znałam ileś lat, i właśnie wtedy pojawił się Oskar. Powiedział mi: »Słuchaj, nie musisz«. Nie zabrał mnie on z teatru, nie zabrał mi marzeń. On zrobił coś dużo większego. Uwierzył we mnie bardziej, niż ja potrafiłam uwierzyć w samą siebie" – przekonuje Halejcio. Zaznaczyła, że nigdy nie porzuciła swoich marzeń za namową męża, a dziś czuje się szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej.

„TAK" DLA SIEBIE

Prezenterka Joanna Racewicz dokonała aktu samozaślubin. Nie, to nie żarty, tak było. „Nie wiem, kiedy zaczęłam od siebie odchodzić. Może wtedy, kiedy ważniejsze stało się to, czego oczekują inni. Albo kiedy uczyłam się być dzielna. Lata pogoni, przymusu, wymagań, ocen, krytyki" – napisała na Instagramie. Opublikowała też nagranie, na którym widzimy dziennikarkę w białej sukience z towarzyszącymi jej kobietami, również w bieli. „Samoślub" wywołał niemałe poruszenie, więc Racewicz zdecydowała się zabrać głos w tej sprawie. Wyjaśniła, że „ślub ze sobą" to symbol o terapeutycznym znaczeniu. „Powiedzenie sobie »tak« nie oznacza »nie« dla świata. To nie jest celibat ani manifest, że nikogo mi nie trzeba. To nie jest też wyrzeczenie się życia. Nie ma w tym akcie niczego wrogiego wobec mężczyzn. Żadnego z nich. Nie rzucam wyzwania Bogu, religii ani sakramentom. Przeciwnie. Nigdy nie byłam bliżej miłości jak tego dnia" – tłumaczy. „Pozwólcie, że powiem coś bardzo wyraźnie: [...] ten ślub nie był przeciwko nikomu, nie jest przeciwko instytucji małżeństwa, nie jest przeciwko mężczyznom, nie jest przeciwko Bogu. Jest za kimś. Za mną, za wszystkimi kobietami, które zdecydowały się powiedzieć sobie »tak« po wielu latach unieważniania" – wyznała. Szczęścia... Pannie młodej? ©℗

eprasa.pl e248126c5c

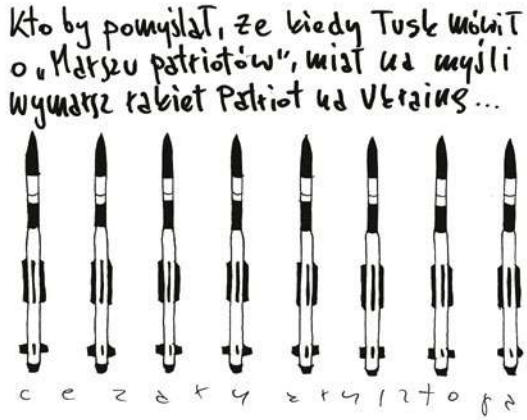


MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, już niemal połowa lipca, ale wiemy, iż wielu z was jeszcze pewnie wyrabia w korpo ostatnie KPI przed wyjazdem na urlop i dopiero będzie planować wymarzony wypoczynek. Chwała Unii, że macie nas, iż przygotowaliśmy dla was krótki niestandardowy poradnik dotyczący tego, jak się na urlopie zachowywać, czego unikać (spoiler: Polaków, ale nie tylko), aby nie wyjść przed południowo-zachodnią Europą na wąsatego janusza z Podkarpacia.

Przede wszystkim: w rozmowach z frendami z pracy na open spejsie przestańcie mówić, że jedziecie „odpocząć". To brzmi tak, jakby praca nie była dla was przyjemnością, a nawet gorzej – brzmi jak słabość, iż nie potraficie właściwie alokować zasobów, tak że praca was męczy i potrzebujecie resetu. Obecnie nowoczesny pracownik z aktywnym kontem na LinkedInie jedzie raczej regenerować zasoby, wyregulować układ nerwowy i dostroić go do swojej natury, odzyskać kontakt umysłu z ciałem, praktykować uważność i budować zdrową relację z samym sobą. Na takiej postawie buduje się kapitał do postów i przemyśleń na LinkedInie, którymi zacrindżujecie swój kolektyw.

Druga sprawa to wybrana przez was destynacja. Nie mówimy już o miejscówkach – tak mówią starsi millennialsi. Niestety, obserwujemy, iż wiele osób nadal wybiera swoje destynacje wyłącznie dlatego, że obejrzeli fajną rolkę na fejsie. Jednak trzeba mieć świadomość, iż tę samą rolkę mogły widzieć tysiące Polaków, którzy również udali się w to miejsce. W obecnym świecie trzeba być



tym, który kręci rolki i kszałtuje trendy, a więc jakieś nieodkryte przestrzenie jak mołdawskie lasy zdają się być świetnym wyborem.

Kolejna kwestia to zdjęcia z wyjazdu. Serio, warto przejrzeć, co publikują inni, aby później nie powielać ich błędów typu wrzucanie wyłącznie zdjęć z plaży, z muzeum czy z kawiarni. Znajdźcie jakiś nieodkryty obiekt, np. skrytą w głębi mołdawskiego lasu manufakturę soku z ostrężyny, zróbcie zdjęcie kolektywowi, który go przygotowuje, pokażcie historię osoby, a nie ganiajcie wyłącznie za lajkami na Insta. Te zdobędziecie łatwo zdjęciem kolacji z kieliszkiem wina i podpisem „chill".

A jeżeli jesteśmy już przy restauracjach. Naszym zdaniem lepiej nie pytać miejscowych o restauracje i nie chodzić jeść tam, gdzie oni, iż jest to kulturowe zawłaszczanie tak charakterystyczne dla ludzi Zachodu, do którego dzięki właściwym zachowaniom wyborczym przecież się zaliczacie. A zatem obserwujcie, ale nie naśladujcie, pozwólcie im zachować ich kulturę dla siebie, a jak przez kilka dni zjecie sałatkę z maka, to nic wam się nie stanie.

W trakcie wakacji nie warto zapominać, iż jesteście ludźmi kultury, warto więc zabrać ze sobą książkę, która mimochodem znajdzie się na waszych zdjęciach, którą będziecie nosić na plażę lub kłaść przed sobą na stolikach w restauracji. Oczywiście wystarczy wam jedna na kolektyw, spokojnie, przecież nikt nie będzie miał czasu jej czytać.

A na koniec chcielibyśmy zaapelować do was o czujność i refleks przy planowaniu przyszłorocznych urlopów, bo w końcu jak wrócicie, trzeba będzie to zrobić na 2027, iżby wyprzedzić z najlepszymi terminami innych w korpo xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Musisz się zatrudnić w szpitalu jako salowa

Jola, trzeba efektownie zadziałać. Dobry PR to podstawa!
No ale to co ja mam robić, Donald? Z lekarzami się spotkałam, mogę niby się jeszcze z pacjentami spotkać. Ale skąd ich wziąć?

Dobry pomysł. Pacjentów my ci zorganizujemy, mamy taką agencję, co jak trzeba, to dostarczy i pacjentów, i przedsiębiorców, i przypadkowych przechodniów. Ale to za mało.
To co mam jeszcze robić?

Musisz się zatrudnić w szpitalu jako salowa, przykro mi.
Ale że jak?

Normalnie. Na jeden dzień. Spokojnie, z tej samej agencji zorganizujemy ci niekłopotliwych chorych. Całkowicie zdrowych. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] kiedy dziś badamy język, którym mówią dzisiejsi przeciwnicy Unii Europejskiej, to widzimy, że mamy do czynienia z dziwnym skrzyżowaniem języka faszystowskiego z językiem bolszewickim".

ADAM MICHNIK, *redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", podczas swojego wykładu w Paryżu*

eprasa.pl e248126c5c

dwaj panowie g

Zaczniemy od PiS, choć wolelibyśmy od Bacha. Działalność STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus) Mateusza Morawieckiego jest śledzona bardzo uważnie. Do tego stopnia, że powołany został tajny, nieformalny, wąski zespół, który zbiera wypowiedzi medialne Ojca Mateusza, jego odzywki z mityngów publicznych, a nawet to, co mówi w prywatnych rozmowach. W ten sposób powstaje biała… tfu, chcieliśmy powiedzieć: czarna księga Morawieckiego. Zespołem kieruje Elżbieta Witek.



FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Celem działania zespołu do spraw przyłapania Morawieckiego jest, cóż, przyłapanie Morawieckiego. Znaczy udowodnienie na podstawie zebranego obfitego materiału, że życzy on źle partii matce, dba jedynie o swój STROP i w ogóle jest złym człowiekiem. To znaczy, złym PiS-owcem. W sumie to to samo.

Ciąg dalszy tej historii odbywa się w Brukseli, a czasem w Strasburgu. Otóż, jak wiedzą niektórzy, europosłowie jako ludzie dobrze zarabiający są zobowiązani do dobrowolnego przekazywania na partię matkę funduszy. Nie wszystkich. Części. Tymczasem – jak twierdzą ludzie powiązani z frakcją maślarzy – ludzie Morawieckiego z europarlamentu ignorują tę przyjazną sugestię. Maślarze ze szczególnym upodobaniem wymieniają nazwiska Buda, Dworczyk, Mularczyk. Naczelnik nie jest zadowolony. Z drugiej strony, konia z rzędem komuś, kto widział zadowolonego Naczelnika.

Wogóle w europarlamencie nastroje wewnątrz PiS nie są najciekawsze. Doszły do nas ohydne plotki, jakoby jedna z europosłanek w restauracji dla MEP-ów w Strasburgu zagroziła, że da z liścia pewnemu europosłowi. My w sumie jesteśmy za tym, żeby konflikty rozwiązywać na miejscu. Więc żałujemy, że skończyło się na gadaniu.

Apropos wspomnianej europarlamentarnej restauracji. Z dużym zainteresowaniem osoby postronne śledziły rozmowę, do której doszło tam między Grzegorzem Braunem a Karolem Karskim. Zwłaszcza że ten ostatni nie jest już europosłem, więc europarlament nie jest dla niego naturalnym otoczeniem. Wywołało to wiele spekulacji na temat oficjalnej linii PiS („z Braunem nigdy nie wejdziemy w koalicję") oraz możliwości istnienia linii nieoficjalnej.

Wracamy do Polski, na Nowogrodzką. Przychodzą tam różni ludzie. Zwykle coś załatwić. Jak twierdzą wiewiórki, wśród tych ludzi pojawił się ostatnio Jacek Kurski, znany kiedyś jako pan od telewizji. Otóż rzeczony Jacek, znany też jako Kura, pojawił się z atrakcyjną propozycją: byłby gotów w przyszłym rządzie objąć stanowisko ministra spraw wewnętrznych i administracji. Propozycja okazała się atrakcyjna tylko dla jednej ze stron. Druga strona była głównie zdziwiona.

Jeszcze o Morawieckim. W wywiadzie u Żurnalisty chwalił się, jaki z niego równy, PiS-owski chłop: „Jeżdżę na ogniska, piję piwo, jem dzika, śpiewam piosenki z harcerzami". Tak powiedział. Cóż, gdyby był naprawdę swojski, to piłby wino, a nie piwo, jadł serek Almette na śniadanie, mieszkał w willi na Żoliborzu i śpiewał lwowskie piosenki. Być może jesteśmy niesprawiedliwi. Ale to tylko dlatego, że widzieliśmy na własne oczy, jak naczelnik pije wino oraz śpiewa lwowskie piosenki. Natomiast nie widzieliśmy Morawieckiego jedzącego dzika i pijącego piwo.

Apropos rozmaitych przedsięwzięć towarzyskich. Kilka tygodni temu Polskę odwiedził Jordan Bardella, młoda gwiazda francuskiej prawicy. Paweł Szefernaker przyjmował go po królewsku: wystawna kolacja, pogadu-

eprasa.pl e248126c5c

chy, a nawet program specjalny: wyjazd na granicę polsko-białoruską w ramach wizji lokalnej. My to rozumiemy. Któż nie chciałby się zakumplować z przyszłym prezydentem Francji. A przynajmniej z kandydatem na prezydenta. Niestety, okazało się, że Bardella nie będzie kandydował, gdyż po ostatniej decyzji sądu będzie to mogła zrobić Marine Le Pen. Znajomość się jednak nie zmarnuje, Bardella może za to zostać premierem.

Jeszcze o Francji – sytuacja jest bardzo ciekawa. Ponieważ podczas banicji nałożonej na Marine Le Pen pan Bardella wyrobił sobie naprawdę sporą popularność. I miał duże szanse na zwycięstwo. Nagła zmiana decyzji w sprawie Le Pen sprawiła, że zamiast Bardelli kandyduje polityk, o której już trochę zapomniano, która w dodatku nie może prowadzić normalnej kampanii, bo ma dozór, to znaczy bransoletkę elektroniczną. Uczcie się, panie Tusk, od Emmanuela Macrona, jak się umiejętnie wykorzystuje do swoich celów wymiar sprawiedliwości.

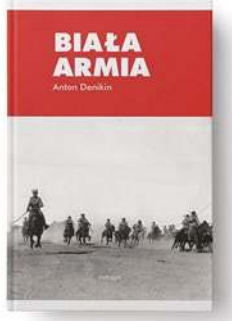
Tymczasem w koalicji. „Z was się śmieję" – ta nieśmiertelna fraza Żorża Ponimirskiego z „Kariery Nikodem Dyzmy" przychodzi nam na myśl, kiedy słyszymy, że to Magdalena Sobkowiak-Czarnecka miałaby zastąpić Donalda Tuska na fotelu premiera. Przyznamy, że choć jako pierwsi podaliśmy tę wiadomość przed wieloma tygodniami, to traktowaliśmy ją jak ponury żart. Jednak coraz częściej słyszymy, że rzeczywiście jest to brane pod uwagę. Jedyne dwa powody tej nominacji, które nam przychodzą do głowy, to fakt, że uosabia koalicję rządzącą. Przez całe jej dziennikarskie życie była holowana przez PSL, by pod jego koniec zaprzyjaźnić się z Pawłem Grasiem i przeskoczyć do polityki. Innych osiągnięć tej pani nie kojarzymy.

Skoro już jesteśmy przy pani, której powierzono los programu SAFE, to zajmijmy się uzbrojeniem A konkretnie rakietami do Patriotów przekazanymi Ukrainie. Ustaliliśmy, że było to zaledwie pięć sztuk, czyli niewielki odsetek tego, co mamy. Ich zaletą miała być możliwość strącania Iskanderów lecących na Polskę z obwodu kaliningradzkiego. No i tu problem. Otóż, jak twierdzą wojskowe wiewiórki, na Ukrainie udaje się Patriotami strącić jedynie co czwartego Iskandera. Militarne wiewiórki mówią, że Polska powinna zabiegać u dobrego wujka Donalda z Waszyngtonu o znacznie skuteczniejszy system THAAD.

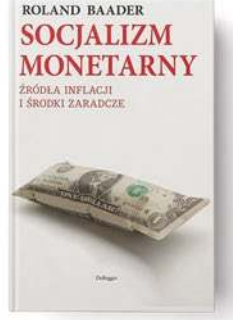
Radek po powrocie z Ankary, dokąd na szczyt NATO łaskawie zabrał go prezydent Karol Tadeusz, postanowił wyrzygać się na portalu iksik na swojego dobrodzieja. Nas to nie dziwi, nasze wiewiórki mówią, że podczas wizyty u sułtana Radek straszliwie cierpiał. Zarówno gospodarze, jak i inne delegacje chciały gadać przede wszystkim z Karolem Tadeuszem, w dalszej kolejności z szefem MON dwojga nazwisk, potem z szefem, BBN, a dla Radka zostały jakieś mniej znaczące osoby, z którymi strzelał sobie przede wszystkim słit focie. ©℗

REKLAMA

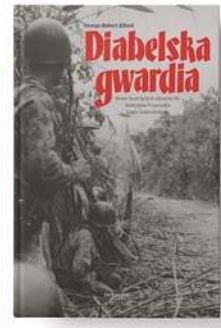
HISTORIA. WOLNOŚĆ. IDEE
Trzy wyjątkowe książki polecane przez Redakcję Do Rzeczy



Historia walki o Rosję widzianej oczami jednego z najważniejszych dowódców wojny domowej.



Przenikliwa analiza inflacji, pieniądza i skutków polityki banków centralnych.



Legendarna opowieść o żołnierzach Legii Cudzoziemskiej i wojnie, która zmieniła historię XX wieku.

ksiegarniadorzeczy.pl, dla Czytelników, którzy chcą rozumieć więcej niż nagłówki

DO RZECZY DEREGGIO Zapraszamy do Księgarni Do Rzeczy, gdzie znajdą Państwo setki wartościowych książek poświęconych historii, polityce, ekonomii i sprawom współczesnego świata.

eprasa.pl e248126c5c

TEHERAN ŻEGNA AJATOLLAHA CHAMENEIEGO

Po ponad czterech miesiącach od śmierci ajatollaha Alego Chameneiego w izraelsko-amerykańskich nalotach (28 lutego) władze w Teheranie ostatecznie znalazły dogodny moment, by oficjalnie pochować swojego wieloletniego przywódcę. Ajatollaha żegnały wielotysięczne i – jak zawsze w tego typu autokracjach – niezwykle „spontaniczne" tłumy żałobników na ulicach stolicy. Pochówek stał się dla reżimu doskonałą okazją do politycznej demonstracji. Ostatnie pożegnanie ajatollaha było wielodniowym, perfekcyjnie wyreżyserowanym spektaklem, który zakończył się w ubiegły czwartek pochówkiem Chameneiego w Meszhedzie. ***(oprac. raw)*** ©℗

FOT. ANNIS KONSTANTINIDIS/REUTERS/FORUM


ROYAL HOTEL
DARVISHI
ALVAS HOTEL
هتل الماس



Łukasz Warzecha

Czy



Prawo i Sprawiedliwość od lat stoi w sondażowym miejscu, zaklinając rzeczywistość i ignorując własną niewiarygodność. Kierownictwo partii z emfazą powraca do haseł, którym ich własny rząd przez lata zaprzeczał – od bezwarunkowego wsparcia Ukrainy, przez unijny klimatyzm, aż po imigrację. Wyborcy mają jednak świetną pamięć, a koniunkturalizmem nie da się płacić w nieskończoność

Zaufanie jest w polityce walutą niedocenianą. Politycy przyzwyczajeni są do tego, że wyborcy wybaczają wszystko, więc problem braku zaufania nie istnieje. To się często sprawdza, ale nie zawsze i tylko do pewnego momentu. Można postawić tezę, że taki moment głębokiego kryzysu zaufania nadszedł dla Prawa i Sprawiedliwości.

Partia Jarosława Kaczyńskiego – choć przeciwnicy popełniają mnóstwo błędów i podkładają się co chwila – w sondażach stoi w miejscu. I to mimo że relatywnie ma najbardziej betonowy elektorat ze wszystkich ugrupowań.

Niedawno opublikowany sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej" daje PiS 23,2 proc. przy niewielkim spadku. Poparcie zyskują za to dwie Konfederacje. W przeliczeniu na miejsca w Sejmie partia Jarosława Kaczyńskiego miałaby o 50–60 mandatów mniej niż obecnie – i tu nic się od miesięcy nie zmienia.

To samo badanie pokazuje, że blisko 69 proc. wyborców PiS jest zadowolonych, że zagłosowało na tę partię i jest to współczynnik o wiele większy niż w przypadku jakiegokolwiek innego ugrupowania. Następna w kolejności Nowa Lewica ma takich wyborców niespełna 41 proc., KO – 39 proc., Konfederacja WiN 36 proc. Z kolei 64 proc. wyborców Konfederacji uznaje, że nie jest to ich idealne ugrupowanie, ale głosują na „mniejsze zło". Dla PiS ten współczynnik jest z kolei najniższy – jedynie 31 proc.

Co z tego wynika? Pierwszy wniosek to ten, że elektorat PiS jest najbardziej pozbawiony krytycyzmu wobec wybranego przez siebie ugrupowania, czyli – najbardziej betonowy. Drugi wniosek może być taki, że na Konfederację głosuje spora część byłych wyborców PiS, którzy są PiS tak bardzo rozczarowani, iż wybierają wariant relatywnie ich zdaniem lepszy, choć nieidealny.

PiS od wyborów w 2023 r. nie przyjmuje do wiadomości, że przyczyną stagnacji sondażowej jest niska wiarygodność. To świadoma i wielokrotnie ogłaszana przez Jarosława Kaczyńskiego linia: „Nie biadać, nie bić się w piersi, nie przeprowadzać ekspiacji – to nie ma dzisiaj żadnego sensu. To jest tylko działanie na korzyść naszych przeciwników" (Przysucha, VI Kongres PiS, październik 2024 r.). Widać jasno, że ta ocena prezesa PiS była całkowicie błędna, a przyjęta strategia srogo się mści. Jarosław Kaczyński nie uwzględnił bowiem trzech czynników, które sprawiają, że jego ugrupowanie jest dziś w sytuacji zupełnie innej, niż było w roku 2014, kilkanaście miesięcy przed wyborami. Po pierwsze – sprawowało władzę przez dwie kadencje, a straciło ją raptem trzy lata temu. Po drugie – zwłaszcza podczas drugiej kadencji skumulowały się wydarzenia i czynniki, które zraziły do PiS znaczącą grupę wyborców: COVID, Polski Ład oraz wojna na Ukrainie – a które zarazem są bardzo wyraziste, miały klarowne skutki i zostały trwale zapamiętane. Po trzecie – inaczej niż ponad dekadę temu, dzisiaj istnieją okrzepłe i dojrzałe alternatywy dla PiS.

Wyborcy, którzy poparli te alternatywy chociażby tylko warunkowo, zrobili to z konkretnych powodów, o których dobrze pamiętają. Dzisiaj przyglądają się fikołkom i wygibasom wykonywanym przez partię Kaczyńskiego i nie przyciąga ich to do niej ponownie. Raczej przeciwnie – odrzuca,

eprasa.pl e248126c5c

można im wierzyć?



Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński podczas wspólnej konferencji prasowej

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

mogą bowiem mieć zasadne wrażenie, że kierownictwo PiS ma ich za idiotów.

MOCARSTWOWE SŁOWA, ULEGŁE CZYNY

Zacznijmy od sprawy najaktualniejszej: stosunków polsko-ukraińskich. Niedawno, zapewne całkowitym przypadkiem, wyciekł wojowniczy list, który Jarosław Kaczyński napisał w tej kwestii do działaczy swojej partii. Przytoczmy jego obszerne fragmenty:

Prawo i Sprawiedliwość, partia najpełniej wyrażająca nasz interes narodowy, słusznie rozpoznała zarówno polską rację stanu, jak i nastroje społeczne Polaków wobec rosyjskiej, barbarzyńskiej agresji.

Nie można też zapomnieć, że niezależnie od napaści Rosji na Ukrainę Polska od 1991 roku czyniła bardzo wiele, by brzemię przeszłości nie obciążało relacji polsko-ukraińskich. Miało to wtedy głęboki sens, szczególnie w wymiarze geopolitycznym, kiedy to naród ukraiński w nowoczesnym znaczeniu tego słowa tworzył się na naszych oczach i wydawało się, że proces ten doprowadzi do odrzucenia przez naszych sąsiadów tego wszystkiego, co w ich przeszłości było złe, zbrodnicze i haniebne.

Niestety, Polska polityka wobec Ukrainy nie była jednoznaczna i konsekwentna, zaś elity ukraińskie zostały w pewnym momencie wprowadzone w błąd przez proukraińską koalicję Tuska. Ekipa narodowego nihilizmu, a także jej zaplecze, wytworzyło w Ukraińcach wrażenie, że we wzajemnych stosunkach zależy nam przede wszystkim na Ukrainie, a nie na Polsce.

W okresie rządów Prawa i Sprawiedliwości w naszych relacjach obowiązywała rozsądna symetria, czasami, już w czasie wojny, ograniczona z powodu szczególnych warunków i zagrożeń. Kiedy jednak było trzeba, podejmowaliśmy zdecydowane kroki. 15 kwietnia 2023 roku [...] wskazałem, iż polskie rolnictwo musi być trwale chronione także po ewentualnym wejściu Ukrainy do Unii Europejskiej, przed nierówną konkurencją z rolnictwem ukraińskim [...].

Po 2023 roku w relacjach polsko-ukraińskich zaczął dominować dyktowany Tuskowi z Berlina coraz bardziej służalczy model jednostronnego podporządkowywania się interesom czy wręcz zachciankom naszego wschodniego sąsiada [...].

Prawo i Sprawiedliwość deklaruje Polkom i Polakom: Ukraina z kultem Bandery i innych zbrodniarzy, gloryfikacją UPA i OUN – nie wejdzie do Unii Europejskiej! Jeśli wygramy wybory, na pewno do tego nie dopuścimy.

Reszta listu utrzymana jest w podobnym tonie. Jarosław Kaczyński przedstawia sprawy tak, jakby rząd PiS i prezydent wywodzący się z tej partii prowadzili wobec Ukrainy, również po 2022 r., politykę twardej obrony polskiego interesu i dopiero kłaniający się Niemcom rząd Donalda Tuska tę strategię wyrzucił do kosza. To oczywiście

eprasa.pl e248126c5c

opowieść całkowicie fałszywa. To rząd PiS prowadził politykę niestawiania jakichkolwiek warunków Ukrainie – nie tylko w pierwszych miesiącach wojny, lecz także do końca swojego urzędowania. To jego przedstawiciel, ówczesny wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński, oburzał się w Radiu Zet w maju 2023 r., że nie możemy prowadzić wobec Ukrainy „polityki transakcyjnej", bo „to tak nie działa". To rząd PiS stworzył specustawę o pomocy obywatelom Ukrainy, która pozostała niezmieniona aż do drugiej połowy ub.r., a która dawała Ukraińcom specjalne i bardzo kosztowne uprawnienia, w tym dostęp do najdroższych świadczeń medycznych. To rząd PiS przekazywał Ukrainie w pełni sprawny sprzęt wojskowy, nie oczekując w zamian żadnych ustępstw, i robił to długo po tym, jak zaczęła się wojna. Na przykład przekazanie przyzwoitej jakości czołgów PT-91 „Twardy" to już 2023 r. To rząd PiS, nie informując o tym opinii publicznej, wysłał na Ukrainę 100 saperów, rzekomo policjantów, narażając ich na działania Rosjan, a kraj – na wciągnięcie do wojny. To wreszcie rząd PiS używał ABW do blokowania tych mediów – „Najwyższego Czasu!", wRealu24 czy „Myśli Polskiej" – które krytykowały jego linię postępowania wobec Ukrainy. Pokrzykująca kilka dni temu w Parlamencie Europejskim o straszliwym banderyzmie Małgorzata Gosiewska jako wicemarszałek Sejmu odbierała głos Grzegorzowi Braunowi, gdy ten krytykował uległość władzy wobec Kijowa.

Dzisiaj Jarosław Kaczyński pisze w liście o tym, jak bronił interesów polskich rolników. Jednak w 2022 r. twardo utrzymywał, że eksport ukraińskiego zboża przez Polskę nie jest problemem, a także grzmiał w marcu 2023 r.: „Stawianie jakichkolwiek warunków Ukrainie jest przedsięwzięciem na korzyść Rosji".

Mało tego: PiS, a dokładnie jego europosłowie, bezwarunkowo wspierał Ukrainę nawet długo po tym, jak ich partia straciła władzę. Niemal cała europarlamentarna delegacja ugrupowania zagłosowała, i to dwukrotnie, za finansowym prezentem dla Kijowa w wysokości 90 mld euro. Jakby tego było mało, prezent ten oparty jest na wspólnym kredycie, czyli na mechanizmie, który zdaniem PiS był nieakceptowalny w przypadku SAFE. Zatem SAFE finansowany wspólną pożyczką – nie, ale taka sama wspólna pożyczka na rzecz Ukrainy – jak najbardziej tak.

PiS stał się nagle najgorliwszym przeciwnikiem banderyzmu – równie gorliwym, jak kiedyś był gorliwym przeciwnikiem „ruskich onuc"

PiS stał się nagle najgorliwszym przeciwnikiem banderyzmu – równie gorliwym, jak kiedyś był gorliwym przeciwnikiem „ruskich onuc". W tym aspekcie pouczająca jest historia pomnika ofiar wołyńskiego ludobójstwa autorstwa Andrzeja Pityńskiego (zmarłego w 2020 r.), który został odsłonięty w Domostawie w lipcu 2024 r. Początkowo do ustawienia pomnika w rządzonym przez niego mieście zapraszał Pityńskiego prezydent Stalowej Woli z PiS, wielokrotnie wychwalany przez prezesa Kaczyńskiego, Lucjusz Nadbereżny (sprawujący urząd od 2014 r.). Jednak po niedługim czasie zmienił zdanie i z zakłopotaniem według relacji rzeźbiarza wycofał swoje zaproszenie. Przypominam: mówimy o okresie przed rozpoczęciem wojny na Ukrainie, a zatem o czasie, gdy żadne „szczególne warunki" – by zacytować prezesa Kaczyńskiego – jeszcze nie obowiązywały.

ZIELONY ŁAD W CIENIU WIELKIEGO KREDYTU

Jednym z najczęściej przypominanych haseł autorstwa Przemysława Czarnka, skądinąd kompletnie nieskutecznego jako generatora poparcia dla PiS, jest „OZE-sroze". Rywal Czarnka w ubieganiu się o pozycję polityczną w partii, były premier Mateusz Morawiecki, stał się największym czempionem walki z unijnym klimatyzmem. Politycy PiS nieustannie mówią o ratowaniu polskiego węgla i sprzeciwie wobec Zielonego Ładu. Problem w tym, że te deklaracje są radykalnie sprzeczne z tym, co Prawo i Sprawiedliwość robiło podczas sprawowania władzy.

Wówczas jednym z najbardziej reklamowanych projektów było skorzystanie z funduszy Next Generation EU, czyli stworzenie polskiego KPO. Premier Morawiecki pojawiał się nawet na billboardach, reklamując to jako wspaniałe przedsięwzięcie i genialny zastrzyk finansowy. Tyle że całe KPO finansowane jest ze wspólnego unijnego kredytu, skonstruowanego na dokładnie takich samych zasadach jak SAFE. Jak PiS spina ze sobą twardy sprzeciw wobec SAFE i entuzjazm wobec KPO (oraz wspomniany kredyt na rzecz Ukrainy), pozostaje tajemnicą tego ugrupowania.

Warunki wypłaty pieniędzy w 18 transzach, zawarte w KPO, zostały przez kancelarię premiera przekazane do odpowiednich ministerstw dosłownie na ostatnią chwilę, nie dając w praktyce szansy na analizę. Znamienne jest, że w KPO znalazło się wiele punktów skrojonych zgodnie z klimatystycznymi obsesjami Brukseli. Mieliśmy zatem opodatkowanie rejestracji samochodów spalinowych, opodatkowanie samego ich użytkowania, a także obowiązkowe wprowadzenie Stref Czystego Transportu w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców, gdzie zostaną przekroczone normy tlenku azotu.

Ta ostatnia sprawa jest szczególnie ciekawa, bo PiS lubi dzisiaj atakować prezydentów miast z KO za tworzenie takich stref. Trzeba więc przypomnieć, że SCT do polskiego prawa wprowadziło właśnie PiS. I to w coraz gorszej wersji. Najpierw Ustawa o elektromobilności mówiła, że takie strefy można tworzyć jedynie na terenie obszarów o zwartej zabudowie, co eliminowało większość małych gmin. Potem również PiS ten wymóg skasował, co sprawiło, że SCT stały się dostępne nawet dla najmniejszych miejscowości. Na koniec wspomniany obowiązek tworzenia stref umieszczono w KPO, czego skutkiem było wpisanie go do ustawy już za rządów KO. Przy czym była to jedynie realizacja polityki PiS.

Rutynowo już trzeba przypomnieć, że Mateusz Morawiecki podpisał konkluzje szczytu Rady Europejskiej z grudnia 2020 r., które politycznie otworzyły drogę dla realizacji fatalnego pakietu rozwiązań „Fit for 55", a Jarosław Kaczyński deklarował kilka lat temu w Polskim Radiu 24, że Polska nie może pozostawać poza unijną polityką klimatyczną, bo byłoby to „stawianie się na marginesie".

eprasa.pl e248126c5c

Politycy PiS są dzisiaj radykalnie krytyczni wobec przepychania przez obecną władzę kwestii takich jak rejestracja „małżeństw" homoseksualnych zawartych za granicą czy też próby implementacji do polskiego prawa jakiejkolwiek formalizacji związków innych niż małżeństwo. Problem w tym, że przez osiem lat sprawowania władzy partia Kaczyńskiego nie zrobiła nic, aby wykonać kluczowe posunięcie w tej dziedzinie: wypowiedzieć konwencję stambulską. I to mimo wcześniejszych obietnic.

Konwencja Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej została przyjęta przez poprzedni rząd Platformy Obywatelskiej i rzutem na taśmę podpisana przez prezydenta Bronisława Komorowskiego w końcówce jego kadencji. Środowiska konserwatywnych ekspertów – w tym Ordo Iuris – wielokrotnie wskazywały, że dokument ten poprzez sam swój język wprowadza do polskiego obiegu prawnego rozwiązania, które następnie będą wykorzystywane przez kręgi lewicowe do realizacji ich planów.

Wypowiedzeniem konwencji PiS mamił wyborców przez długi czas. Zapowiadała je jeszcze w 2020 r. – czyli już w drugiej kadencji – minister pracy i polityki społecznej Marlena Maląg. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Za to w 2023 r. konwencję ratyfikowała UE jako całość. W styczniu 2026 r. Ordo Iuris alarmowało w raporcie na temat wdrażania konwencji w Unii: „W ocenie KE walka z przemocą wobec kobiet w UE ma wymagać zmiany postaw, stereotypów i struktur kulturowych".

SANITARYZM I POŻAR W PORTFELACH

Przedsiębiorcy również nie mają powodu, aby PiS zaufać. Wiele osób słuchało z niedowierzaniem zapowiedzi Przemysława Czarnka, że PiS zniesie KSeF dla mniejszych firm. Bo przecież KSeF to pomysł rządu Mateusza Morawieckiego, część Polskiego Ładu, który zresztą miał być zrealizowany już kilka lat temu.

Sam Polski Ład pokazywał, jak PiS „szanuje" przedsiębiorców. Program, który miał w zamyśle pociągnąć partię w wyborach trzy lata temu, okazał się spektakularną porażką, wywołując skrajny chaos. Jednym z jego uzasadnień była konieczność dofinansowania służby zdrowia, nie towarzyszył temu jednak żaden plan jej naprawy. Ot, szło tylko o to, aby do systemu dosypać kasy, co oczywiście musiało się skończyć porażką.

Zresztą dla relacji PiS z przedsiębiorcami symboliczna jest wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego sprzed kilku lat na konferencji w Toruniu, że jeśli „ktoś nie jest w stanie prowadzić działalności gospodarczej w takich warunkach [przy regulacjach, które wprowadza rząd PiS], to znaczy, że się po prostu do niej nie nadaje".

Jest natomiast jedna sprawa, w której PiS do dzisiaj utrzymuje, że nie tylko posłuchał przedsiębiorców, lecz także się im wręcz karnie podporządkował: imigracja zarobkowa. Niedawno w sieci pojawiły się zdjęcia taksówek prowadzonych w Polsce przez imigrantów, na których masce naklejone są wersety z Koranu. To widomy znak ekspansji kulturowej muzułmanów w Polsce – zjawiska skrajnie groźnego, które na Zachodzie zaowocowało społecznym i kulturowym krachem. Kierowcy taksówek, którzy te naklejki na swoich pojazdach umieszczają, to właśnie owi rzekomo nieszkodliwi – zdaniem polityków PiS – imigranci zarobkowi. W tej sprawie partia Kaczyńskiego wykazuje się wręcz rozdwojeniem jaźni: z jednej strony snuje hiobowe wizje skutków paktu migracyjnego, z drugiej uznaje, że imigranci z obcych kulturowo obszarów albo z krajów o rekordowo wysokiej przestępczości (jak Kolumbia czy Wenezuela), których masowo przyjmowano za rządów premiera Morawieckiego, nie są żadnym zagrożeniem.

Polski Ład pokazywał, jak PiS „szanuje" przedsiębiorców. Program, który miał w zamyśle pociągnąć partię w wyborach trzy lata temu, okazał się spektakularną porażką, wywołując skrajny chaos

Dzisiaj politycy PiS oburzają się wysokimi zarobkami lekarzy, co chwila wspominając o zarabiającym do niedawna miliony Dawidzie Kacprzyku. Wyparli z pamięci okres 2020–2022, gdy zrobili z Polski ponury obóz, poddany sanitarystycznym restrykcjom. Jednym z elementów sposobu funkcjonowania tego obozu były covidowe dodatki dla lekarzy. Ten skrajnie patologiczny system nie tylko powodował, że medycy zarabiali nawet o 100 proc. więcej niż dotąd, lecz także skłaniał ich do fałszywego kwalifikowania przypadków osób niechorujących na COVID właśnie jako covidowych – z konsekwencjami dla chorych, którzy nie mogli być odwiedzani przez rodzinę czy zamiast kluczowych dla siebie badań robiono im niekończące się testy na wirusa SARS-CoV-2. Z kolei osoby, co do których nie było wątpliwości, że na COVID nie chorują, znajdowały się na marginesie i nie mogły doczekać się badań, bo lekarzom zajmowanie się nimi po prostu się nie opłacało. Nie było chyba w historii służby zdrowia w III RP bardziej korupcjogennego mechanizmu niż ten ustanowiony przez rząd Mateusza Morawieckiego. Echa tamtej paranoi trwają do dzisiaj, bo do dzisiaj lekarze stawiani są przed sądami lekarskimi za to, że ośmielali się wyrażać zdanie odrębne.

Niektórzy, zasypywani przykładami na deficyt wiarygodności PiS, stwierdzają, że przecież można zawsze zmienić zdanie i że to dobrze, iż dzisiaj politycy z ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego mówią co innego, niż mówili – a zwykle również robili – kilka lat temu. Można by z dużą dozą dobrej woli zgodzić się z takim postawieniem sprawy, gdyby nie fakt, że pomiędzy „starym" a „nowym" PiS nie ma etapu namysłu, wyjaśnienia zmiany stanowiska, jej uzasadnienia. Racjonalnie myślący wyborca musi zatem uznać, że nie ma do czynienia z przemyślaną modyfikacją kursu, wynikającą ze zrozumienia własnych błędów, ale z czystym koniunkturalizmem, którego naczelną motywacją jest paniczna chęć zapobieżenia odpływowi elektoratu do konkurencji przez mechaniczne i bezrefleksyjne skopiowanie jej haseł. To zaś z kolei każe zakładać, że wypowiadane dzisiaj słowa i składane obietnice nie mają żadnej wartości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Z dr. Tomaszem Sommerem, publicystą, redaktorem naczelnym tygodnika „Najwyższy Czas!", socjologiem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Niewiarygodny reset PiS w sprawie Ukrainy

RYSZARD GROMADZKI: Czarna niewdzięczność, pogarda, coraz bardziej ewidentna wrogość. Tak można podsumować ślepą politykę wobec Ukrainy, którą Polska prowadzi od ponad czterech lat. Jeśli Grzegorza Brauna, który od samego początku wojny Rosji z Ukrainą przestrzegał przed takim scenariuszem, jego oponenci nazywają ogarniętym antyukraińską fobią oszołomem, to jak nazwać tych wszystkich polityków PO, PiS, PSL i Lewicy, którzy wciąż z maniackim uporem przekonują, że bezwarunkowa pomoc dla Ukrainy jest gwarancją polskiego bezpieczeństwa i leży w naszym najlepiej pojętym interesie narodowym?

DR TOMASZ SOMMER: Jest faktem, że takie podejście do Ukrainy, najpierw ze strony PiS, a teraz Koalicji Obywatelskiej, oparte na zasadzie, że my dajemy im wszystko, co mamy, a oni będą nam za to wdzięczni, było z jednej strony głupie, a z drugiej, nie wiem, czy nie korupcyjne. Jeżeli dziś słyszę z ust Władysława Kosiniaka-Kamysza, lidera partii, która nie zajmuje się niczym innym, jak pompowaniem państwowych pieniędzy dla swoich, osadzonych na tysiącach synekur, że on dał Ukraińcom rakiety Patriot za wdzięczność, to chce mi się śmiać. Przecież PSL to nie jest partia, która cokolwiek robi za wdzięczność. Co do oddania Ukraińcom rakiet Patriot, nie mam pewności, czy one w ogóle do Polski dotarły. Być może trafiły od razu na Ukrainę. Ten gest ze strony Polski jest tak piramidalnie głupi, że trudno w to uwierzyć. Kosiniak-Kamysz, tłumacząc się z przekazania Ukraińcom Patriotów, mówił, że Węgry odblokowały nam możliwość zwrotu pieniędzy za tego typu donacje przez Unię Europejską. Nawet gdyby tak było, to przecież, u licha, to my finansujemy Unię Europejską. Co do relacji z Ukrainą, to od samego początku powinny być one oparte na zasadach transakcyjnych. Nawet w sytuacji, kiedy Rosjanie byli pod Kijowem. Wtedy mogliśmy coś rzeczywiście od Ukraińców uzyskać. Na pewno koncesje symboliczne, jak zgody na ekshumacje na Wołyniu, potępienie banderowskich zbrodni na Polakach czy poprawę położenia polskiej mniejszości na Ukrainie.

Wygląda na to, że polityka pełnego otwarcia na Ukrainę i nielimitowanego rozdawnictwa pieniędzy i przywilejów dla Ukraińców kosztem Polaków okazała się katastrofą, do której dziś nikt jeszcze nie chce się przyznać.

Do niewdzięczności i narastających uprzedzeń wobec Polaków dodajmy blokadę wszelkich prób dotarcia do prawdy historycznej ze strony Ukraińców. Według różnych szacunków Polska przekazała Ukrainie i Ukraińcom pomoc o łącznej wartości nawet 150 mld zł. Tę skalę widać gołym okiem w rosnących deficytach polskiego budżetu z ostatnich lat. Przecież jest oczywiste, że gigantyczną pomoc dla Ukrainy finansowaliśmy nie z gotówki, lecz poprzez dług. Więc albo mamy do czynienia z totalną głupotą ze strony kolejnych ekip PiS i Koalicji Obywatelskiej rządzących Polską, albo z korupcją. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Jedni i drudzy powtarzają mantrę, że bez niepodległej Ukrainy nie będzie niepodległej Polski, bo pożre nas Rosja Putina. Dlatego trzeba pomagać Ukrainie i nie czekać na wdzięczność z jej strony.

Tak, oni będą mówić, że dzięki Polsce Ukraina utrzymała się jako państwo i Putin nie zaatakował Polski. Myślę, że Grzegorz Braun miał rację. Ten bezrefleksyjny kurs poparcia Ukrainy ze strony

eprasa.pl e248126c5c



FOT. PIOTR POLAK/PAP

PiS, a teraz Kolacji Obywatelskiej będzie miał polityczne konsekwencje. Braun może na tym skorzystać.

Przekonuje pana reset PiS w sprawie Ukrainy?

Przecieram oczy ze zdumienia. Przecież jeszcze niedawno oni chcieli karać za zrywanie banderowskich flag z naszej przestrzeni publicznej. To nie kto inny, jak były premier Mateusz Morawiecki jest autorem słynnej maksymy, nagranej w aferze podsłuchowej, że „elektorat pamięta dwa tygodnie". Rozumiem, że oni wierzą w tego typu perspektywę i że nikt nie będzie pamiętał np. o występach pani Gosiewskiej, która krzyczała do Brauna w Sejmie: „Ty ruski agencie, skąd bierzesz pieniądze? Z Moskwy?" i tym podobne rzeczy. Prawicowy elektorat pamięta dużo dłużej niż dwa tygodnie.

Jak prawica, zakładając, że jej częścią jest także PiS, chce wygrać przyszłoroczne wybory, kiedy jest tak silnie skonfliktowana? Sondaże wskazują, że ewentualnej większościowej koalicji nie da się skleić bez dokooptowania do niej partii Grzegorza Brauna. Takiego wariantu nie dopuszcza Jarosław Kaczyński.

Mówiąc brutalnie, posady stabilizują charaktery. Kiedy pojawi się perspektywa posad, to i charaktery się nieco przeorientują, a napięcia opadną. Postawmy pytanie: Co będzie, jeśli obecne sondaże się utrzymają do jesieni przyszłego roku? Jeśli tak się stanie, to jedynym konstruktywnym wyjściem dla pana Kaczyńskiego będzie koalicja z Konfederacją i Koroną Grzegorza Brauna. Inna możliwość oznacza przyspieszone wybory. Można zakładać, że po tych przyspieszonych wyborach sytuacja się bardzo nie zmieni. Jeśli to sam Kaczyński doprowadzi do przyspieszonych wyborów, to jego pozycja nie ulegnie wzmocnieniu, ale się osłabi.

Kaczyński zarzeka się, że o żadnej koalicji z Braunem nie ma mowy, a lider Korony ze względu na swoje poglądy powinien być persona non grata w polskiej polityce.

Myślę, że Kaczyński ma pełną świadomość konsekwencji, jaką może spowodować zablokowanie koalicji z Konfederacją Korony Polskiej. Szczególnie wśród posłów jego ugrupowania, którzy na pewno nie będą zachwyceni po zdobyciu miejsc w Sejmie opcją powtórki walki o mandat w przyspieszonych wyborach, z perspektywą słabszego wyniku. Myślę, że to byłby moment, w którym władza Kaczyńskiego w Prawie i Sprawiedliwości mogłaby się po prostu skończyć. A jeśli w PiS dojdzie do rozłamu i np. Kaczyński z grupą ortodoksów antybraunowych, zobowiązanych do działania w oparciu o przesłanki filosemickie, wystąpi z ugrupowania, bo rozumiem, że główny zarzut prezesa PiS wobec Brauna dotyczy zgaszenia przez niego świec chanukowych w Sejmie i faktu, że niektórzy ludzie w Stanach Zjednoczonych nie mogą tego znieść, to mogę życzyć mu tylko powodzenia. W Polsce jest jakaś grupa skrajnych filosemitów, ale nie jest to zbyt liczne środowisko i raczej nie sytuuje się na prawicy. Kaczyński więc będzie w trudnej sytuacji, a jego czekający na powrót na posady aparat będzie miał bardzo duży dylemat, czy z powodu filosemickiej obsesji prezesa ma rezygnować z tych posad czy przejść do porządku dziennego nad problemami tożsamościowymi swojego lidera. W ramach grupy eksperckiej, która analizuje sytuację polityczną na użytek Konfederacji Korony Polskiej, podjęliśmy

eprasa.pl e248126c5c

się matematycznego wyzwania, żeby obliczyć, ile posad w okresie swoich rządów wykreował PiS. To są nieprawdopodobne liczby. Okazało się, że pensji płaconych przez państwo jest w Polsce więcej niż pensji wypłacanych w sektorze przedsiębiorstw. To musi prowadzić do katastrofy. Na domiar złego dużej części tych posad nie da się ruszyć, bo są one obwarowane odprawami i rożnego rodzaju usztywnieniami etatów.

Rak, który zżera państwo. Jak Grzegorz Braun, nie chcąc tracić wiarygodności, może się układać z partią, która ponosi odpowiedzialność za tę patologię? Braun będzie miał odwagę, żeby posprzątać tę stajnię Augiasza? Będzie mu się to politycznie kalkulowało?

Odwagi na pewno mu nie zabraknie. Rzecz w tym, że na przeszkodzie stoją problemy strukturalne. Ujmując to wprost, likwidacja posady, która jest nikomu do niczego niepotrzebna, w krótkiej perspektywie nie będzie oznaczała oszczędności, lecz dodatkowy koszt.

Powtórzę pytanie: Czy wobec wzajemnej niechęci i głębokich różnic w kluczowych sprawach prawicowa koalicja po przyszłorocznych wyborach jest możliwa?

Sytuacja jest rzeczywiście trudna. Ale przecież Jarosław Kaczyński swoją karierę polityczną zaczynał u boku Lecha Wałęsy, który mawiał „nie chcem, ale muszem". Myślę, że Kaczyński będzie musiał skorzystać z mądrości swego byłego szefa. Wszystko wskazuje, że będzie to jego ostatnia kadencja. Daj Boże, że w PiS ktoś pójdzie po rozum do głowy i zrozumie, że jeśli chcą być partią prawicową, to muszą skończyć z pozorowaniem prawicowości i zacząć odwoływać się do prawdziwych wartości prawicowych, a nie do filosemityzmu, programów socjalnych i tym podobnych spraw, bo to prowadzi w tej chwili do zderzenia ze ścianą.

Mówiąc brutalnie, posady stabilizują charaktery. Kiedy pojawi się perspektywa posad, to i charaktery się nieco przeorientują, a napięcia opadną

Czy patronem takiej hipotetycznej prawicowej koalicji po wyborach w 2027 r. mógłby zostać prezydent Karol Nawrocki? Ma do tego odpowiedni potencjał polityczny?

Myślę, że tak. Prezydent cieszy się obecnie rekordowym poparciem, więc jest taki potencjał. Karol Nawrocki ma silne związki z PiS, co oczywiste, ale ma też pewne sympatie wychodzące poza Prawo i Sprawiedliwość, chociaż na razie uzewnętrznia je bardzo delikatnie. Namawiałbym prezydenta Nawrockiego do pewnej śmiałości w tym obszarze. Poza tym on już teraz musi myśleć o drugiej kadencji. Jeśli Nawrocki myśli poważnie o kontynuacji prezydentury po 2030 r., to powinien się dogadać ze wszystkimi istotnymi graczami po prawej stronie sceny politycznej. Na razie prezydent stosuje wobec Grzegorza Brauna kordon sanitarny. A jak wiem, Braun także nosi się z zamiarem ubiegania się o prezydenturę w kolejnych wyborach. Prezydent poprzez izolowanie Brauna naraża się na to, że ten będzie jego rywalem w wyborach w 2030 r. Gdyby Karol Nawrocki zdecydował się na inną formułę współpracy z liderem Korony, być może taki scenariusz nie musiałby zaistnieć.

Ewentualne skazanie Grzegorza Brauna w toczącym się przeciwko niemu procesie pomoże czy zaszkodzi Konfederacji Korony Polskiej w przyszłorocznych wyborach?

Ten proces, który bacznie obserwuję, coraz bardziej przypomina komedię, a komediowość całej sytuacji narasta.

Komediowość? Mnie przebieg tej sprawy przypomina raczej „Proces" Franza Kafki.

Wie pan, jeśli na sali sądowej toczą się poważne dyskusje na temat malowania bombek, w których uczestniczą panie ze stowarzyszeń sędziowskich Iustitia i Themis, jeśli dodamy do tego, że w „akcji bombkowej" uczestniczył także ówczesny sędzia z Krakowa, a obecnie minister sprawiedliwości, którego te panie czule nazywają „Waldkiem", to jak to inaczej określić? Co więcej, pani, która rzuciła się na Grzegorza Brauna w trakcie gaszenia przez niego świec chanukowych, prawdopodobnie zaczyna udawać chorobę psychiczną i nie chce zeznawać. Zapis zdarzenia pokazuje jasno, że to nie Braun pobił tę kobietę, jak chcą jego oskarżyciele, tylko ona rzuciła się na niego i zaczęła traktować kopniakami. Mimo kilku wezwań ta kobieta wciąż nie złożyła zeznań. Z tego, co zasłyszałem, prawdopodobnie sędzia odstąpi od jej przesłuchania.

A więc prawomocnego skazania lidera Korony przed wyborami nie będzie?

Prawomocnego skazania na pewno nie. Terminy rozpraw są zaplanowane do końca roku. Pamiętajmy, że w sprawie Brauna ma jeszcze zeznawać kilkudziesięciu świadków. W sytuacji, kiedy na rozprawie sąd przesłuchuje dwóch, trzech, a w porywach czterech świadków, już widać, że proces może potrwać do końca przyszłego roku. Wątpię, że w tej sytuacji przed wyborami zapadnie choćby nieprawomocny wyrok.

Na prawicy coraz mocniej świeci gwiazda Ewy Zajączkowskiej-Hernik. To oznacza kłopoty dla Konfederacji i jej liderów: Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka? Ewentualna frakcja Zajączkowskiej może namieszać w samej Konfederacji i poza nią?

Ewa Zajączkowska-Hernik gra o pozycję i po to jest to stowarzyszenie. Po tym, jak Mentzen wyrzucił ją z Nowej Nadziei, Zajączkowska-Hernik wcale nie dostała z automatu miejsca na listach wyborczych od Bosaka. Nie dziwię się. Przypominam, że Ewa Zajączkowska-Hernik „wycięła" z Parlamentu Europejskiego znanego polityka Konfederacji Krystiana Kamińskiego, który startował z pierwszego miejsca z listy Konfederacji. Kamiński ciężko to przeżył. Zarówno w Nowej Nadziei, jak i w Ruchu Narodowym dobrze wiedzą, że Zajączkowska-Hernik gdziekolwiek wystartuje, to zdobędzie mandat. A to nie jest tak, że oni chcą dać jej ten mandat na talerzu. Myślę, że ona znalazła się dzisiaj „na lodzie" i budowanie stowarzyszenia jest próbą pokazania siły, która w przypadku nieuznania jej przez Bosaka czy Mentzena przejdzie w fazę budowania nowej partii, a tym samym szantażowania ich, że urwie parę procent głosów Konfederacji. Tak postrzegam jej inicjatywę.

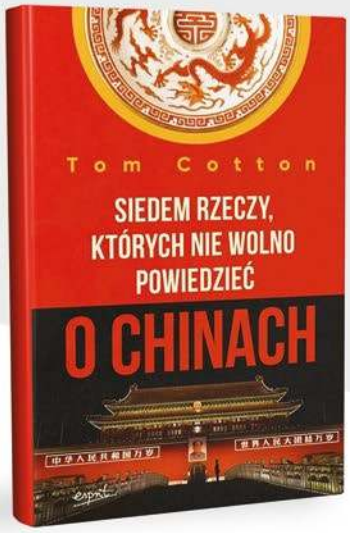
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOM COTTON: „SIEDEM RZECZY, KTÓRYCH NIE WOLNO POWIEDZIEĆ O CHINACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e248126c5c



Krzysztof Kawęcki

Kijów od lat z żelazną konsekwencją buduje swoją narodową tożsamość na kulcie OUN-UPA, a polskie elity polityczne wciąż nie potrafią ukryć autentycznego zaskoczenia



Panteon zbrodniarzy

Od ponad trzech dekad na Ukrainie kolejni prezydenci, politycy, historycy, instytucje państwowe i samorządowe konsekwentnie budowały w przestrzeni publicznej, mediach, edukacji pamięć historyczną i świadomość narodową, którą wypełniają pomniki Iwana Gonty i Maksyma Żeleźniaka, przywódców rzezi humańskiej, kilkadziesiąt pomników Stepana Bandery, setki nazw ulic, placów zbrodniarzy OUN-UPA i muzea, np. Romana Szuchewycza we Lwowie. Powstanie panteonu narodowego w Kijowie to zwieńczenie wieloletniego procesu „przywracania tysiącletniej historii", w której najważniejsze miejsce zajmuje upamiętnienie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińskiej Powstańczej Armii i ich „bojowników".

Nie chcieli dostrzec tego procesu miłośnicy, bo przecież nie „słudzy Ukrainy", którzy wyrażali „zrozumienie" dla probanderowskich działań ukraińskiej klasy politycznej. Teraz wyrażają zaskoczenie, a nawet oburzenie decyzją prezydenta Wołodymyra Zełenskiego nadania jednej z elitarnych jednostek wojskowych imienia Bohaterów UPA. Niestety, to tylko koniunkturalno-taktyczna zmiana retoryki, a nie rewizja polskiej polityki wschodniej.Nadanie nazwy zbrodniczej organizacji odpowiedzialnej za ludobójstwo ludności polskiej na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej poprzedzone zostało wcześniejszymi działaniami, np. podpisaniem przez prezydenta Petra Poroszenkę ustawy o weteranach wojny, zgodnie z którą status ten uzyskali członkowie terrorystycznych, antypolskich organizacji w okresie II Rzeczypospolitej – Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, OUN oraz UPA. Jednym z najważniejszych świąt państwowych jest Dzień Bohaterów Ukrainy obchodzony 23 maja. Idea tego święta pojawiła się w latach międzywojennych w kręgach OUN. Dzień 23 maja wówczas jako Święto Bohaterów Rewolucji ustanowiony został na zjeździe OUN w kwietniu 1941 r. w Krakowie, gdyż 23 maja w 1938 r. w wyniku sowieckiego zamachu zginął przywódca OUN Jewhen Konowalec. Natomiast 1 października to Dzień Obrońców i Obrończyń Ukrainy. Ustanowiony przez Radę Najwyższą Ukrainy – „w celu konsolidacji i kształtowania świadomości historycznej narodu ukraińskiego oraz zachowania pamięci narodowej, kraj będzie obchodził 80. rocznicę powstania UPA" – przez wiele lat obchodzony był 14 października, w dniu symbolicznej daty powstania UPA.

TRADYCJA ZBRODNI W NOWYM MUNDURZE

Jedno z najwyższych odznaczeń państwowych, Krzyż Zasługi Bojowej, ma uhonorować żołnierzy różnych formacji wojskowych. Jak zaznaczono na stronie ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, „odznaczenie nawiązuje do odznaczenia UPA, stworzonego przez znanego artystę powstańczego Niła Chasewycza", a „armia ukraińska pielęgnuje tradycje bojowe swoich przodków i imiona bohaterów, od ruskich wojowników i Kozaków po Strzelców Siczowych i żołnierzy UPA". Zamieszczono również słowa Wasyla Kuka (1913–2007), zastępcy Szuchewycza, a następnie ostatniego dowódcy UPA, który w duchu mitomanii mówił: „UPA jest jedyną ze wszystkich sił europejskiego ruchu oporu antyfaszystowskiego, która prowadziła działania wojenne przeciwko nazistom bez pomocy z zagranicy". Kuk od 1954 r. był współpracownikiem KGB. W styczniu 2026 r. Zełenski nadał Centrum Szkoleniowemu Sił Systemów Bezzałogowych Sił Zbrojnych Ukrainy imię Wasyla Kuka.

W 110. rocznicę urodzin Stepana Bandery ówczesny szef IPN Wołodymyr Wiatrowycz w ramach projektu o UPA pt. „Przeciw Goliatowi" zamieścił artykuł,

eprasa.pl e248126c5c



Marsz pamięci z okazji Dnia Bohaterów we Lwowie, 23 maja 2026 r.

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

w którym wyraził przekonanie, że nadejdzie moment, gdy stanie się on nowym bohaterem narodowym, symbolem, który sformułuje pogląd na ich przyszłość. Uznawał, że nazywanie przez Polaków Bandery terrorystą i współpracownikiem III Rzeszy to „stereotypy propagandowe".

Z okazji 90. rocznicy powstania OUN Instytut Pamięci Narodowej i Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego we współpracy z Głównym Zarządem Zabezpieczenia Moralnego i Psychologicznego Sił Zbrojnych Ukrainy zrealizował serię wykładów dla żołnierzy kilku jednostek wojskowych sił zbrojnych Ukrainy, np. „Mundury, broń i odznaczenia UPA", „Antyhitlerowski front UPA", „90 lat OUN: narodziny i działalność organizacji", „Życie i działalność Romana Szuchewycza". Szuchewycz przedstawiany jest także jako wybitny i wszechstronny sportowiec, utalentowany muzycznie, twórca pierwszej agencji reklamowej w Galicji. Na stronie IPN zamieszczono cytaty sławiące tę postać. Jeden z poetów, krytyk literacki, który znał Szuchewycza, powiedział: „Był człowiekiem kompletnym i wszechstronnym pod każdym względem i nic, co ludzkie, nie było mu obce: wrażliwy i łagodny jak muzyk-poeta i surowy-twardy jak stal, przede wszystkim wobec siebie […]. W porównaniu z nim, twórcą jedynej w dziejach świata nowoczesnej armii podziemnej i jej komendantem […], bledną takie postacie jak Foch, Pétain, Rommel i inni".

DEKALOG MORDERCY I WYBIELANIE HISTORII

24 stycznia 2009 r. w Kijowie odsłonięto tablicę poświęconą Dmitrijowi Doncowowi, ideologowi ukraińskiego nacjonalizmu (czytaj: szowinizmu). Zdaniem historyka ukraińskiego IPN „jego idee ukształtowały w świadomości społecznej obraz nowego typu bohatera – bezkompromisowego i szlachetnego". IPN wraz z Narodowym Muzeum Rewolucji Godności i Instytutem Naukowych Badań nad Nacjonalizmem upamiętnił też Stepana Łenkawskiego, twórcę „kodeksu moralnego i etycznego dla setek tysięcy uczestników walk narodowowyzwoleńczych XX w.". Łenkawski był działaczem OUN, autorem „Dziesięciu przykazań ukraińskiego nacjonalisty" (1927). Punkt 7 tego swoistego dekalogu zawierał nakaz: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy".

Dla historyków ukraińskiego IPN greckokatolicki arcybiskup Andrzej Szeptycki „był jedynym przedstawicielem Kościoła w Europie, który kierował listy do papieża, a osobiście do Heinricha Himmlera, protestując przeciwko ludobójstwu Żydów". Oczywiście nie wspomniano o jego gratulacyjnym liście wysłanym do Adolfa Hitlera po zdobyciu przez wojska niemieckie Kijowa i poparciu dla zbrodniczej 14. Dywizji SS „Galizien".

Jesienią 2023 r. Ukraińska Fundacja Kultury podległa Ministerstwu Kultury przeprowadziła badania dotyczące wiedzy Ukraińców na temat działalności Romana Szuchewycza i UPA. Na pytanie: „Co sądzisz o uznaniu żołnierzy UPA za bojowników o niepodległość Ukrainy?" „pozytywnie" odpowiedziało 90 proc. respondentów, w tym 58 proc. „bardzo pozytywnie", a 32 proc. „raczej pozytywnie". Taki sam odsetek zgodził się, że wiedza o Romanie Szuchewyczu jest zniekształcona przez sowiecką i rosyjską propagandę. Wyniki ankiety przeczą tezie rozpowszechnianej przez proukraińskie środowiska w Polsce, jakoby na Ukrainie poparcie dla ideologii UPA było marginalne. Aż 86 proc. respondentów nie miało prawie żadnej wiedzy na temat „konfliktu polsko-ukraińskiego podczas drugiej wojny światowej". Pięćdziesiąt jeden procent odpowiedziało: „Coś słyszałem, ale nie znam szczegółów", a 35 proc.: „Nie wiem o tym nic albo prawie nic". Jednak polityka symetrii (wzajemnych win Polaków i Ukraińców, bratobójczego konfliktu, „tragedii wołyńskiej") upowszechniana przez Kijów przynosi rezultaty. Jedenaście procent ankietowanych uznało, że ma dobrą wiedzę na ten temat. Pięćdziesiąt sześć procent uważa, że „konflikt polsko-ukraiński" to było wzajemne zniszczenie sprowokowane przez ZSRS i Niemcy, 16 proc. – że było to „wzajemne wyniszczenie, powodowane wzajemną wrogością", 8 proc. – „eksterminacja Ukraińców przez Polaków", a zaledwie 4 proc. – „eksterminacja Polaków przez Ukraińców". W odpowiedzi na pytanie: „Jaka powinna być polityka pamięci narodowej w kontekście »konfliktu polsko-ukraińskiego« podczas drugiej wojny światowej" 1 proc. uznało, że Ukraina musi przeprosić za polskie ofiary, a 2 proc., że Polska za ofiary ukraińskie. Zdecydowana większość wskazała: „Ukraina i Polska powinny wzajemnie przeprosić i wspólnie oddać hołd wszystkim ofiarom konfliktu".

NA KOSZT POLSKI

Jest tylko kwestią czasu, kiedy patronem kolejnej formacji wojskowej zostanie ogłoszony Roman Szuchewycz, do panteonu narodowego sprowadzone zostaną szczątki Bandery i zostaną tam także upamiętnieni Szuchewycz czy Dmytro Klaczkiwski. Ten ostatni, bezpośrednio odpowiedzialny za ludobójstwo Polaków na Wołyniu, został upamiętniony uchwałą Rady Najwyższej Ukrainy, jego pomniki są w Zbarażu i Równem, a ulice jego imienia w wielu miastach.

Krajobraz polityczny obecnej Ukrainy to również zasługa zwolenników doktryny Giedroycia i „strategicznego partnerstwa" realizowanego przez PiS i Koalicję Obywatelską. Praktycznym wyrazem tej doktryny jest przekazywanie uzbrojenia Ukrainie kosztem bezpieczeństwa Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Rafał A. Ziemkiewicz

Złamana miotła Tuska



FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Dawid Kacprzyk może uruchomić podobny łańcuch zdarzeń, z podobnym skutkiem dla „obozu demokratycznego", jak ćwierć wieku temu Lew Rywin dla formacji postkomunistycznej

Wśród licznych zapowiedzi i obietnic składanych przez Donalda Tuska dwa i pół roku temu znalazła się i fraza o „robieniu porządku żelazną miotłą". Dotyczyła ona oczywiście zapowiadanych rozliczeń – miała być „miotłą personalną". Ale w istocie powtórne rządy Tuska możliwe były dzięki innej miotle – nie „żelaznej", ale medialnej i PR-owskiej. Myślę o miotle, którą Tusk i jego ludzie „zamiatali" swoje nadużycia, przekroczenia, afery i skandale.

To zamiatanie do niedawna szło rządzącym bardzo sprawnie. Oczywiste przekroczenia prawa i przyzwoitości udawało się sprzedawać wyborcom jako uzasadnione wyższą koniecznością przywracanie ładu, rzekomo naruszonego przez poprzednią władzę, a afery – nie tylko cwaniackie dojenie sejmowych benefitów przez państwa Myrchów i innych czy wpychanie się polityków poza kolejką w zakładach publicznej opieki zdrowotnej, z którymi to zachowaniami od dawna opinia publiczna się oswoiła, ale nawet sprawy tak grube i bulwersujące, jak pedofilski skandal w Kłodzku – udawało się rządowym mediom zepchnąć na margines i zamknąć w „bańce" żelaznego elektoratu opozycji. Policja aresztująca emerytkę na życzenie Jerzego Owsiaka, czystki w sądach, likwidowane porodówki, okradzenie Sieci Badawczej Łukasiewicz, skręcenie nielegalnego finansowania kampanii wyborczej Rafała Trzaskowskiego – wszystko przechodziło bezkarnie i po kilku tygodniach popadało w zapomnienie. Kto miał się oburzać, ten się oburzał, ale Tusk zachowywał swoisty „pakiet kontrolny" opinii publicznej. Może coraz mniejszy, ale wystarczający, by jego ludzie byli pewni zachowania przez koalicję władzy i tym samym posłuszni.

JAKIE SĄ ZWIĄZKI Z PIS?

Zamiatanie niekorzystnych dla władzy spraw bazowało na kilku wielokrotnie sprawdzonych strategiach propagandowych. I w tym właśnie rzecz, że w sprawach skandalu Dawida Kacprzyka i saloniku VIP w Szpitalu Południowym i kolejnych odsłon afer w ochronie zdrowia oraz w wizerunkowym kryzysie wokół honorowania przez Ukrainę zbrodniarzy z UPA, a teraz wokół przekazania Wołodymyrowi Zełenskiemu za nic, na życzenie Niemiec, rakiet i innych elementów obrony przeciwlotniczej te strategie nagle przestały działać.

Z grubsza biorąc, wszystkie one zawdzięczały swą skuteczność polaryzacji. Pierwszym i podstawowym działaniem było zawsze odebranie wiarygodności źródłu informacji. Aparat propagandowy władzy zamiast czy to prawda pytał: A kto stoi za ujawnieniem tej sprawy? W jakiej intencji to zrobił? Jakie są jego związki z PiS? Może miał coś wspólnego z kryptowalutami? Czy może za rządów PiS miał jakieś korzyści, które słusznie mu obecna władza odebrała, i się teraz mści?

Pod tym kątem, rutynowo, potraktowały prorządowe media dr. Emila Jędrzejewskiego, próbując ujawnienie afery Szpitala Południowego sprowadzić do personalnego, zapewne ambicjonalnego sporu starszego lekarza z młodszym oraz zemsty doktora na placówce, która go zwolniła. W tle umieszczano sugestie, że zwolnienie Jędrzejewskiego mogło być związane z jakimiś jego nadużyciami. Może młody

eprasa.pl e248126c5c



działacz PO wyłudzał pieniądze, nie sposób zaprzeczyć, i nawet dobrze, że sprawa wyszła na jaw, ale ten, kto o tym poinformował, sam nie lepszy…

Głównym zadaniem zamiatających jest w każdej takiej sytuacji sprowadzenie skandalu do rangi kolejnego ciosu w politycznej młócce z PiS. Wiadomo, Polacy mają tego serdecznie dość, więc jeśli podsunie im się myśl, że „to są wszystko zarzuty polityczne", to spojrzą na sprawę zupełnie innym okiem niż w pierwszej chwili. Zanim jeszcze w sprawie szpitala pojawił się dr Jędrzejewski, przekaz nakierowany był na wykazanie, że Kanał Zero to medium „prawicowe", a Krzysztof Stanowski za czasów PiS dostawał pieniądze z telewizji Jacka Kurskiego. Próby przyklejenia mu takiej etykiety podejmowane były już wielokrotnie, od czasu zmiażdżonej w Internecie manipulacyjnej „demaskacji" Piotra Głuchowskiego z „Gazety Wyborczej" – i choć generalnie nie udało się zrobić z Kanału Zero Republiki-bis, to nie można powiedzieć, że nie odniosły żadnego efektu. Urobiły bowiem Kanałowi Zero i związanemu z nim portalowi opinię mediów, jeśli nie „prawicowych", to w każdym razie „politycznych", a to już oznacza zamknięcie przez algorytmy YouTube w kilku milionach potencjalnych odbiorców rozpoznawanych jako zainteresowani polityką – znaczne ograniczenie wpływu w porównaniu z czasami Kanału Sportowego, podawanego kilkunastu milionom użytkowników. Niemniej w sytuacji, gdy Zero ujawniało kolejne odsłony skandalu, „demaskowanie" takie stawało się z punktu podejrzane i większego skutku odnieść nie mogło.

ARGUMENT URBANA

Drugą strategią jest zawsze przesunięcie akcentów w kierunku „szerszego problemu". Nie skupiajmy się na jednym nieuczciwym lekarzu i nadużyciach w jednym szpitalu, mówmy o problemie systemowym, ogólnym – o generujących patologie mechanizmach w ochronie zdrowia. Strategia zwykle skuteczna, bo nikt nie zaprzeczy, że warto by dokonać zmian „systemowych" – a o sprawach ogólnych można opowiadać ogólnie, tak długo, aż zagada się temat na śmierć i wszyscy o nim zapomną, jak o większości spraw umieszczonych przez PiS na liście „101 afer PO". Co więcej, przeniesienie uwagi na „system" pozwala rozwinąć perswazję w kierunku „to narastało latami i nikt nie jest bez winy". Jeśli więc nawet nie udało się przekonać o własnej niewinności, to przynajmniej odwołajmy się do silnego w ludziach odruchu szukania prawdy pośrodku i podzielmy się winą z oskarżycielami.

Jeden z fanów mojego kanału na YouTube ukuł w komentarzu pojęcie „bożka Abopisa". W istocie w mediach prorządowych słowa „a bo PiS…" pojawiają się niczym modlitewny refren za każdym razem, gdy ich protektorzy zostaną na czymkolwiek przyłapani. Nawet jeśli w żaden sposób nie można wskazać przypadku, by PiS miał w swych szeregach działaczkę, której współuczestnictwo w gwałcie na własnej córce i aktach zoofilskich nie przeszkodziło zarządzać lokalną strukturą i układać listy wyborcze, albo by miał w jakimś szpitalu luksusowy SOR dla „swoich" i „handlarzy skór" w prosektorium, to zawsze można o to oskarżyć albo coś zainsynuować. Przecież Jarosław Kaczyński też leczył kolana. A raczej „leczył sobie kolanka", jak to we właściwym sobie, mendowskim stylu sformułował Roman Giertych. Leczył sobie „kolanka" w państwowym szpitalu, a potem ten szpital dostał od państwa kilkanaście milionów złotych. „Gdy coś przydarzy się, to wnet kojarzy się" – jak śpiewano w zapomnianym już dziś kabarecie. W świecie propagandy oskarżenie równa się skazaniu. Jeśli nagłówek krzyczy, że żona oskarżyła kogoś wziętego na celownik – sygnalistę, dziennikarza czy polityka – o pobicie, to staje się on w powszechnym odczuciu przemocowcem, nawet jeśli zatytułowany tak artykuł w treści uczciwie informuje, że oskarżenia nie są poparte żadnymi dowodami, ba, nawet jeśli informuje, że udowodniono ich fałszywość.

Aby uświadomić sobie, że dofinansowanie przez rząd z publicznych środków publicznego szpitala ma się nijak do okradania takiegoż szpitala przez układ nawzajem poświadczających sobie nieprawdę złodziei z partyjnego nadania, trzeba choć przez moment pomyśleć, a przecież wiadomo od dawna, że większość konsumentów medialnego „kontentu" nie szuka w nim materiału do przemyśleń, tylko potwierdzenia swoich emocji. Jeśli są to np. emocje niechęci do PiS, to każda zgodna z nimi fraza jest przyjmowana i wmontowywana w „ramy poznawcze" bez prób weryfikacji – tak jak ludzie poddani emocjom żydofobicznym bezkrytycznie powtarzali latami oczywistą brednię o „czterech tysiącach Żydów", którzy nie przyszli do World Trade Center.

Osobom podatnym wystarczy sugestia. Tusk posługuje się nią chętnie i często. „Chodzą słuchy – napisał swego czasu w społecznościówkach – że prezydent Nawrocki i PiS chcą nas wciągnąć do wojny z Iranem. Ja na to nie pozwolę". Zamiast „chodzą słuchy" jego ludzie używają też chętnie frazy „podobno". „Podobno Krzysztof Stanowski był pacjentem dr. Jędrzejewskiego" – próbował gasić pożar Roman Giertych. Nie był. A gdyby nawet był, to co z tego? Giertych mógł być

eprasa.pl e248126c5c

spokojny, że publiczność, do której się zwraca, o to nie zapyta.

Tu oczywiście mówimy już o zwracaniu się wyłącznie do przekonanych, zdeklarowanych zwolenników. To, można powiedzieć, druga linia obrony w wizerunkowej bitwie. I od dłuższego już czasu to jej właśnie broni władza – coraz częściej sięgając po klasyczny „argument Urbana": tak, jesteśmy uświnieni, ale wszyscy inni też. To oczywiste spuszczenie z tonu w porównaniu z okresem kampanii wyborczej, gdy po ośmiu latach wybielania przez media rządów sprzed roku 2015 i oczerniania wszystkiego, co było po zmianie władzy, Tusk występował z pozycji „moralnej wyższości" i perorował o „rządach łajdaków". Ale cofnięcie się na strategiczne pozycje zwracania się tylko do swojego elektoratu i ograniczenie do immunizowania go na przekazy płynące spoza „bańki" ma ten plus, że można do woli, bezkarnie, zaprzeczać samym sobie. Na przykład po trzech latach krzyku, że „PiS to Rosja", oskarżyć, dla odwrócenia uwagi od ocierającego się o zdradę państwa tajnego przekazania Patriotów, że PiS oddał Ukrainie znacznie więcej broni. Silny Razem nawet nie zauważy kolejnej zmiany narracji, tak jak nie zauważył tego wiele razy wcześniej.

Cała reszta jednak wydaje się wyzwalać spod wpływu propagandy, choć na razie nie widać tego w sondażach – spadki KO są tu minimalne i rekompensowane stabilną pozycją koalicjanta, Lewicy. Ale już analizy sentymentów komentarzy internetowych pokazują narastające załamanie zasięgów rządowej propagandy.

Decydują o tym trzy elementy. Po pierwsze – rutynowe dopisywanie kolejnych krytycznych wobec rządu Tuska mediów do listy „pisowskich radiowęzłów" przekroczyło jakiś poziom krytyczny i stało się śmieszne. Wirtualna Polska, Zero, Polsat – to PiS? Brzmi to równie wiarygodnie, jak rozpaczliwe tłumaczenie kolejnych kompromitacji „rozliczeń" argumentem: „Prokuraturą i sądami wciąż rządzi Ziobro", a fatalnych notowań rządu „nieumiejętnością pochwalenia się swymi niewątpliwymi sukcesami" i tym, że „strona demokratyczna nie była w stanie stworzyć swoich mediów, a prawicowe media rosną w siłę".

Po drugie – te „swoje" media, które ma rząd w dyspozycji, stały się tak jawnie stroną w politycznej wojnie, że coraz mniej Polaków traktuje je jako źródło obiektywnych opinii. A to był filar opanowania obozu liberalno-progresywnego w debacie publicznej III RP. To, że udało się zaprogramować neurolingwistycznie masy do odruchowego myślenia, iż są „media" i „media prawicowe", „dziennikarze" i „dziennikarze prawicowi". Tę fikcję coraz wyraźniej zastępuje podział: media rządowe – media opozycyjne. Tak mści się na Tusku głupota, którą było natychmiastowe przejęcie TVP „na rympał" i oddanie jej oszalałym propagandystom w typie pani Sznepf, gdy można było przejąć ją w kilka miesięcy lege artis i zachowywać pozory. PiS w roku 2015 popełnił ten sam błąd, ale działał w panice, wywołanej histerią, którą zgodny wtedy front wszystkich telewizji urządził prezydentowi elektowi Andrzejowi Dudzie pod pretekstem zmyślonych „kilometrówek". Tuska nic do takiego pośpiechu nie zmuszało, skoro mógł liczyć na wpływową i gorliwą TVN oraz co najmniej zdystansowany wobec PiS Polsat, a wpływ TVP był w roku 2023 ograniczony do najtwardszych zwolenników PiS.

Premiera zaczęły opuszczać „autorytety". Nie widać było osób „z nazwiskami" chętnych do autoryzowania sobą strategii rozmywania afery szpitalnej

Druga niekorzystna dla Tuska okoliczność to słabnące zaangażowanie TVN, którego pracownicy po prostu boją się nowego właściciela. Axel Springer zwalnia, Agora zwalnia, zatrudniają dziś tylko media opozycyjne – to skutecznie tępi oddanie wyrobników medialnego kontentu „stronie demokratycznej". Czy nawet przy dawnej skali zaangażowania, jak w złotych czasach Jakuba Sobieniowskiego, Macieja Knapika i Katarzyny Kolendy-Zaleskiej, udałoby się przekonać raz jeszcze Polaków do oddania czci „Abopisowi", to inna sprawa. Politycy PiS, być może wyciągnąwszy wnioski z sukcesu krakowskiego referendum, rozsądnie nie pchali się tym razem do pierwszej linii demaskatorów, zostawiając ujawnianie faktów mediom.

WBICIE NOŻA W PLECY

Zwróćmy też uwagę – i to trzecia sprawa – że Tuska zaczęły opuszczać „autorytety". Nie widać było osób „z nazwiskami" chętnych do autoryzowania sobą strategii rozmywania afery szpitalnej. A te „autorytety", które przy Tusku zostały, z nadgorliwości wbiły mu nóż w plecy, spontanicznie wpisując swój obóz w antypolską propagandę Zełenskiego i relatywizowanie zbrodni UPA, dokładnie pod prąd nastrojom wyborców.

Te trzy czynniki nakładają się na ogólne rozczarowanie w segmencie, który dotąd decydował o „teflonowosci" Tuska: w grupie aspirującej do awansu społecznego, która uwierzyła propagandzie, że jest „klasą średnią". To ci właśnie ludzie, spojeni poczuciem wyższości nad „pisowską hołotą", uporczywie wypierali dotąd ze świadomości wszelkie złe strony „swojej" władzy, podchwytując każdy dany im do tego pretekst. Ale ich poparcie dla Tuska wiązało się z oczekiwaniem, że ten „coś im da", przekieruje transfery społeczne, które PiS uruchomił dla biednych, do nich. Nie doczekali się niczego takiego, w większości przez ostatnie dwa i pół roku zbiednieli. Dla tej grupy nie byłoby problemem samo w sobie to, że w szpitalu jest osobna obsługa dla „lepszych". Policzkiem jest dla niej, że ona wcale nie została do tych lepszych zaliczona, że musi tłoczyć się na tym samym SOR dla pospólstwa z „pisowską hołotą", która w dodatku wcale nie wydaje się biedniejsza od nich. Gorzej – potwierdzają to statystyki i badania – tzw. klasa ludowa, czyli „starsi, gorzej wykształceni i z mniejszych ośrodków", nieobciążona takimi długami jak rzekoma „średnia", jeździ na bardziej „wypasione" wakacje od nich. A to dla „klasy średniej" bolesne rozczarowanie i krzywda, która otwiera ją na antyrządowe przekazy, może nie te z Republiki i innych mediów stygmatyzowanych PiS, ale te z Internetu i od Stanowskiego – już tak.

Dlatego – jak sądzę – tego już się zamieść Tuskowi nie uda. Dawid Kacprzyk może się okazać kolejnym Rywinem i uruchomić podobny łańcuch zdarzeń, z podobnym skutkiem dla „obozu demokratycznego", jak ćwierć wieku temu dla formacji postkomunistycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Pasmo Nawrockiego

Dwudziestotrzyletni syn prezydenta próbuje swoich sił w tworzeniu internetowego medium. Niedawno wystartował jego autorski kanał Pasmo. Kim jest Daniel Nawrocki?

Nie uważam, że to ma być coś przełomowego, nie będziemy konkurencją dla Kanału Zero. Założeniem Pasma jest to, że osoby współtworzące będą miały swoje – właśnie – pasma. Pasmo Daniela Nawrockiego, pasmo Samuela Pereiry. Nikt oprócz autora nie ma mieć wpływu na to, co dana osoba robi. Wyciągniemy trochę ludzi z telewizji i pokażemy ich w Internecie – zapowiadał Nawrocki w „Szalonym Podcaście".

1 lipca wystartował kanał syna prezydenta Polski. – Po roku przygotowań, rozmów, tworzenia projektu w końcu mogę to powiedzieć. Witajcie na kanale Pasmo! Zacznijmy od pań. Format beauty. Klaudia Gruba i Anna Popek. Samuel Pereira będzie komentował i analizował bieżące spory polityczne, tematy polityczne. To jest taka nuta dyskusji z samym sobą. Moim zdaniem to będzie bardzo ciekawe. Mamy na pokładzie też Artura Cejrowskiego, który będzie rozkładał na czynniki pierwsze teorie spiskowe i zastanawiał się, dlaczego tak wiele osób w nie wierzy – opowiada dziennikarz w wideo inaugurującym projekt.

– Zapraszam was również na swoje pasmo, gdzie będę rozmawiał z celebrytami, aktorami i muzykami o ich życiu, o ich karierze, jak wyglądała ich droga na szczyt, ale pokażemy to z bardziej biograficznej strony, aby mogli opowiedzieć o sobie, zamiast szukania sensacji czy kontrowersji w ich życiorysie. A razem z Klepsydrą [popularny twórca internetowy – przyp. red.] będziemy prowadzić format gamingowy, w którym będziemy rozmawiać z ciekawymi gośćmi – ogłosił. Dwudziestotrzylatek zaznacza, że interesuje się e-sportem. – To już od wielu, wielu lat nie jest nisza i Polacy osiągają sukcesy na arenie międzynarodowej, jeżeli chodzi o gry komputerowe. Zainteresowanie społeczeństwa również wzrasta. Mamy bardzo wielu ciekawych twórców, którzy tworzą treści o e-sporcie, którzy sami są czynnymi zawodnikami i również stają się osobami publicznymi właśnie poprzez takie platformy jak Twitch, YouTube czy Kick – wskazał. W Pasmo jest też zaangażowany m.in. Marek Pyza z tygodnika „Sieci".

Daniel Nawrocki podkreśla, że to dopiero początek. – Chcę się rozwijać, jestem w tym świeży, pewnie nie mam wielkiego talentu do prowadzania kanału na YT. Musisz to praktykować, żeby zdobywać wiedzę teoretyczną. Jestem świeżynką na rynku internetowym – zaznacza. Pasmo jest realizowane w studiu stacjonarnym. – Nie jest to na razie redakcja, ale raczej zaawansowany start-up. Nie chcę mieć wpływu na treść. Nie chcę, aby odbierano Pasmo jako tylko moje dziecko. To efekt burzy mózgów wielu osób. Uważam, że na przestrzeni, którą mamy zaaranżowaną, mamy najlepsze studio w Polsce. Jest kompaktowe – mamy kadr do każdego z programów, a każdy jest inny. Studio nie jest duże, ale wystarczające – mówił Nawrocki w „Szalonym Podcaście".

Przyznaje, że nowy kanał to krok w nieznane i eksperyment. – Wszystko jest tu eksperymentem. Mam wrażenie, że Samuel Pereira jest najciekawszy. To osoba, którą albo się lubi, albo nie. Przez wiele miesięcy szukaliśmy kogoś, z kim Pereira mógłby dyskutować, ale nie znaleźliśmy. Szukaliśmy złotego środka. W końcu będzie tak, że będzie przedstawiał różne punkty widzenia na jedną sprawę – przekazał.

Nie jest to pierwsza styczność 23-letniego syna Karola Nawrockiego z platformą YouTube. Jego osobiste konto zebrało ponad 40 tys. subskrybentów, a na kanale publikowane są zarówno wywiady (np. z wicemarszałkiem Sejmu Krzysztofem Bosakiem z Konfederacji i Janem Kanthakiem z PiS), jak i relacje z wydarzeń (pielgrzymka kibiców na Jasną Górę) oraz treści lifestyle'owe (rozmowa z kocią behawiorystką, przepis na idealne żeberka z grilla). Najwięcej wyświetleń wygenerowały filmy związane z kampanią prezydencką Karola Nawrockiego. Wywiad z mamą, pierwszą damą Martą Nawrocką, wyświetlono ponad 470 tys. razy. Szerokim echem, także w mediach tradycyjnych, odbił się film pt. „Za kulisami zwycięstwa. Dzień wyboru okiem Nawrockiego!", gdzie syn przyszłego prezydenta pokazał 1 czerwca od kulis. Rodzinne głosowanie w komisji na Pradze-Północ, Msza Święta w pobliskim kościele, później przygotowania do wieczoru wyborczego. Całość jest naturalna, nieidealna technicznie, co tylko wzmaga wrażenie zajrzenia do wnętrza rodziny Nawrockich.

DZIEŃ DOBRY, POLSKO

Po raz pierwszy Polska poznała najstarszego z trojga dzieci Karola i Marty Nawrockich podczas prezentacji kandy-

eprasa.pl e248126c5c

data na prezydenta w listopadzie 2024 r. w Krakowie. To właśnie Daniel zapowiedział wejście ojca na scenę. – Szanowni Państwo, nazywam się Daniel Nawrocki. Za chwilę na scenę wejdzie ktoś, kto jest dla mnie kimś więcej niż kandydatem na prezydenta. To mój tata. Zawsze gotowy, zawsze obecny, zawsze pomocny. To dla mnie wielki zaszczyt. Tato, zapraszam Cię na scenę – ogłosił. Student towarzyszył ojcu w kampanii. Udzielał wywiadów, był aktywny w sieci.

Ostatniego dnia kampanii przed drugą turą głosowania udzielał wywiadu Radiu Wnet, będąc w centrum „akcji". – Rzeczywiście jestem w centrum. Wczoraj Gdańsk, Warszawa, potem Sopot. Dołączyłem do taty w Małopolsce i dziś od samego rana z nim podróżuję – opowiadał. – Walczymy o mobilizację. Chcemy, aby była jak najwyższa frekwencja i aby tata zwyciężył 1 czerwca – dodał. Z kolei w rozmowie z „Super Expressem" opowiadał, jak jego rodzina odbiera ataki na ojca – w ostatnim tygodniu kampanii portal Onet opublikował materiał łączący Karola Nawrockiego z działalnością sutenerską w Grand Hotelu w Sopocie. Dziś w tej sprawie toczy się proces wytoczony redakcji przez prezydenta. – Wiedzieliśmy, jakie to będzie wyzwanie dla naszej rodziny, dla każdego z nas, jaka to jest odpowiedzialność, jaka to będzie stawka. Często ludzie pytają nas, czy da się na to przygotować. Ja powtarzałem, że to czas zweryfikuje. Już jesteśmy na samym końcu kampanii, jesteśmy razem szczęśliwi, uśmiechnięci i wspieramy się, więc wydaje mi się, że udało nam się przygotować do tego – podkreślał.

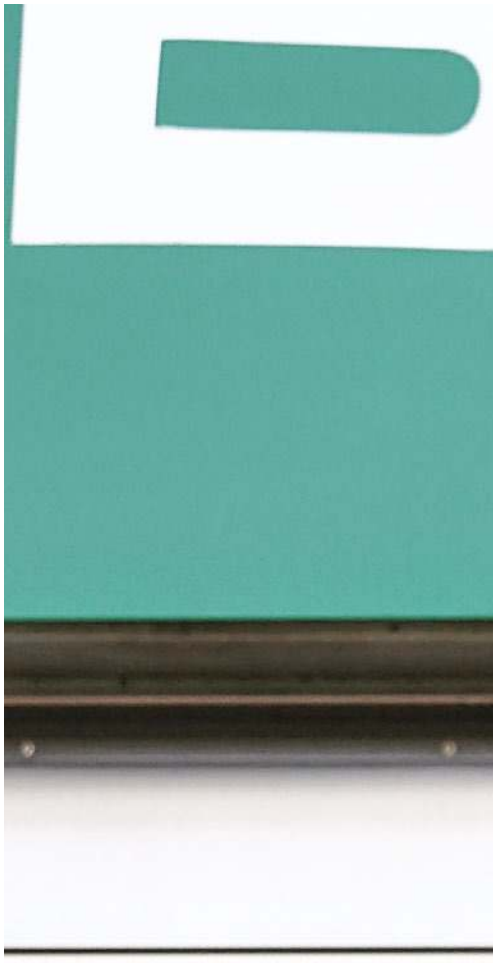
Zapytany, jak się czuje z negatywnymi określeniami, które pojawiają się na temat jego ojca w sieci, odparł: – To boli, bo ja go znam najlepiej wraz z mamą, z rodzeństwem. Te zarzuty w jego stronę są nieprawdziwe, ale z drugiej strony to nas buduje, bo widzimy, jak system, jak służby, jak państwo boi się mojego taty i nie chcą dopuścić do tego, by on wygrał te wybory.

DZIENNIKARSTWO I POLITYKA

Po wygranej ojca Daniel Nawrocki pozostał w Gdańsku. – Miałem dylemat. Przez długi czas nie wiedziałem, jak to się skończy. Walczyłem o koty, bo bardzo je uwielbiam, mam trzy. Bardzo się z nimi zżyłem, pewnie dlatego, że najwięcej z nimi przebywałem. Zawsze było mi bliżej do Gdańska. Cieszę się, że tam zostałem. Tam są moje studia; moja praca nie wymaga, żebym był w jednym konkretnym miejscu – opowiadał w „Szalonym Podcaście".

Przez rok studiował stacjonarnie historię, podobnie jak Karol Nawrocki, jednak obecnie jest studentem prawa w trybie zaocznym. Od zawsze ciągnęło go do mediów. „Od najmłodszych lat wiedziałem, że chcę opowiadać historie. Prawdziwe, czasem trudne, czasem niewygodne, ale zawsze ważne" – pisał o sobie w serwisie X. – Pracuję w mediach od 16. roku życia. Zacząłem od praktyk wakacyjnych w Radiu Gdańsk, gdy latałem po mieście z mikrofonem i robiłem sondy uliczne, wywiady, nagrywałem „setki" ze sportowcami. Po maturze zacząłem pracę na pełen etat w „Dzienniku Bałtyckim". Superdoświadczenie. Często to były konferencje lokalnych polityków o krzywej drodze. Czułem, że robię coś pożytecznego. Miałem megafun z tej pracy. Pracowałem tam prawie dwa lata – wskazał w podcaście.

Razem z kolegami założył też branżowy portal Gazeta Morska, który funkcjonuje do dziś. Daniel Nawrocki jest ujęty w stopce redakcyjnej jako dziennikarz. Przeprowadzony przez młodego adepta dziennikarstwa wywiad z 2023 r. wrócił podczas kampanii. Chodziło o rozmowę dla „Dziennika Bałtyckiego" ze skazanym za wyłudzenie mieszkania od osoby z niepełnosprawnością intelektualną patoinfluencerem Pawłem B. Nawrocki opisał kulisy zatrzymania mężczyzny i jego działalność charytatywną. „Gazeta Wyborcza" wytykała, że zabrakło informacji o tym, za co został skazany uczestnik freakfightów. Sam Nawrocki, odpowiadając na krytykę, przypomniał, że w 2023 r. miał 20 lat. „Tematy związane z freakfightami budziły wtedy ogromne zainteresowanie społeczne, dlatego temat pojawił się na porannym zebraniu redakcyjnym. Zgłosiłem się do jego realizacji" – wyjaśnił. Dodał, że w leadzie wywiadu wspomniał, iż Paweł B. odbywa karę pozbawienia wolności za oszustwa. „Osobiście nie miałem i nie mam żadnego osobistego kontaktu z tym panem, tak samo jak mój Tata" – dodał. A „Gazecie Wyborczej" zarzucił motywowany politycznie hejt.



Daniel Nawrocki jest założycielem kanału Pasmo, ale do współpracy zaprosił innych twórców FOT. PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

Po wygranych wyborach syn prezydenta dostał propozycję poprowadzenia własnego programu w telewizji wPolsce24 i od sierpnia realizuje format „Nawrocki w Polsce". Dziennikarz jeździ po kraju, gdzie spotyka się z gośćmi z różnych dziedzin. Pierwszą rozmowę w ramach programu przeprowadził z byłym gwiazdorem stacji TVN Filipem Chajzerem.

Daniel Nawrocki próbował swoich sił w polityce. Działał w Młodzieżowej Radzie Miasta Gdańska, a w 2024 r. bez powodzenia ubiegał się o mandat miejskiego radnego z listy PiS. Dostał się jednak do Rady Dzielnicy Siedlce, gdzie pełni funkcję zastępcy przewodniczącego. „Od zawsze sport był moją pasją. Trenowałem m.in. judo i koszykówkę, a w 2023 r. zostałem powołany na członka Młodzieżowej Rady Sportu przy ministrze sportu. Moja praca na rzecz Gdańska inspiruje mnie do

eprasa.pl e248126c5c



dalszego działania. Gdańsk to mój dom, to moje rodzinne miasto. Dlatego będę wdzięczny za każdy głos w najbliższych wyborach samorządowych. Bądźmy razem, budujmy wspólnie Gdańsk!" – tak „reklamował" się wtedy Daniel Nawrocki.

GDAŃSK W SERCU

W „Szalonym Podcaście" opowiedział o tym, jak to jest być synem prezydenta. – Trudno to przetrawić. Uczucia związane z tym, że mój tato jest prezydentem, są trudne – i nie dlatego, że coś się zmieniło w naszej relacji czy rodzinie, tylko dla mnie to jest tata. Dla innych to jest ktoś najważniejszy w Polsce, a dla mnie i mojego rodzeństwa to tata – przyznał, wspominając pierwsze godziny po zwycięstwie ojca. – Wielka radość, bo droga do tej prezydentury trwała prawie rok. Wszystkie ręce na pokład i lecimy. Masa czasu poświęconego, aby projekt „Karol Nawrocki 2025" się powiódł. To kosztowało wszystkich masę energii. 1 czerwca, zwieńczenie tego wszystkiego, to był superdzień. Wielka radość, spełnienie. Tyle czasu poświęcasz się czemuś i dowieźliśmy to wszyscy, przede wszystkim tata – podkreślał.

W nocy z 1 na 2 czerwca Daniel Nawrocki wrócił do rodzinnego domu w Gdańsku. – Wstaję rano w tym samym mieszkaniu, gdzie się wychowałem, gdzie były jakieś pierwsze szlabany, przeleciało mi, w dobrym znaczeniu, całe życie przed oczami – mówi. Jak podkreśla, ma bardzo bliską i mocną relację z ojcem. Nie jest biologicznym synem Karola Nawrockiego.

– Jestem ojcem wspaniałego syna, Daniela, który ma 21 lat. Bardzo go kocham. Bez niego nie wyobrażam sobie życia. Wychowuję go od drugiego roku życia. Nie jest moim biologicznym synem. Nie znam innego życia, jak z Danielem, a on nie zna innego ojca, jak ja. Mamy świadomość w moim rodzinnym domu, że Daniel żyje za sprawą głębokiej odporności psychicznej, poświęcenia i gotowości jego młodej wówczas mamy, by go urodzić i żeby życie wygrało. Ta sytuacja […] buduje mnie osobiście – opowiadał obecny prezydent jeszcze jako prezes IPN pod koniec 2024 r.

Daniel Nawrocki pytany o autorytet ze świata mediów wskazał na Bogdana Rymanowskiego z Polsatu. – Bardzo dzisiaj ciężko jest być obiektywnym. Redaktor Bogdan Rymanowski to podręcznikowy przykład obiektywizmu. Choć zakładamy, że jakieś poglądy ma, to oglądając jego materiały, trudno wyczuć, w którą stronę idą – stwierdza. Czy prezydent ingerował w plany medialne swojego syna? – Informowałem tatę o kolejnych postępach. Ani się nie radziłem, ani on nie miał rad – wyjaśnia Daniel Nawrocki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c

Intrygujący naziści, czyli wybielanie z brunatnej farby





Piotr Semka

Dawni urzędnicy III Rzeszy i bohaterowie goebbelsowskiej propagandy powracają dziś na cokoły jako tragiczne ofiary ze „skomplikowanym życiorysem". Pod pretekstem fascynacji niemieckim dziedzictwem Ziem Zachodnich liberalne elity metodycznie zmywają z niewygodnych biografii brunatną farbę

Jeśli są państwo na etapie nieprzyjemnego zdziwienia honorowaniem pruskiego burmistrza Hermanna Hakena rondem w Szczecinie lub obruszają się państwo na powrót nazwy „Kaiserbrücke" na Most Grunwaldzki we Wrocławiu, to warto sobie uświadomić, że nic nie stoi w miejscu. Sięganie po niemiecką tradycję polskich ziem zachodnich idzie już dalej. Zaczyna obejmować i „legalizować" pamięć o ludziach, którzy mieli w swoim życiorysie czy to pracę w administracji III Rzeszy, czy też wprost aktywny udział w okupacji Polski. Niemożliwe? A jednak. Oto parę przykładów takiego wybielania niemieckich historycznych postaci z dziejów Dolnego i Górnego Śląska w ostatnim czasie.

HERBERT CZAJA, CZYLI PIERWSZA PRZYMIARKA

Gdy w 1996 r. długoletni lider ziomkostw śląskich Herbert Czaja (1914–1997) przyjechał do Polski, liczne media polskie i niemieckie uznały to za prawdziwy znak pojednania. Oto człowiek, który obok Herberta Hupki był postacią, którą straszyła Polaków propaganda PRL, odwiedził swoje rodzinne miasto Cieszyn oraz pobliski beskidzki Skoczów, w którym ukończył szkołę. W 2015 r. z okazji 100. rocznicy urodzin Czai Towarzystwo Przyjaciół Skoczowa oraz Towarzystwo Społeczno-Kultural-

eprasa.pl e248126c5c



Mecz towarzyski Szwajcaria kontra Niemcy 3:5 (2:3), 18 października 1942 r. Niemiecka drużyna wykonująca salut Hitlera. Siódmy od lewej to Ernest Wilimowski FOT. SCHIRNER SPORTFOTO/PA/PAP

ne Niemców Województwa Śląskiego zaproponowało wmurowanie specjalnej tablicy ku czci Herberta Czai, przedstawiając go jako promotora pojednania. Inicjatywa ta oburzyła część mieszkańców Skoczowa. Przypomniano, że Czaja zaakceptował granice na Odrze i Nysie, dopiero gdy Helmut Kohl ostatecznie uznał granice Polski w 1991 r. Ale jeszcze rok wcześniej, w 1990 r., głosił pogląd, że nie można uznać zjednoczenia Niemiec za pełne, gdyż nie brały w nim udziału wschodnie prowincje z 1937 r. Zaproponował wówczas utworzenie z zachodniej Polski obszaru autonomicznego pod kontrolą międzynarodową.

Ale nie to było najbardziej szokujące w życiorysie Czai. Jak wskazali historycy, Czaja, który przed wojną studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim jako Niemiec mieszkający w Polsce, w listopadzie 1939 r. przybył do grodu pod Wawelem wraz z generalnym gubernatorem Hansem Frankiem. Od stycznia do kwietnia 1940 r. likwidował Jagiellonkę jako niemiecki urzędnik. Co więcej, został potem dyrektorem niemieckiego gimnazjum w okupowanym Zakopanem, a następnie w takiej samej niemieckiej szkole w Przemyślu. W tym samym czasie był członkiem nazistowskiej organizacji dla Niemców w Generalnym Gubernatorstwie o nazwie Deutsche Gemeinschaft. Potem został powołany do Wehrmachtu, w którym służył od marca 1943 r. i na początku 1945 r. został ranny.

Obrońcy kontrowersyjnego kandydata na tablicę pamiątkową wyśmiewali przeciwników takiego upamiętniania, wskazując, że powielają wzory propagandy PRL

Po wojnie był jednym z czołowych działaczy ziomkostw wysiedleńców. Wobec kontrowersji rada miasta wycofała się z pomysłu, ale gdyby nie szybka i ostra reakcja garstki historyków, tablica by zapewne zawisła. Co więcej, w sporze o Czaję dał się wtedy poznać po raz pierwszy Krzysztof Ruchniewicz, późniejszy szef Instytutu Pileckiego. Ruchniewicz bronił lidera Związku Wypędzonych, używając argumentu, że Czaja był zniesławiany przez propagandę PRL, i argumentując, że wielokrotnie przesadzano w jego demonizowaniu. Podkreślał też, że Hupka miewał kłopoty z władzami niemieckimi z racji żydowskiego pochodzenia dziadków ze strony matki. Nie negował jednocześnie, że Czaja służył w administracji niemieckiej na terenie okupowanej Polski, ale też nie uważał tego za coś nadzwyczajnego. Głosił, że dyskusja na jego temat „powinna być prowadzona z wyłączeniem emocji, uprzedzeń, a przede wszystkim rzeczowo".

Sprawa Herberta Czai wyznaczyła pewien nowy standard w tego typu sporach. Obrońcy kontrowersyjnego kandydata na tablicę pamiątkową wyśmiewali przeciwników takiego upamiętniania, wskazując, że powielają wzory propagandy PRL, że nie chcą zauważyć pozytywnej przemiany bohatera, i podkreślali zazwyczaj jasne aspekty życiorysu danej osoby. A dodatkiem do tej retoryki będą frazy o „skomplikowanym życiorysie" czy „poplątanych losach ludzi pogranicza".

ŻYCIE PEŁNE ZAKRĘTÓW

Kolejną postacią z nazistowskim epizodem w życiorysie, która uzyskała w niektórych kręgach status kultowy, był piłkarz Ernest Wilimowski, znany też pod przydomkiem Ezi. Ten przybrany syn powstańca śląskiego był jednym z najlepszych futbolowych reprezentantów Polski przed 1939 r. Problem w tym, że po pokonaniu Polski przez hitlerowców we wrześniu 1939 r. Wilimowski przeszedł do reprezentacji państwowej III Rzeszy. W celu uniknięcia służby wojskowej w Wehrmachcie został policjantem i kontynuował karierę sportową w policyjnych klubach. Grał w klubach: Bismarckhütter SV (1939), 1. FC Kattowitz (1939–1940), PSV Chemnitz (1940–1942 – Puchar Związku Rzeszy w 1941 r.) i na koniec w TSV 1860 Monachium (1942–1943). Dodatkowo został bohaterem propagandy Goebbelsa jako żołnierz Wehrmachtu. Próby wskrzeszenia kultu Wilimowskiego na obecnym Górnym Śląsku podjęły dwa środowiska. Z jednej strony część kibiców Ruchu Chorzów, którzy uważają, że był to jeden z najlepszych polskich piłkarzy, a z drugiej aktywiści Ruchu Autonomii Śląska, którzy budują kult piłkarza, widząc w nim przykład poplątanych, niełatwych losów Ślązaków.

Wilimowski został po wojnie w Niemczech i tam zmarł w 1997 r. Niedawno wyszło na jaw, że jego grób ma być zlikwidowany na cmentarzu w Karlsruhe, ale Stowarzyszenie Historia Ruchu Chorzów zorganizowało akcję na rzecz jego przeniesienia. Zaangażował się w nią europoseł Łukasz Kohut z Koalicji Obywatelskiej. Wzywano Polski Związek Piłki Nożnej, by finansowo wsparł starania kibiców Ruchu Chorzów na rzecz uratowania grobu Wilimowskiego. Charakterystyczne dla stylu opowiadania o Wilimowskim były słowa Damiana Sifczyka ze Stowarzyszenia Histo-

eprasa.pl e248126c5c

ria Ruchu, który nad odtworzonym grobem futbolisty mówił: „Zebraliśmy się tutaj, by pożegnać człowieka, którego życie było tak ważne i pełne zakrętów jak dryblingi na boisku".

Obrońcy Wilimowskiego twierdzą, że gdyby nie przeszedł po Wrześniu '39 do reprezentacji, to jego matka miałaby być wtrącona do obozu koncentracyjnego. Ale żadnych dowodów na to nie ma, oprócz twierdzeń samego Wilimowskiego, który w naturalny sposób był zainteresowany tworzeniem alibi dla swojej zmiany barw. Aby legendę „Eziego" jeszcze bardziej ocieplić, związany ze środowiskiem autonomistów śląskich Robert Talarczyk napisał scenariusz sztuki „Ezi", która przedstawia przypadkowe spotkanie trenera kadry polskiej Kazimierza Górskiego w 1974 r. na mistrzostwach piłki w RFN z Wilimowskim. Jest to nawiązanie do krótkiej wzmianki we wspomnieniach Górskiego o takim spotkaniu, ale Talarczyk robi z tego ponadgodzinny dialog prezentujący Wilimowskiego jako tragiczną postać skazaną przez historię na niełatwe wybory.

Kazimierz Górski już nie żyje, tak jak Wilimowski, więc dziś Talarczyk w swoim fikcyjnym wyobrażeniu ich spotkania może wkładać w ich usta dowolne zdania mające wzbudzić u widza sympatię do „Eziego"i zrozumienie go. W lutym tego roku inscenizację tej sztuki w reżyserii Janusza Zaorskiego wyemitowała TVP w likwidacji.

Ale tzw. regionaliści śląscy sztukę o Wilimowskim traktują tylko jako etap na drodze do pełnej rehabilitacji swego bohatera i zapowiadają, że będą walczyć o nadanie jego imienia ulicom w poszczególnych miastach śląskiej aglomeracji. W tej masowej „ezimanii" najbardziej trzeźwą opinię na temat wojennego epizodu Wilimowskiego zaprezentował niemiecki dziennikarz Thomas Urban, który napisał książkę o Polakach w niemieckiej kadrze piłkarskiej.

„Po klęsce pod Stalingradem w lutym 1943 r. władze (III Rzeszy) odwołały wszystkie mecze międzynarodowe i zawiesiły rozgrywki krajowe. Reprezentanci (kadry), w tym Wilimowski, zostali powołani do wojska. Mieli stanowić wzór, prasa drukowała ich zdjęcia w mundurach [...], z frontu nie wróciło 33 reprezentantów Niemiec. Wilimowski został ranny, prawdopodobnie na Ukrainie. Kilka tygodni spędził w lazarecie. Koniec wojny zastał go w zachodnich Niemczech okupowanych przez aliantów".

W odróżnieniu od wielu swoich rówieśników Wilimowski przeżył pierwsze cztery lata wojny w luksusowych warunkach piłkarza III Rzeszy. W opinii jego obrońców nie miał innego wyboru. Nie dodają jednak, że był to bardzo wygodny dla Wilimowskiego wybór.

SPÓR O BUDOWNICZEGO GLIWIC

W lipcu 2024 r. Andrzej Chodorowski, radny miasta Gliwice, zgłosił pomysł, by skwer przed Miejską Biblioteką Publiczną nazwać imieniem Karla Schabika (1882–1945). Radny Chodorowski podkreślał, że Schabik był 20 lat naczelnym architektem miasta i przyczynił się do nowoczesnego kształtu górnośląskiej metropolii. Zaprojektował liczne gmachy w mieście, wytyczał nowe ulice, wypełniał luki w zabudowie śródmieścia. Problem jest jednak jeden. Schabik pełnił swoją funkcję aż do stycznia 1945 r., kiedy weszli Rosjanie, którzy notabene go aresztowali i zesłali do łagrów, gdzie zmarł.

Przez 12 lat był zatem urzędnikiem administracji miasta Gliwice w warunkach III Rzeszy. Ale to nie koniec. Radni poprosili IPN o zaopiniowanie tego wniosku i okazało się, że w 1940 r. Schabik został wysłany do zajętych przez Niemców Katowic z zadaniem stworzenia nowego układu urbanistycznego dla miasta. W rezultacie historycy z IPN orzekli: „Karl Schabik w swojej działalności w pełni realizował politykę niemiecką, która stała w opozycji do polskich interesów na Górnym Śląsku". Po wydaniu takiego stanowiska przez IPN rada miasta przegłosowała odrzucenie wniosku o uhonorowanie Karla Schabika.

I wtedy do boju ruszyli publicyści „Dziennika Zachodniego" i portalu Ślązag. Małgorzata Lichecka z nieformalnej grupy Gliwice dla Schabika protestowała przeciwko decyzji rady, wskazując: „Tchnął taką nowoczesną myśl i uczynił z Gliwic miasto nowoczesne z bardzo ciekawymi rozwiązaniami architektonicznymi. Czy ta postać powinna być upamiętniana w miejskiej przestrzeni? Uważamy, że tak".

Z kolei Roman Balczarek na łamach „Dziennika Zachodniego" napisał: „Bojownicy o rzekomą wolność i jedynie słuszną wizję Śląska przybrali na wokalności mniej więcej od czasów pandemii. Dziś przeszkadza im głównie pruska przeszłość regionu i fakt, że mieli tu czelność żyć Niemcy".

Ten ostatni cytat jest bardzo charakterystyczny dla obrońców i zwolenników uczczenia Karla Schabika. Sugerują oni, że kwestią sporną jest sama niemieckość naczelnego architekta miasta i że jest to efekt irracjonalnej, histerycznej germanofobii. Tymczasem zastrzeżenie IPN opiera się na fakcie, że Schabik przyjął zaproponowaną mu funkcję rozpoczęcia działań nad przebudową Katowic w ramach planu uczynienia z przedwojennej stolicy polskiego województwa śląskiego wzorcowego miasta terenów włączonych do Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Charakterystyczne też jest skupienie gliwickich miłośników Schabika na czysto praktycznych efektach jego rozbudowy miasta bez zadania sobie pytania, czy można honorować człowieka, który był elementem nazistowskiej elity władzy. Na podobnej zasadzie można by było widzieć w Albercie Speerze jedynie utalentowanego architekta, pomijając to, że należał do najbliższego kręgu Hitlera.

INTRYGUJĄCY RABUŚ

W czerwcu br. na stronie internetowej Muzeum Narodowego we Wrocławiu ukazał się artykuł kierownika Gabinetu Dokumentów Muzeum Narodowego we Wrocławiu dr. Roberta Hesia z jego cyklu felietonów „Intrygujące". Materiał nazywał się „O Güntherze Grundmannie nieco inaczej". Doktor Robert Heś pisze: „50 lat temu, 19 czerwca 1976 r., w Hamburgu zmarł Günther Grundmann, historyk sztuki, malarz, rysownik, grafik i konserwator zabytków".

Doktor Heś zaznacza: „Była to postać niejednoznaczna. Z jednej strony uwikłany w nazistowski system, bezwarunkowo realizujący zadania zlecane mu przez partię [chodzi o NSDAP – przyp. P.S.], na polu kultury realizujący nacjonalistyczne idee germańskiej wyższości kulturowej nad Słowianami. Z drugiej zaś artysta, aktywny naukowiec, dydaktyk i sprawny urzędnik, który zabezpieczał przed zniszczeniami wojennymi dużą część

eprasa.pl e248126c5c

spuścizny artystycznej Śląska znajdującej się w zbiorach publicznych. I gdyby nie powojenne grabieżcze działania Armii Czerwonej oraz szabrowników, moglibyśmy się nimi cieszyć do dzisiaj".

Cała reszta tekstu to opowieść o losach jego życia, jego działalności na rzecz wspierania rzemiosła domowego w Karkonoszach, działań na rzecz organizacji wystaw w tym rejonie i aktywności jako członka Towarzystwa Karkonoskiego. Jak pisze dr Heś: „Choć do 1940 r. Günther Grundmann nie był członkiem NSDAP, to jego kariera w czasach III Rzeszy rozwijała się dynamicznie. W 1938 r. jako konserwator prowincji dolnośląskiej został włączony do struktury zarządu prowincji, przez co stał się urzędnikiem szczebla państwowego, co jednak pociągnęło za sobą większe zaangażowanie w działania aparatu partyjnego. Na tym stanowisku nie mógł już pozostawać poza strukturami partii i złożył wówczas wniosek o przyjęcie do NSDAP. Na przyjęcie w szeregi partii przyszło mu jednak czekać prawie dwa lata".

Przy próbach rehabilitacji Ernesta Wilimowskiego wprost stawia się tezę, że jego talent piłkarski i zdobyte gole w koszulce z białym orłem unieważniają zarzuty o założenie koszulki ze swastyką

Doktor Heś zwraca uwagę, że jego działalność zetknęła go z wieloma ważnymi postaciami życia artystycznego.

„Z jednej strony przyjaźnił się z Paulem Werthem, który kierował liberalnym pismem »Der Bote Aus Dem Riesengebirge« (zlikwidowanym przez nazistów w 1933 r.), z drugiej zaś strony aktywnie współpracował z Dagobertem Freiem, odpowiedzialnym za rabunek dzieł sztuki w okupowanej Polsce". Jak dowiadujemy się z tekstu, Grundmann utrzymywał dobre kontakty z polskimi historykami i konserwatorami sztuki, m.in. Janem Zachwatowiczem (Politechnika Warszawska), Franciszkiem Strzałką (Uniwersytet Jagielloński) czy Zbigniewem Hornungiem (konserwator okręgowy we Lwowie). Z tekstu dowiadujemy się, że w 1934 r. Grundmann razem z Dagobertem Freiem przeprowadzili nawet studyjny objazd po Polsce. Tyle że chwilę później autor tekstu przyznaje, że wykonane wówczas przez Grundmanna fotografie i szkice polskich zabytków zostały potem użyte w publikacji Freia o zabytkach w zajętej Polsce oraz na wrocławskiej wystawie „Niemieckie pomniki sztuki w byłej Polsce" z 1939 r.

Doktor Heś wydaje się więc nieco zaskoczony, pisząc: „Okazało się więc, że studyjna, naukowa podróż zabytkoznawcza po Polsce posłużyła potem do celów propagandowych i rabunkowych". Autor tekstu nie rozwija dalej wątku i nie kusi się o żadną moralną ocenę tego aspektu działalności bohatera swojego tekstu. Swoją publikację kończy dość pochlebną puentą: „Swoimi doświadczeniami związanymi z zabezpieczaniem dzieł sztuki podczas działań wojennych dzieli się potem w ramach ICOMOS (nazwa Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków i Miejsc Historycznych) oraz jako ekspert współtworzący Konwencję Haską z 1954 r. dotyczącą ochrony dóbr kultury podczas konfliktu zbrojnego, a od 1963 r. był członkiem niemieckiego Komitetu UNESCO".

Pracownik Muzeum Narodowego we Wrocławiu nie podzielił się ze swoimi czytelnikami żadną refleksją nad paradoksem, że wspólnik czołowego rabusia polskich dzieł sztuki w okupowanej Polsce dzielił się potem doświadczeniami na forach międzynarodowych nad tym, jak chronić dobra kultury w czasie wojen. Ot, „intrygujący" rabuś.

„MYŚMY WSZYSTKO ZAPOMNIELI"

Skąd bierze się ta narastająca znieczulica na szpetne, nazistowskie wątki w życiorysach Niemców związanych z naszymi Ziemiami Zachodnimi?

Każdy z opisanych przypadków jest nieco inny. Pomysł na uczczenie Herberta Czai mógł wynikać z chęci przekornego odczarowania postaci nadużywanej instrumentalnie przez propagandę PRL, ale i był symptomem nachalnego fetowania domniemanego spełnienia pojednania polsko-niemieckiego po 1991 r. Przypadek kultu Ernesta Wilimowskiego to przykład polityki budowania własnych bohaterów przez Ruch Autonomistów Śląskich połączony z bezkrytyczną dumą Ruchu Chorzów z niegdysiejszego zawodnika klubu i jego futbolowych osiągnięć.

Walka o uhonorowanie Karla Schabika to z kolei przykład zafascynowania „regionalistów śląskich" czysto technicznym aspektem historii Gliwic i ich dynamicznego rozwoju z lat przedwojennych, przy całkowitym lekceważeniu realiów III Rzeszy. I wreszcie kazus opisu muzealnika Günthera Grundmanna na stronie Muzeum Narodowego we Wrocławiu – to zafascynowanie historią sztuki na Dolnym Śląsku bez próby moralnej oceny bohatera tekstu i jego pośredniego, czy być może nawet bezpośredniego, udziału w rabowaniu zbiorów polskiej sztuki w czasie niemieckiej okupacji. Ale wskazać można na pewne czynniki łączące wszystkie cztery zasygnalizowane przypadki.

Po pierwsze – mija czas i ostrość bolesnych wspomnień na temat polskich krzywd ze strony Niemców po prostu blednie.

Po drugie – coraz więcej przedstawicieli polskiej liberalnej inteligencji na ziemiach zachodnich zaczyna wpadać w hipnotyczną wręcz fascynację cywilizacyjnym dziedzictwem postniemieckim na tych terenach, szczególnie tym z lat 1870–1945. Ta fascynacja zaczyna prowadzić do usprawiedliwiania losów niektórych postaci życia publicznego z lat rządów Hitlera. Używane jest litościwe alibi w stylu: „Takie to były czasy, takie były wtedy Niemcy" lub „Innych Niemiec wtedy nie było".

Wyjątkowo wyraziście widać to przy próbach rehabilitacji Ernesta Wilimowskiego. Tu wprost stawia się tezę, że jego talent piłkarski i zdobyte gole w koszulce z białym orłem unieważniają zarzuty o założenie koszulki ze swastyką.

A tych, którzy przeciw temu protestują, oskarża się o zacofanie, małostkowość, nienawistnictwo, chorobliwy antygermanizm i brak zrozumienia „złożoności tragicznych losów". Bardzo to łatwe dla fajnopolaków. I co gorsza, z biegiem czasu coraz łatwiejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Hanns Zischler jako Thomas Mann oraz Sandra Hüller jako jego córka Erika w filmie Pawła Pawlikowskiego „Ojczyzna”

FOT. AGATA GRZYBOWSKA

Muzyka przeciw demokracji

Filip Memches

Polscy czytelnicy mogą być zaskoczeni faktem, że sławny pisarz, którego przekonania kojarzone są z liberalizmem i humanizmem, podczas pierwszej wojny światowej był po prostu niemieckim nacjonalistą. Ślady jego przemyśleń z tamtego okresu znajdujemy w filmie „Ojczyzna”

Najnowsza produkcja fabularna Pawła Pawlikowskiego jest w polskich mediach oceniana różnie. I to mimo laurów, którymi została obsypana. Domyślam się, że krytyczne opinie dotyczące „Ojczyzny” są poniekąd pokłosiem uwikłania jej twórcy w bieżące nadwiślańskie spory polityczne. Pawlikowski nie kryje swojego negatywnego nastawienia do polskiej prawicy (zarzuca jej motywowane nacjonalizmem cenzurowanie rodzimej historii), więc nie przypadkiem jest postrzegany jako artysta bliski obozowi „obrońców demokracji”. W tej sytuacji wśród osób o poglądach prawicowych bardzo łatwo o uprzedzenia względem jego dzieł. Tyle że taka postawa przesłania widzom dostrzeżenie frapującego i nieoczywistego kontekstu, w którym można oglądać „Ojczyznę”. Ale po kolei.

Oczywiście najnowsza produkcja Pawlikowskiego jest poniekąd głosem reżysera w sprawach politycznych. Choć jest to film o przeszłości, to podjęte są w nim kwestie odnoszące się do teraźniejszości. Trzeba tu przede wszystkim wskazać problem relacji łączącej wybitnego pisarza z adorującą go władzą, która dąży do tego, żeby jej służył jako legitymizujący ją autorytet moralny. A to zjawisko ponadczasowe.

KRAJ ŻOŁNIERZY I ARTYSTÓW

I tak centralną postacią filmu jest Thomas Mann. Oto w roku 1949 słynny niemiecki literacki noblista przybywa z USA do swojej, podzielonej między Amerykanów i Sowietów, tytułowej ojczyzny po okresie emigracji politycznej, na którą udał się w czasach III Rzeszy. Manna chcą zawłaszczyć niemieccy polityczni dygnitarze z obu stron żelaznej kurtyny. On jednak, mimo narcystycznego usposobienia, które czyni go podatnym na to, żeby łaknąć prestiżu, okazuje się na te zaloty odporny. W gruncie rzeczy można odnieść wrażenie, że pisarz czuje się w Niemczech – i tych zachodnich, i tych wschodnich – obco. Jego prawdziwą ojczyzną okazuje się bowiem… muzyka. Świadczy o tym scena filmu, w której Mann wzrusza się, słuchając w zrujnowanym kościele wykonywanego na organach utworu Johanna Sebastiana Bacha. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Czy Pawlikowski jest jego świadomy – tego nie rozstrzygam. O co dokładnie chodzi?

Mann jest postrzegany jako intelektualista, który opuścił Niemcy w geście niezgody na nastanie narodowosocjalistycznej dyktatury. Jego przekonania kojarzone są z humanizmem i liberalizmem. Tyle że stanowiły one dla noblisty punkt dojścia. Punkt wyjścia Manna był bowiem zupełnie inny, o czym świadczą jego pisma z okresu pierwszej wojny światowej. Przede wszystkim należy tu wymienić powstały w latach 1914–1918 monumentalny esej „Rozważania czło-

eprasa.pl e248126c5c

wieka apolitycznego", wydany po polsku w roku 2022 przez Ośrodek Myśli Politycznej w Krakowie (przekład: Wojciech Kunicki). To książka, w której skądinąd został w mocno zawoalowany sposób zawarty wątek osobisty. Chodzi o ukrytą polemikę Thomasa Manna z jego bratem Heinrichem, również pisarzem, wówczas oponentem pruskiego militaryzmu. Ponadto warto wskazać tekst „Myśli w czas wojny", który się ukazał w czasopiśmie „Neue Rundschau" w roku 1914, a z jego polskim przekładem (autorstwa Tadeusza Zatorskiego) możemy się zapoznać w poświęconym twórczości Thomasa Manna numerze 2 kwartalnika „Kronos" z 2025 r.

Dla wielu czytelników znad Wisły zaskoczeniem może być fakt, że sławny pisarz u zmierzchu monarchii Hohenzollernów był po prostu niemieckim nacjonalistą. Ale jego nacjonalizm miał specyficzny charakter. Mann nie uprawiał propagandy. Nie miał w sobie nic z teutońskiego szowinisty zagrzewającego do boju swoich rodaków rozrzuconych na wojennych frontach. Był zbyt subtelnym umysłem, żeby zniżać się do poziomu takiej prymitywnej działalności. To, co pisał w okresie pierwszej wojny światowej, można interpretować jako niepozbawione autoironii refleksje na temat niemieckiej tożsamości kulturowej, antycypujące konserwatywną rewolucję. Tym mianem określono wielonurtowy ruch w polityce i kulturze międzywojennych Niemiec, którego spoiwo stanowiła – wywodząca się z filozofii Friedricha Nietzschego – kontestacja cnót mieszczańskich (cywilnych) i liberalizmu.

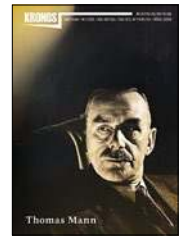
Zacznijmy od „Myśli w czas wojny". W tekście tym Mann porównuje artystów do żołnierzy. Afirmuje czyn zbrojny jako coś, co nosi wiele cech wspólnych z aktywnością twórczą. I stwierdza: „[…] duszy niemieckiej właściwa jest pewna głębia i irracjonalność, co sprawia, że uczuciu i osądowi innych, płytszych narodów wydaje się ona czymś, co zawadza, niepokoi – czymś obcym czy wręcz odrażającym i dzikim. I to jej »militarny«, jej obyczajowy konserwatyzm, jej żołnierska moralność – żywioł demoniczności i heroizmu wzbrania jej uznać ducha cywilnego za ideał ostateczny i najbardziej godny człowieka".

Przekaz ów znajduje swoje rozwinięcie w „Rozważaniach człowieka apolitycznego". W eseju tym Mann przeciwstawia Niemcy Zachodowi. Piętnuje aspiracje Francuzów do naprawiania ludzkości w imię ideałów oświecenia. Według pisarza są oni moralistami, których ambicją jest wyplenienie zewsząd barbarzyńskości i przerobienie każdego narodu na demokratyczne społeczeństwo masowe, premiujące schlebianie niskim potrzebom kosztem poczucia zobowiązania wobec wspólnoty narodowej.

Dla Manna demokracja jest równoznaczna z polityką. Dlatego sam siebie uważa za „człowieka apolitycznego" (do czego się odnosi tytuł książki). Wykpiwa parlamentarne dyskusje (stawia znak równości między nimi a polityką), natomiast na piedestał wynosi uczucia narodowe oraz religijność. I do swoich wywodów wprowadza figurę „literata cywilizacyjnego" lub „radykalnego literata". Terminy „literatura" i „cywilizacja" Mann traktuje alegorycznie i właściwie jako epitety. Wiąże je z postępem oraz racjonalizmem. Jako „literatów cywilizacyjnych" postponuje tych spośród swoich rodaków, którzy – jego zdaniem – zapatrzeni są we Francję, a do Niemiec – takich, jakimi są – odnoszą się z awersją (to aluzja do Heinricha Manna). Pisarz uderza w kosmopolityzm i świeckość. I jako przeciwieństwo literatury z jej zapędami dydaktycznymi wychwala muzykę. To właśnie poprzez nią (choćby poprzez twórczość Richarda Wagnera, której Thomas Mann był miłośnikiem) naród niemiecki wyraża sam siebie.



THOMAS MANN „ROZWAŻANIA CZŁOWIEKA APOLITYCZNEGO" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ, KRAKÓW 2022



„KRONOS" NR 2/2025

ZWYCIĘSTWO „LITERATA CYWILIZACYJNEGO"

Czytając „Myśli w czas wojny" oraz „Rozważania człowieka apolitycznego" można zapytać, co się stało z ich autorem, że potem przeszedł na pozycje liberalno-demokratyczne? Czyżby sam się stał wyszydzanym przez siebie „literatem cywilizacyjnym"? Pisarz nie krył tego, że kończąc „Rozważania…", był mentalnie już w innym miejscu niż to, w którym je zaczynał. Wskazywał dynamikę procesu twórczego. A jednak zastanawiając się nad światopoglądową przemianą Manna, warto uwzględnić jego rys psychologiczny, na który zresztą światło rzuca film Pawlikowskiego. Przy czym trzeba poczynić zastrzeżenie, że faktyczna podróż noblisty po Niemczech stanowi jedynie kanwę dla fabuły „Ojczyzny". Produkcja Pawlikowskiego to nie jest wierne odtworzenie wydarzeń z życia Manna. Niemniej w filmie pisarz został sportretowany trafnie.

W „Ojczyźnie" Mann jawi się jako apodyktyczny samolub. Gdy w trakcie podróży po Niemczech dowiaduje się, że we Francji syn Klaus popełnił samobójstwo, reaguje chłodem, czym wprawia w konsternację towarzyszącą mu podczas tournée córkę Erikę. Nie przerywa zajęć związanych z przyjmowaniem hołdów od swoich rodaków. Do swojej twórczości podchodzi priorytetowo.

Tak, być może w gruncie rzeczy Thomas Mann pozostał „człowiekiem apolitycznym". Jeśli zaś – jak twierdził – naród niemiecki wyraża siebie poprzez muzykę, to filmowa scena w kościele jest ilustracją tej tezy.

A w Niemczech po drugiej wojnie światowej górę wziął „literat cywilizacyjny". I trzeba przyznać, że społeczeństwo niemieckie samo zgotowało sobie taki los. Opowiadając się jako ogół za Adolfem Hitlerem, skłoniło mocarstwa światowe do tego, żeby ich ojczyznę całkowicie obezwładnić, czyli w konsekwencji kulturowo wykastrować, przekształcając ją w bezzębny kraj ludzi pospolitych. W tym sensie wódz III Rzeszy swoimi zbrodniami na dłuższą metę nie dość, że zaszkodził niemieckiemu nacjonalizmowi, to skompromitował niemiecki kod kulturowy.

Tyle że dusza niemiecka pod powierzchnią zarówno RFN-owskiej liberalnej demokracji, jak i NRD-owskiego realnego socjalizmu przetrwała, czego przejawem jest choćby rozpowszechniony dziś w Niemczech antyamerykanizm. A nacjonalizm niemiecki przebrany został w szaty „europejskości". Ciekawe, jaka byłaby opinia Thomasa Manna w tej kwestii, gdyby noblista dożył naszych czasów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c

Każdemu jego



Piotr Gociek

Krew nie woda, prawda nas wyzwoli, przeszłość to jedyne, co mamy – przypomina o tym hiszpański serial o porzuconych dzieciach



Kadr z hiszpańskiego serialu true crime „Porzuceni”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Opowieść jak z tabloidu, opowieść jak z kroniki kryminalnej, opowieść jak z kozetki psychoterapeuty, a jednocześnie historyczne śledztwo. „Porzuceni” („Abandonados”, 2026), hiszpański serial true crime dostępny w serwisie Disney+, to produkcja zaskakująca i poruszająca.

22 kwietnia 1984 r. mężczyzna imieniem Denis przywiózł białym Mercedesem na Dworzec Francuski w Barcelonie troje dzieci. Potem poszedł kupić im słodycze. Elvira, Ricard i Ramón (w wieku dwóch, czterech i niespełna sześciu lat) próżno czekali na jego powrót. Gdy znudzone dzieci zaczęły bawić się na peronie i biegać po wagonach kończącego bieg pociągu, ktoś wreszcie zadał im pytanie: „A gdzie są wasi rodzice?”. Dzieci rozpłakały się, ale niczego nie potrafiły powiedzieć.

Cała trójka była dobrze odżywiona, dobrze ubrana, zadbana, nie nosiła śladów fizycznej przemocy. Wyglądali na dzieciaki z bogatej rodziny. Skąd się tu wzięli i dlaczego zostali pozostawieni? Próby rozwikłania tajemnicy spełzły na niczym. Dzieci mówiły po francusku. Czy pochodzą z Francji? Ale jedno z nich znało też trochę hiszpański, imiona też wskazywały na ten trop. Z drugiej strony – dlaczego na Ricarda pozostałe dzieci mówiły „Ritchie”? Skąd ten angielski trop?

Oczywiście sprawa trafiła do mediów i przez jakiś czas stała się paliwem do snucia rozmaitych teorii spiskowych. Ale zainteresowanie szybko wygasło, gdy okazało się, że nie ma właściwie żadnych tropów, którymi można dalej pójść. Dzieci nie potrafiły albo nie chciały powiedzieć niczego. Natomiast dzięki jednej z telewizyjnych audycji doszło do wydarzenia bardzo ważnego – po troje dzieci przebywających w domu dziecka zgłosiło się bezdzietne małżeństwo z Barcelony, które chciało je adoptować. I tak też się stało. Kolejne 30 lat to już zwyczajne życie: szczęśliwi świeżo upieczeni rodzice (wcześniej próbowali kilkakrotnie mieć własne dzieci, ale trzykrotnie doszło do poronienia), szczęśliwe, dorastające w bezpiecznym otoczeniu dzieciaki. Tylko tajemnica pozostawała tajemnicą.

GŁOŚNE MAFIJNE MORDERSTWO

Najważniejszą postacią w tej opowieści okazuje się Elvira, za której sprawą pytania o przeszłość zaczynają powracać. Opowiada przed kamerami, jak sama założyła rodzinę, jak urodziła córkę i w pełni odczuwając tę niezwykłą więź łączącą matkę z dzieckiem, zaczęła się zastanawiać nad własnym losem: Jak to możliwe, że ona sama była dzieckiem porzuconym? Kim byli jej rodzice? Dlaczego już nie chcieli jej i jej braci?

Carles Porta, hiszpański dziennikarz śledczy, cierpliwie rejestruje opowieści całej trójki dorosłych już bohaterów tej historii, a potem z kamerą towarzyszy ich poszukiwaniom. Pierwsze rewelacje to dzieło zastępczych rodziców, którzy pokazują prasowe wycinki sprzed lat – kilka dni po tym, jak dzieci znaleziono na Dworcu Francuskim, doszło do głośnego mafijnego morderstwa. Może to gangster uwikłany w rozgrywki półświatka chciał uchronić przed wendetą swoje potomstwo? A może są dziećmi którejś z jego ofiar, może zabitych, może porwanych? Elvira, Ricard i Ramón szukają prawdy, szukają odpowiedzi na podstawowe pytanie: Czy nasi prawdziwi rodzice w ogóle jeszcze żyją?

Na kanały oficjalne trudno liczyć: w 1984 r. wszelkie dokumentacje prowadzone były na papierze, nie było żadnych połączonych baz danych; w dodatku, jak się wydaje, wymagana byłaby współpraca międzynarodowa przynajmniej dwóch krajów: Hiszpanii i Francji. Elvira pracowicie szuka nowych poszlak we wspomnieniach swoich braci, w tym, co pamięta jej zastępcza matka – nawet pojedyncze uwagi z dawnych lat mogą nabrać nowego znaczenia w świetle powolnych postępów amatorskiego śledztwa. Dzieci pamiętają, że opuściły po schodach duży dom, że jechały na stację białym Mercedesem, że tajemniczy mężczyzna, który je pozostawił, był dużym facetem ze złotym łańcuchem na

eprasa.pl e248126c5c



historię

szyi. Niektóre wskazówki są sprzeczne. Z testów DNA wynika, że rodzeństwo urodziło się najprawdopodobniej na południu Hiszpanii. Z kolei silne wspomnienia najstarszego z braci związane są z Paryżem. W drodze na spacery do parku widział jedną z nóg Wieży Eiffla, z okien mieszkania witrynę sklepu z zabawkami, w sklepie pod sufitem wisiał wielki krokodyl.

Nie będę streszczał szczegółów i wyliczał przełomów, powiem tylko, że tu następuje najbardziej optymistyczny rozdział opowieści. Poszukiwania ruszają z miejsca, wówczas gdy angażują się w nie zafascynowani niezwykłą historią wolontariusze. Powstaje cały wiralowy (napędzony przez kontakty na Facebooku) ruch: ochotnicy przeglądają stare plany miast, dopytują starszych mieszkańców o to, co gdzie kiedyś było, co pamiętają itd. Ten networking ludzi dobrej woli zaprowadzi Elvirę i jej braci do punktu, z którego można już będzie ruszyć z kopyta dalej, to znaczy znów szukać w bazach danych i dokumentach. Stanie się tak, gdy ustalone zostaną nazwiska tajemniczych rodziców, odnalezione zostaną akty urodzenia trojga dzieci, gdy autorzy dokumentalnej miniserii

Może to gangster uwikłany w rozgrywki półświatka chciał uchronić przed wendetą swoje potomstwo?

(cztery odcinki) i Elvira dotrą do swych nieznanych dotąd krewnych.

Uwaga – owi krewni też nie są wylewni, bo przeszłość kryje tajemnicę. Bo prawda ujawniona po latach wciąż może kogoś skrzywdzić. Tymczasem pole poszukiwań rozszerza się w miarę analizy zdjęć z dzieciństwa, które spoczywały w archiwach odnalezionej cudem dalszej rodziny. I okazuje się, że trzeba szukać już nie tylko w Hiszpanii i we Francji, lecz także w Belgii czy Szwajcarii. Paradoksalnie im więcej wiadomo, tym bardziej poszukiwani rodzice porzuconej trójki się im wymykają. Jednocześnie rusza oficjalne śledztwo hiszpańskiej policji, w sprawę włącza się związek zrzeszających dziennikarzy śledczych. A także media, zwłaszcza jedna z brytyjskich gazet, która działaniem jednego ze swych reporterów potwierdza renomę londyńskiej prasy – nikt na świecie nie potrafi niuchać tak jak goście z Fleet Street. Wyniki wysiłków tego pospolitego ruszenia zaskoczą was nieraz.

PODŚWIADOMY BRAK SPOKOJU

Poświęcam jednak temu dokumentowi uwagę nie dlatego, że historia porzuconych dzieci jest niezwykła – świat pełen jest niezwykłych historii. I nie tylko dlatego, że jest świetnie opowiedziany i trzyma w nieustannym napięciu – świat pełen jest produkcji true crime, które to robią. Są bowiem trzy kwestie, o których poza tym wszystkim „Porzuceni" nam przypominają, trzy bardzo ważne rzeczy, o których rzadko mówi się w dzisiejszych mediach i kulturze.

Po pierwsze, wbrew opowieściom o wymyślanych tożsamościach, płynnych granicach między płciami i patchworkowych rodzinach. Impulsem, który popchnął Elvirę do poszukiwania prawdy, była to – z czym spierać się nie można – biologia. Naturalna więź łącząca matkę z dzieckiem. Gdy sama zaznała tego cudu, cudu stworzenia i cudu, którym jest niewidzialna nić łącząca dwie istoty ludzkie, nie mogła już pozostać obojętna. Przeżyła niemal cztery dekady, odsuwając od siebie pytania o przeszłość. Wydawało się, że wszystko jakoś się ułożyło. Miała dobre życie, miała ukochanego zastępczego ojca (który zmarł przedwcześnie i którego gorzko opłakiwała), ma wspaniałą zastępczą matkę. Ale sama natura popchnęła ją ku myśleniu o tym, dlaczego jej więź z biologiczną matką została zerwana. Bo to przecież – nie wahajmy się użyć tych słów – wbrew naturze.

Po drugie: choć reżyser porzuconych Carles Porta popycha nas na koniec w kierunku sentymentalizmu, pokazując, jak cała trójka dziś dorosłych już ludzi, powtarza: „Wiemy przynajmniej, że nasi rodzice nas kochali", to ważniejsze jest zdanie, które wcześniej wypowiada Elvira. A mówi wprost o czasach, gdy nie wiedziała nic o własnej przeszłości: „Nie miałam własnej historii". To, co miała, to domysły. Ludzie bez historii nie są kompletni, ludzie bez pamięci o swoich korzeniach nie są pełni, ludzie bez prawdy są bezradni i zagubieni. Zastępcza matka Elviry przemyca w jednym z odcinków ciekawą informację: to zapewne niepewność, ten podświadomy brak spokoju, jaki daje prawda, sprawił, że Elvira często zmieniała partnerów i związki, że stabilizację znalazła dopiero po wielu latach.

Po trzecie coś, co wynika z tych dwóch pierwszych wniosków. Nie tylko pojedynczy ludzie potrzebują tego, co Elvira. Wbrew wszystkim heroldom płynnej nowoczesności bez tej naturalnej więzi, bez prawdy, bez pewności, bez historii żyć nie mogą także narody. To znaczy: mogą istnieć, ale ich istnienie będzie bez tego wszystkiego niepełne, kruche, podatne na kryzysy. Nim zaczniemy narzekać, żeśmy porzuceni, zastanówmy się najpierw, czy sami siebie nie zdradzamy i nie porzucamy, zapominając o sprawach podstawowych i najważniejszych.



REŻ. CARLES PORTA „PORZUCENI" HISZPANIA 2026
Disney+

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Kadr ze spektaklu „Tkocze" w reżyserii Mai Kleczewskiej FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rewolucja u bram po śląsku



Grzegorz Kondrasiuk

Ekran nad dużą sceną, wielki, na całą jej szerokość, i długie sekwencje: miejskie pejzaże uchwycone z lotu ptaka, spacery po zaniedbanych ulicach, skwerach i podwórkach, wreszcie – łapane na żywo sceny z robotniczej piwiarni. Przejmująca muzyka, ciemne barwy – mają być smutek i beznadzieja, wszak opowiadamy tu historię o buncie śląskich tkaczy, z końcówki XIX w., napisaną przez naturalistę Gerharta Hauptmanna. Wszystko zaczyna się od panoramicznych najazdów na blokowiska, te monumentalne, ikoniczne dla aglomeracji Górnego Śląska – i już wiemy, że na plan historyczny nałożony zostanie ten współczesny. Taki to obowiązujący dziś styl teatralny, tworzony z anachronizmów. Między oryginałem, opisanym w nim dawnym światem a nowoczesnym językiem wizualnym, muzyką techno, przyzwoleniem na pokazanie nagiego aktorskiego ciała, w dopisanych scenach i monologach, bezceremonialnych korektach do myśli wymienionego na afiszu autora.

W „Tkoczach" z Teatru Śląskiego główna korekta polega jeszcze na czymś innym, na skorzystaniu z przekładu tekstu na „śląską godkę" (Mirosław Syniawa). Ta najbardziej znacząca tu warstwa do opozycji pomiędzy biedakami a bogaczami dodaje podział etniczny. I tak, dość konsekwentnie, nędzarze mówią po śląsku, a kapitaliści i ich wywodzący się z nizin pomagierzy – po polsku. Zabieg to co najmniej kontrowersyjny, na starym scenariuszu o niemieckich fabrykantach nadpisano niewygasły spór o śląską autonomię w obecnej polskiej odsłonie. Czy na serio można doszukiwać się tu realnego rozpoznania, myśleć o ekonomii i procesach historycznych? Ale jesteśmy przecież w teatrze, królestwie demagogii, gdzie logikę się jedynie parodiuje, gdzie liczą się koloryt oraz wrażenie, najlepiej jak najmocniejsze. I na planie wywoływania wrażenia wszystko się zgadza, o czym świadczy nagroda dla „Tkoczy" na ostatniej edycji krakowskiej Boskiej Komedii. W fatalnie dobranym programie konkursowym, który miał ponoć reprezentować polski teatr na świecie, spektakl rzeczywiście się wyróżniał.

Maja Kleczewska wie, jak korzystać z możliwości dużego teatru, tej maszyny do wywoływania wrażenia. Zgodnie ze starą, sprawdzoną zasadą zaczyna od trzęsienia ziemi, a potem napięcie rośnie. Wspomniany w dramacie Hauptmanna smutny epizod zjedzenia z głodu psa zmienia się w scenkę, gdzie na ławce obok jednego z tkaczy siedzi sympatyczny kundelek, a z offu słyszymy monolog wyciskacz łez. Oto piesek swojemu panu ofiarowuje siebie w ofierze. Symptomatyczny to przykład metody twórczej Kleczewskiej, która swój teatr opiera na szantażowaniu emocjonalnym i na wywoływaniu jak największego przejęcia. Dalej następują sceny, w których niezwykle realistycznie czy wręcz iluzjonistycznie pokazane jest zwykłe życie w dzielnicach robotniczych, gdzie z powodu krachu ekonomicznego (w podtekście: na skutek planu Balcerowicza i transformacji) przymiera się głodem. A że w zespole Śląskiego majstrów co niemiara, to powstają sekwencje pełne życia, zanurzone w żywiole śląskiego życia. Wspaniała Grażyna Bułka (Matka Baumert) od kreacji rytualnie lamentującej, groteskowo przerysowanej, obłożnie chorej starszej kobiety gładko przechodzi do Brechtowskiego monologu mówionego wprost do widowni, na pobojowisku. „Chcę świata sprawiedliwego, ale sprawiedliwego dla mnie" – powiada, na chwilę nieco komplikując obraz. Majstersztykiem jest też Ansorge Marcina Gawła. Z jednej linijki, o zabijaniu głodu poprzez żucie kamyków, powstała piękna i porażająca rola.

Od przełomowych scen wtargnięcia tłumu do rezydencji fabrykanta toniemy w onirycznych, niekiedy dość zagadkowych sekwencjach krwawej rewolucji. I – jak to zwykle u Kleczewskiej – kwestia przemocy rozpada się na dwie, osobno traktowane sprawy. Ta dotykająca pracowników fizycznych jest ekonomiczną przemocą systemową, wartościowaną negatywnie, natomiast ta rewolucyjna jest przemocą wyzwolicielską, pozytywną i najwidoczniej pożądaną. W finale w efektownym, synchronicznym tańcu na grobach kapitalistów robotnicza wspólnota z teatralną krwią na rękach wykrzykuje: „Już bliski kres niewoli!". ©℗

GERHART HAUPTMANN, „TKOCZE"
TEATR ŚLĄSKI W KATOWICACH
REŻYSERIA: MAJA KLECZEWSKA
ADAPTACJA I DRAMATURGIA: GRZEGORZ NIZIOŁEK
PROJEKCJE: KRZYSZTOF GARBACZEWSKI
PREMIERA: 14 LUTEGO 2025 R.
POKAZ NA WARSZAWSKICH SPOTKANIACH TEATRALNYCH 24 CZERWCA 2026 R.

eprasa.pl e248126c5c

Są sprawy najważniejsze



Krzysztof Masłoń

15 lipca mija 150 lat od śmierci Aleksandra Fredry. Bóg strzegł, że rocznica wypada w wakacje, nie odbije się więc znacząco w polskiej szkole, niestety nie do końca konsekwentnie unowocześnianej przez Nowacką Barbarę i grono jej współpracowniczek, z Lubnauer Katarzyną na czele. Starają się ministry, nie powiem, niemniej wspomniany komediant czy też komediopisarz, wszystko jedno, z kupionym przez jego ojca tytułem hrabiowskim, wciąż bezwstydnie figuruje na listach lektur i uczniowie muszą, o zgrozo, poznawać tę grafomanię ze wszech miar szkodliwą.

Do czego to bowiem podobne, by w dobie zjednoczonej Europy propagować utworki-potworki ksenofoba utrzymującego np., że:

Niemiecka oświata – z kieszeni wymiata.
Niemiecka opieka i w zimie dopieka
A niemiecka obrona – ni głowy, ni ogona.

Był też Fredro autorem takich „złotych myśli" jak: „Pierwej połkniesz promień słońca, / Nim z Niemcami dojdziesz końca" czy: „Pierwej w księżycu na tronie zasiędzie, / Nim Niemiec Polakowi przyjacielem będzie". Odgrażał się również pismak, że „Od majaka do majaka – / Nie połkniesz, Niemcze, Polaka". A jak komu mało, niech przeczyta taką oto starą dykteryjkę „Omyłka nad Dunajcem". Kupa śmiechu z przewagą kupy.

– Słuchaj, hej, mopan! głęboki ta woda? –
Wołał gdzieś Niemiec na chłopa z daleka. –
Jak się nazywa? – Chłop odrzekł: – Dunajce.
A na to Niemiec: – Nu, kiedy po jajce,
To bardzo niemiło, panie Załusku,
Ale ja przejdziem ganz pomalušku. –
Poprawił mycki, fajkę wyjął z gęby,
Porzęta spuścił, koszulę wziął w zęby
I hul na wodę! Plusnęło
Bełknęło,
Pionowo
W dół głową
Poszło Niemczysko! Jak kamień na morze!
Szkoda! bo jeden. – By wszyscy, daj Boże!

Żeby to jeszcze chodziło tylko o Niemców… Ale są jeszcze sprawy najważniejsze, co przypominam poniekąd w związku ze zbliżającym się – już 24 lipca – Świętem Policji, które z pewnością doczeka się odpowiedniego uhonorowania przez złotoustego ministra Kierwińskiego Marcina. Rzeczywiście, są dni, które należy obchodzić, i dni, które wprawdzie trzeba obchodzić, ale szerokim łukiem. Bo jak się ma rocznica zgonu Fredry do planowanych już zapewne na 9 listopada (nie, nie na 11) uroczystości związanych z Międzynarodowym Dniem Walki z Faszyzmem i Antysemityzmem?

Na to, że zawsze skłonny do facecji autor wypisywał fraszki w rodzaju takiej oto:

Nie było Żyda bez brody,
Nie było brody bez Żyda;
Teraz skutkiem nowej mody
Każdy Żydem, lub się wyda.
Lub też może świat w przewrocie
Stał się już Żydem w istocie.

Można by spuścić zasłonę miłosierdzia. Ale w rzekomo kunsztownym, lirycznym i pełnym humoru pamiętnikarskim tekście zatytułowanym „Trzy po trzy" znalazł się m.in. opis wydarzeń, do których doszło w Wilnie, gdy po 10 grudnia 1812 r. miasto znalazło się w rękach Rosjan, a wzięci do niewoli żołnierze amii napoleońskiej marli tysiącami, z głodu i chorób: „[…] trupy wyrzucano przez okna, czasem jeszcze niedoduszone – pisał Fredro. – Szczególnie w jednym klasztorze okrucieństwo miało być bez granic. Ku wiośnie stos trupów sięgał pierwszego piętra".

A dalej czytamy: „Żydzi wyszczególniali się srogością właściwą tylko tchórzom i podłym. Wyrzucali chorych na ulicę albo ich zabijali bez wielkiego zachodu, jeżeli spodziewali się jakiej zdobyczy w pieniądzach lub w jakim kosztowniejszym mundurze".

W „Trzy po trzy" ten hrabia co myszy obrabia interesującemu nas tematowi poświęcił wykład cały: „Żyd zawsze Żydem. Pieniądz jego gwiazdą przewodnią i nie ma się czego dziwić, pieniądz tylko dźwignąć go może na stanowisko mniej wystawione na wzgardę powszechną. W roku 1809 w Galicji, a zwłaszcza we Lwowie, zapał Żydów w naszej sprawie był ogromny. W 1812 w Litwie, a potem i w Księstwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjaciółmi. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiej bądź zmianie w Galicji. Ubodzy wprawdzie płacą czasem więcej podatku, niż mają majątku, ale ogólnie biorąc, cały handel i cała administracja kraju w ich ręku. Chłop bez Żyda żyć nie może. Szlachcic go potrzebuje jako pośrednika w interesach z urzędnikami. Urzędnik tak cywilny, jak wojskowy z żydowskich tylko rąk chce przyjmować kubany [łapówki], a kubanów chciwy. Wielka przyszłość czeka Żydów. Duch żydowszczyzny ogarnął świat cały. Pieniądz stał się wszystkim. Ale kiedy on jest dla Żyda sam przez się szczęściem, dla świata jest tylko środkiem do osiągnięcia tych wszystkich materialnych rozkoszy, za granicą których nikt żyć nie chce […]. Po sercach, po głowach, w górę! w górę! pnie się tłum zimny, chciwy i nie żyjący – tylko w obecnej chwili. Żydzi wszędzie. Żydzi w Paryżu, w Rzymie, Londynie i w Przemyślu…".



Portret Aleksandra Fredry
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Rocznice należy więc ograniczać, a twórczość przypominanych na tę okoliczność postaci dokładnie prześwietlać. Pamiętając oczywiście o przypadającym 8 września Międzynarodowym Dniu Walki z Analfabetyzmem. Szkoda tylko, że inny światowy dzień – Czytania Komiksów – zaplanowany jest na 28 sierpnia, jeszcze przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Pamiętają państwo, jak Don Corleone cieszył się, że jego wnuk czyta komiksy? Wy też możecie tak się cieszyć i wzruszać, tylko wypieprzcie na śmietnik historii wszystkich tych Mickiewiczów, Norwidów i Fredrów, zastępując ich Supermanem, Batmanem, no ostatecznie Kapitanem Żbikiem z kasztelanem Mirmiłem pospołu. ©℗

eprasa.pl e248126c5c



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Disney+

Ten jeden dzień



★★★★★★

SEZON 5
„THE BEAR"
USA 2026

wyst. Jeremy Allen White, Ayo Edebiri, Oliver Platt

Nie możesz rezygnować z czegoś tylko dlatego, że to trudne" – prawi jeden z bohaterów serialu „The Bear". Kieruje te słowa zarówno do siebie, jak i do swego bratanka, głównego bohatera tej opowieści. Piąty i ostatni sezon jednego z najlepszych seriali ostatnich lat to mądre i ciepłe domknięcie historii, z której wyciągnąć można wiele morałów. Na przykład: to nie przeciwności ciągną cię w dół, ale twoje własne lęki. Albo: zanim zaczniecie o czymś razem marzyć, upewnijcie się, że marzycie o tym samym.

Carmen „Carmy" Barzatto wrócił po latach do Chicago targany wyrzutami sumienia – pod jego nieobecność brat popełnił samobójstwo, a ukochana knajpa stanęła na progu bankructwa. Przez pięć sezonów śledziliśmy, jak Carmy próbuje poskładać do kupy życie własne i tych, których – jak uważa – zawiódł, wiodąc egzystencję wziętego kucharza w odległych metropoliach. Kluczowy był ostatni odcinek czwartego sezonu, kiedy wreszcie główne postacie wprost wyrzuciły z siebie wszelkie urazy i to oczyszczenie umożliwiło nowy początek. Ale życie to życie: nowe początki są równie trudne jak stare początki i w ogóle wszystko zawsze jest trudniejsze, niż się wydaje – co nie jest powodem, by tego nie robić, lecz wręcz przeciwnie.

Piąty sezon to przez pierwszych siedem odcinków historia jednego dnia, dnia, w którym spodziewana jest w restauracji wizyta eksperta przyznającego lokalom gwiazdki Michelina. Tymczasem w Chicago ulewa, w knajpie dach się wali, a hydraulika pęka, brak pieniędzy na żarcie, no i w dodatku przez błąd systemu rezerwacji na stoliki czeka nadmiar gości. Dostajemy więc kulinarny thriller, który oczywiście jest metaforą życia: tak po prostu jest, nigdy nie wiesz, co czeka za rogiem. Nie oznacza to, że nie należy wychodzić z domu.

A co w tym wszystkim okaże się najważniejsze i zbawienne? Żyć naprawdę to budować, to tworzyć, to łączyć – nie tylko składniki potraw, ale ludzi. Wielki sukces serialu „The Bear" wziął się także stąd, że nikt nas tu nie poucza, że w bardzo emocjonujący sposób opowiada o zwykłych, ważnych sprawach. Stał się też okazją do tego, by rozkwitły aktorskie talenty: Jeremy Allen White jako Carmy oraz Ayo Edebiri jako jego podopieczna Sydney są po prostu doskonali. ©℗

GRA TYGODNIA: „STAR FOX"

Powrót klasyka w odświeżonej oprawie. Najpierw o niej – gra wygląda i brzmi bardzo dobrze, a przy tym działa płynnie. Kto przed laty nie odwiedził układu Lylat i nie czytał, ile lat ma Fox McCloud, w którego się wcielamy, temu oprawa audiowizualne nie zdradzi, że to gra z brodą. Co innego model rozgrywki. Kampania jest krótka i prosta, ale gra zachęca do kolejnego jej przechodzenia. Do tego dostajemy możliwość rozgrywki wieloosobowej – z takim sobie trybem kooperacji i dużo lepszymi drużynowymi starciami. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP/FPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Nintendo, ConQuest*

eprasa.pl e248126c5c

Człowiek z marmuru

KINO



★★★★★★

REŻ. STÉPHANE DEMOUSTIER
„WIELKI ŁUK” („L’INCONNU DE LA GRANDE ARCHE”)
DANIA/FRANCJA 2025

wyst. Claes Bang, Sidse Babbet Knudsen, Xavier Dolan

O szklanej piramidzie, która zdobi/szpeci dziedziniec Luwru, słyszał chyba każdy. Inna konstrukcja, również wzniesiona w 200. rocznicę rewolucji francuskiej, jest mniej sławna, choć wystąpiła w „Tożsamości Bourne’a”. Człowiek, który zaproponował, by historyczną oś Paryża, wyznaczoną przez Pola Elizejskie, zwieńczyć gigantycznym, pustym sześcianem, nie był gwiazdą architektury. Wcześniej zaprojektował tylko własny dom i cztery kościoły. Johann Otto von Spreckelsen wygrał konkurs, gdyż Mitterand uznał, że pomysł jest najbardziej wizjonerski. Outsider, któremu trafiło się zlecenie, o którym inni marzą przez całe życie – czyż to nie świetny materiał na tragikomedię?

„Wielki Łuk” to dowcipniejsza i o połowę krótsza wersja „Brutalisty”. Z powodu występu Banga kojarzy się też z „The Square” (swoją drogą, dziwna ścieżka kariery – od kwadratu do sześcianu). Widzów, nastawionych na rozrywkę, czeka jednak zawód. Im bliżej końca filmu, tym mniej powodów do śmiechu. Duńczyk szybko uczy się łechtać przerośnięte ego prezydenta, lecz napotyka opór straszliwej francuskiej biurokracji. Faraońska budowla staje się żetonem w rozgrywce, w której ścierają się polityczne i biznesowe lobby. W dodatku Spreckelsen to radykał, człek trudny we współpracy, bezkompromisowy i uparty jak osioł. Nie przywykł do działania zespołowego, chciałby wszystko robić sam. „Pasja jest najważniejsza” – takie credo stara się wpoić studentom. Tylko pod wpływem perswazji żony potrafi się czasem zmitygować. Wyprawa do słynnych kamieniołomów marmuru w Carrarze umacnia naszego bohatera w mniemaniu, że jest nowym wcieleniem Michała Anioła. Czy natchnienie zawsze musi prowadzić do kolizji ze zdrowym rozsądkiem? Czy współczesna architektura należy jeszcze do sztuk pięknych? Ciekawe pytania, lecz nadmierna koncentracja reżysera scenarzysty na męczeństwie budowniczego Wielkiego Łuku Braterstwa sprawia, że schodzą na dalszy plan. To się po prostu opłaca. Za odkrycie, że romantyk idąc na wojnę z technokratami, powinien spisać testament, można dostać kilka Oscarów lub Cezarów. ©℗

Wiesław Chełminiak

DYBUK W PARYŻU

Od kiedy pamiętam, psychoanaliza jest ulubionym obiektem kpin filmowców. Zwłaszcza tych, którzy często wylegują się na kozetkach w gabinetach następców Freuda. Takich jak doktor Steiner, dobrze sytuowana zołza w wieku postbalzakowskim. Zawiodła jako żona, matka i babcia, popadła w zawodową rutynę, ale głowę nosi wysoko. Z błogostanu wyrywa ją nagła śmierć pacjentki. Prywatne śledztwo, prowadzone w stylu kojarzącym się z powieściami Joanny Chmielewskiej, wystawia światopogląd Lilian na ciężką próbę. Skłonna jest nawet uwierzyć, że w poprzednim wcieleniu grała w orkiestrze symfonicznej. Żeby było zabawniej, rzecz dzieje się w środowisku żydowskim. Film lekki jak piórko. Ale co tu robią Foster, Auteuil i Amalric? Kuna, Karolak i Adamczyk spokojnie daliby radę. I dybuk mógłby wrócić do wschodnioeuropejskich korzeni. ©℗



MEGOGO

★★★★★★

REŻ. REBECCA ZLOTOWSKI
„OSTATNIA SESJA W PARYŻU” („VIE PRIVÉE”)
FRANCJA 2025

wyst. Jodie Foster, Daniel Auteuil, Mathieu Amalric



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Nici oporu



FOT. JAN SZEWCZYK/MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Arpilleras to obrazy tworzone z nici, wełny i skrawków materiałów, które powstawały w Chile po zamachu stanu w 1973 r. Ich autorkami były kobiety – matki, żony, siostry i córki osób zaginionych, więzionych, torturowanych lub zmuszonych do emigracji. W państwie objętym ścisłą cenzurą te pozornie proste robótki ręczne stały się potężnym nośnikiem prawdy. Na barwnych tkaninach utrwalano sceny przemocy, porwania, ośrodki tortur, a także protesty i akty solidarności. Arpilleras stanowiły nie tylko formę terapii i wsparcia dla kobiet, lecz także narzędzie walki o prawdę, sprawiedliwość oraz powrót demokracji.

Wystawa w Muzeum Pamięci Sybiru buduje most między doświadczeniami chilijskimi a historią polskiego Sybiru. Zestawienie obu tych narracji ukazuje uniwersalny wymiar przemocy państwowej oraz ludzką potrzebę dawania świadectwa. Wielu Sybiraków, podobnie jak kobiety w Chile, dokumentowało czas zesłania nie tylko poprzez relacje ustne czy pisemne, lecz także tworząc przedmioty codziennego użytku, rzeźby i pamiątki, które stawały się trwałym zapisem traumy, tęsknoty i oporu. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Pamięci Sybiru***
KIEDY? ***do 16 października***

eprasa.pl e248126c5c

MOJA PÓŁKA

Profesor z Sarniego Uroczyska



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Największą zasługą bohatera tej książki, Karola Estreichera juniora (1906–1984), historyka sztuki, założyciela i wieloletniego dyrektora Muzeum Jagiellońskiego, twórcy koncepcji przebudowy Collegium Maius, była rewindykacja dzieł sztuki zrabowanych nam przez Niemców. To on w wojennym chaosie ewakuował narodowe skarby za ocean, inne usiłował ukryć, by po wojnie z wielką determinacją tropić je w Niemczech i ostatecznie sprowadzić do Polski ołtarz Wita Stwosza, „Damę z gronostajem" Leonarda da Vinci i „Pejzaż z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta. Wielką jego zgryzotą było nieodnalezienie „Portretu młodzieńca" Rafaela Santiego, co traktował jako swoją osobistą porażkę.

Jego wywodzący się z Moraw ród od XVIII w. związał się z Rzecząpospolitą. Powiadano, że dla królewskiego Krakowa szczególnie zasłużyły się dwie dynastie: Jagiellonów i Estreicherów. Gdy po wojnie w tym mieście mówiono „Profesor" bez podawania nazwiska, wiadomo było, że chodzić może tylko o niego. A powodów, by omawiano kolejne niekonwencjonalne zachowania Karola Estreichera, nigdy nie brakowało. Gdy np. otrzymał nakaz zamontowania piorunochronu na Pałacu Sztuki, w którym przez wiele lat kierował działalnością Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, orzekł, że „prędzej piorun huknie w dupę temu, kto wydał ten nakaz, niż w Pałac Sztuki". I odgromnika oczywiście nie zainstalował. A kiedy zobaczył robotników rąbiących zabytkowe okna w kamienicy przy Rynku Głównym, wyrwał jednemu z nich siekierę, po czym ruszył do magistratu, gdzie wbił ją w biurko urzędnika Wydziału Kultury, dając wyraz swemu oburzeniu i wściekłości na niszczenie zabytków. Może zresztą naprawdę było nieco inaczej, legendy mają bowiem to do siebie, że podawane są czasem w mocno różniących się wersjach.

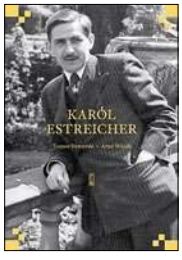
Bardzo ciekawa książka dwóch autorów – Tomasza Siewierskiego i Artura Wójcika – skrupulatnie zbiera te i inne anegdoty, nie pomijając też tego, że był Karol Estreicher nadto skory do gniewu, obrażalski, uparty, czego zresztą dowodzi jego ogromny, prowadzony od 1939 r. „Dziennik wypadków". Skądinąd na pierwszej jego stronie napisał: „Sprawa polska jest jedyną rzeczą, na której mi naprawdę zależy. A raczej nie. Niech powiem szczerze, to kultura polska na całym terytorium polskim jest najważniejsza dla mnie. Bo wiem, że istnieją narody bez terytorium, bez języka, bez państwa, ale nie przetrwają narody bez własnej kultury".

W swoim testamencie z roku 1980 Profesor całkowicie pominął krakowską uczelnię, z którą związanych było przecież kilka pokoleń Estreicherów. A chodziło o bezcenne archiwum, bibliotekę, dzieła sztuki i dom na Sarnim Uroczysku. Wszystko to zapisał Towarzystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych, którego był prezesem. Rewanżował się w ten sposób za odrzucenie swego czasu wniosku o przyznanie mu profesury zwyczajnej, sprowokowanie przejścia na emeryturę i pomniejsze szykany. Ale wcześniej namawiał innych, by przekazywali swój dorobek instytucjom państwowym. Kiedy jednak przyszło do zabezpieczenia spuścizny własnego rodu, postąpił wbrew tym samym zasadom, które narzucał innym. Tymczasem Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w latach transformacji ustrojowej zostało odcięte od dotacji, willa popadła w ruinę i była wielokrotnie okradana z pamiątek, m.in. zniknął obraz Jacka Malczewskiego i stolik Bacciarellego.

W czasie okupacji spędzonej na emigracji związany był z rządem gen. Sikorskiego. Był kierownikiem Biura Rewindykacji Strat Kulturalnych przy Ministerstwie Prac Kongresowych w Londynie. Odniósł sukces w Ameryce, gdzie uzmysławiał politykom rozmiary strat kultury polskiej rozszarpywanej przez okupantów. Ale nie tylko okupantów niemieckich. Tymczasem z katalogu „Cultural Losses of Poland" osobiście wygumkował miejscowości położone na wschód od tzw. linii Curzona. Czy była to cena, jaką zapłacił za powrót do kraju, i to nie do więziennej celi, czego mógłby się jako „Londyńczyk" spodziewać? Później zarzucano mu nadmierny serwilizm wobec władz komunistycznych, zapominając, że swą przedwojenną znajomość z premierem Józefem Cyrankiewiczem wykorzystywał Estreicher na potrzeby Uniwersytetu Jagiellońskiego i swego Collegium Maius. Przy czym do PZPR nigdy nie wstąpił, sławny List 34 podpisał, a w marcu 1968 r. czynnie stanął w obronie studentów, broniąc autonomii uniwersyteckiej.

Kontynuator wielkiej rodowej tradycji podjął trud dokończenia „Bibliografii polskiej", co nie udało mu się do końca. W 1973 r. opublikował jeden z największych bestsellerów tamtego czasu w Polsce: „Dzieje sztuki w zarysie". Książka miała 10 wydań i sprzedawana była spod lady, w co dziś trudno uwierzyć, ale tak było!

I jeszcze jedno: jak na prawdziwego Krakowianina przystało, Profesor Warszawy szczerze nienawidził. ©℗



★★★★★

TOMASZ SIEWIERSKI, ARTUR WÓJCIK „KAROL ESTREICHER" PIW, WARSZAWA 2026

eprasa.pl e248126c5c



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

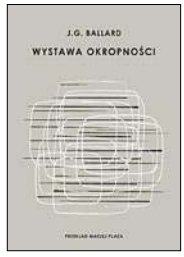
Dwie pustki

Książka legenda, książka skandal, książka, która nieco się zestarzała, ale której wciąż nie da się ominąć przy omawianiu kamieni milowych brytyjskiej literatury drugiej połowy XX stulecia. Tak jak nie da się ominąć jej autora J.G. Ballarda, fantastom znanego jako autor tomu „Ogród czasu", powieści „Wyspa", „Wieżowiec" czy „Zatopiony świat", a szerokiej publice jako autor „Imperium słońca" zekranizowanego kiedyś przez Spielberga.

Sam Ballard ukuł dla swej twórczości określenie „inner space" – w kontrze do „outer space", czyli tradycyjnego kierunku wypraw fantastów. Po latach nawiązywał do tego William Gibson, mówiąc, że nie trzeba eksplorować dalekich światów, bo to Ziemia jest dziś obcą planetą. Jakie są owe ballardowskie przestrzenie wewnętrzne? Wypełniają je charakterystyczne dla jego pisarstwa obrazy: opuszczone budynki, puste plaże, rozczłonkowane trupy, sceny przemocy, które wypadają dziwnie chłodno, jakby był Ballard obserwatorem jakiegoś zepsutego mechanizmu.

Ciało ludzkie jest wystawą okropności, do tego autor nie szczędzi czytelnikom w finale opisywanych z cronenbergowską skrupulatnością operacji plastycznych. Czy cywilizacja jest operacją plastyczną ukrywającą prawdziwą naturę człowieka? Wszystko to opowiedziane w zwartych, niedużych blokach tekstów, które kształtem przypominają obrazy w galerii. Książka kubistyczna, książka zarazem brutalistyczna. Metafikcja, w której roi się od odniesień do dzieł kultury i popkultury, wydarzeń historycznych dużych i małych. Awangardowy miszmasz, ale pisany z wielką precyzją.

Jest to zarówno bezlitosny opis chorej ludzkości, którą toczy wciąż rak okrutnego XX stulecia („Wystawa okropności", powieść w formie zbioru krótkich opowiadań, ukazała się w 1970 r.), jak i wyraz wielkiej traumy Ballarda po cierpieniu i śmierci żony. Pustka wewnętrzna i pustka zewnętrzna spotykają się na kartach książki, której nie da się lubić, nie da się czytać z przyjemnością – można ją za to analizować, badać i podziwiać za kunszt literacki i bezczelność autora. Pozostaje miano „książki ważnej", dokumentu swoich czasów i zbioru kluczy do psychiki i twórczości pisarza. Dobrze, że wreszcie ukazała się po polsku, inna sprawa, że docenią ją chyba głównie zapamiętali miłośnicy Ballarda. ©℗

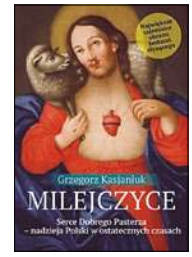


★★★★★★

J.G. BALLARD „WYSTAWA OKROPNOŚCI" ARTRAGE 2026

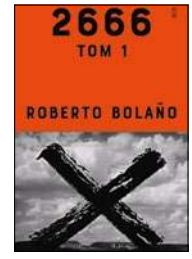
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ta opowieść o cudach i łaskach ma też wymiar osobisty: powrót na łono Kościoła w Gietrzwałdzie doprowadził Kasjaniuka do Milejczyc, do próby zrozumienia „przymierza Dwóch Serc – Maryi i Jezusa – przeciw ciemności".



GRZEGORZ KASJANIUK „MILEJCZYCE" FRONDA

Opus magnum chilijskiego pisarza, powieść wydana dopiero po jego śmierci. Dzieło potężne, dzieło otwarte, wbrew tytułowi żadna fantastyka, lecz metafikcja splatająca pięć wątków w ponury tren dla okrutnego XX stulecia.



ROBERTO BOLAÑO „2666" PIW

„Dynastia, która stworzyła średniowieczną Francję" – głosi podtytuł, ale jest to opowieść znacznie szersza, bo także o życiu codziennym, architekturze, filozofii. Szczególnie ciekawa, gdy mowa o mniej znanym schyłku dynastii.



JUSTINE FIRNHABER-BAKER „KAPETYNGOWIE" REBIS

Plon konkursu literackiego na opowiadanie rozpisanego przez „Nową Fantastykę" w 2024 r. Poszczególne utwory rekomendowane są przez uznanych autorów, m.in. Annę Brzezińską czy Wojciecha Chmielarza.

recenzuje Piotr Gociek

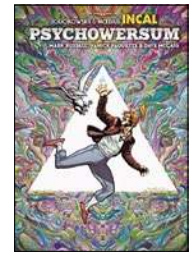


AUTORZY RÓŻNI „NOWE NADZIEJE" PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
DIFOOL IS BACK

Powrót do uniwersum Incala, czyli jednego z najsłynniejszych światów komiksowych stworzonego przez duet Alejandro Jodorowsky i Mœbius. Była już seria „Incal przed Incale", natomiast w tym prequelu zgłębiamy sekrety Psychowersum, którego agenci prowadzą operację przeciw Realwersum. Co ważne dla fanów serii – powracają John Difool i Metabaron.

Piotr Gociek



MARK RUSSELL, YANICK PAQUETTE „PSYCHOWERSUM" SCREAM COMICS 2026

eprasa.pl e248126c5c



Premierzy Ukrainy Julia Swyrydenko i Polski Donald Tusk podczas Konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy, 25 czerwca 2026 r.

FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

Mit odbudowy Ukrainy



Wojciech Golonka

Pewnego dnia wojna się zakończy, a wówczas wdrożenie swego rodzaju planu Marshalla na rzecz Ukrainy stanie się faktem. Już dziś kluczowe może być pytanie: Jak zabezpieczyć inwestycje wobec tajemnicy poliszynela w postaci korupcji głęboko przenikającej ukraińskie życie polityczno-urzędnicze?

Konferencja na rzecz odbudowy Ukrainy, która odbyła się pod koniec czerwca br. w Gdańsku, została poprzedzona mocnymi napięciami na linii Warszawa – Kijów w związku z odebraniem prezydentowi Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego, a sam jej przebieg został szybko zagłuszony kolejnymi spięciami, tym razem wewnątrzkrajowymi, w związku z informacjami o cichym przekazaniu przez Polskę, bez zgody Sejmu, kluczowych zasobów obrony przeciwlotniczej Ukrainie. Ponad szumem medialnym, który realnie pomniejsza znaczenie tej konferencji, zasadnicze znaczenie ma fakt, że prezydent Zełenski mógł ostentacyjnie zbojkotować jej udział, w reakcji na decyzję prezydenta RP, co rodzi pytanie, czy tego typu wydarzenia są rzeczywiście kluczowe i dalekosiężnie konstruktywne czy przede wszystkim doraźne i PR-owskie.

Innymi słowy, zasadna jest obawa, że za fasadą powracających wielomiliardowych deklaracji i setek podpisanych umów kryje się tak naprawdę jedynie mit o odbudowie Ukrainy, kreowany bez pokrycia, lecz z rozmachem na wielki, wspólny zachodni projekt, mający odmienić losy kraju i przynieść wymierne korzyści krajom frontowym, takim jak Polska. W Gdańsku rzeczywiście padły imponujące liczby: ponad 160 umów zawartych na ponad 10 mld euro, tyle że tego typu konferencje powtarzają się od 2022 r. (Lugano, Londyn, Berlin, Rzym), a rzeczywista skala odbudowy pozostaje daleko w tyle za zapowiedziami. Bank Światowy szacuje dziś zresztą koszty odbudowy na ponad 580 mld dolarów w ciągu dekady, a pierwotne szacunki – np. plan z Lugano z 2022 r. – mówiły nawet o 750 mld dol. Tak więc dopóki wojna się nie zakończy i nie zapadną ostateczne analizy i decyzje, co należy odbudować, co przebudować, w jaki sposób, w jakim zakresie i w jakim celu, dopóty nikt tak naprawdę nawet nie wie, jaki będzie końcowy budżet tej odbudowy – przede wszystkim zatem mit odbudowy to oczywiście brak definitywnych danych, które umożliwiałyby stworzenie w ogóle ostatecznego planu.

OPERACJA PR-OWSKA I SUBTELNA RETORYKA

Ma się rozumieć, oczywiście powszechnie wiadomo, że pewnego dnia wojna się jakoś zakończy, a wówczas powołanie do życia swego rodzaju planu Marshalla na rzecz Ukrainy stanie się faktem i pod tym względem kluczowe mogą być już dziś pytania: Skąd na to wziąć pieniądze? Jakie mechanizmy mogą ściągnąć inwestorów? Jak zabezpieczyć inwestycje przed ryzykiem nie tylko nowej wojny, lecz także wobec tajemnicy poliszynela w postaci korupcji głęboko przenikającej ukraińskie życie polityczno-urzędnicze? Tak stawiane wprost pytania są zatem zasadne, jednakże przykrywają ważniejszy, bieżący problem w postaci znalezienia dalszego finansowania wysiłku zbrojnego Ukrainy, pod czym kryje się problem utrzymania nie tylko armii i jej możliwości, lecz także państwa, ze wszystkimi jego społecznymi odnogami, które na papierze mogą wybrzmiewać nieco teoretycznie, a w praktyce oznaczają np. uniknięcie śmierci głodowej przez regularną wypłatę emerytury.

Stąd słuszne wydaje się uproszczenie, że te coroczne konferencje na rzecz odbudowy Ukrainy, za sprawą potężnej operacji PR-owskiej i – trzeba przyznać – dość subtelnej retoryki, w pierwszej mierze służą nie tyle trwałej odbudowie Ukrainy, ile przetrwaniu kraju tu i teraz, zapewnieniu życiodajnej (a dla skorumpowanych i rozkradających: jakże lukratywnej) kroplówki dla kraju. Tę naturalną interpretację potwierdzałyby zresztą tematy tegorocznej konferencji. Wprawdzie wskazane oficjalnie „wymiary tematyczne" – biznesowy, społeczny, lokalny i regionalny, unijny, bezpieczeństwa i obrony – w swych ogólnikach równie dobrze mogą oznaczać cokolwiek, w tym plany i podwaliny przyszłej rekonstrukcji Ukrainy, ale w materiałach przekazanych prasowo przez Pomorski Urząd

eprasa.pl e248126c5c

Wojewódzki zestawiono już „wzmocnienie międzynarodowego wsparcia dla odbudowy kraju, a także stymulowanie inwestycji w ukraińską gospodarkę" ze skupieniem się „na sektorach najbardziej dotkniętych rosyjską agresją, energetyce, infrastrukturze krytycznej oraz logistyce", sytuując to wsparcie i wzmocnienie w bardzo bieżącej perspektywie rzeczy koniecznych do trwania i przetrwania.

Ten PR mieszający widmo przyszłej odbudowy Ukrainy w postaci tworzenia adekwatnych inwestycji z przypomnieniem między wierszami, że tak naprawdę nie chodzi na razie o żadną przyszłość, a finanse i kontrakty na przetrwanie tu i teraz, jest w sumie konieczny, by nie eskalować zniechęcania społecznego do finansowania cudzej wojny, w dodatku wśród nagłaśnianych co jakiś czas skandali defraudacji środków przez ukraińskie elity i decydentów, z najwyższymi szczeblami władzy włącznie i w skali, której nie da się dziś ukryć. Ten szczególny kontekst – narracji o inwestycjach w przyszłości, gdy tak naprawdę chodzi o teraźniejszość z jej bolączkami i wstydliwymi mechanizmami – potwierdził sam premier Donald Tusk, dając wprost do zrozumienia, że tak naprawdę chodzi o wiarę w przyszłość i nadzieję, że nie mamy do czynienia jedynie z mirażem: „Gdańsk został podniesiony z gruzów i stał się, w wymiarze globalnym, jednym z najpełniejszych przykładów rekonstrukcji – nie tylko architektonicznej. Przywrócono także ducha tego miasta. Taki wielki wysiłek czeka dziś również Ukrainę. Wszyscy tutaj obecni, ale także wszyscy w Polsce, Ukrainie i Europie, wierzymy, że Ukraina oprze się rosyjskiej agresji i że nasze plany odbudowy nie są mirażem".

Nie drwijmy tu szczególnie z wiarygodności Donalda Tuska, choćby na przykładzie jego setki obiecanych konkretów, a wręcz przeciwnie, doceńmy, że właśnie nazwał do pewnego stopnia rzeczy po imieniu: wierzymy, że nie chodzi o miraż, czyli na dobrą sprawę taki jest mniej więcej status kwestii odbudowy Ukrainy – ufność polityków, że nie chodzi o zwodnicze złudzenie. Ma się rozumieć, podstawową zasadą demokracji, a zwłaszcza demokracji w czasach globalnej, cyfrowej, algorytmicznej wręcz socjotechniki, jest nieufanie politykom, gdy odwołują się właśnie do zaufania, stąd już li tylko na tym gruncie trzeba by podkreślić: powracająca cyklicznie kwestia odbudowy Ukrainy, omawiana w formie debat, konferencji, przyrzeczeń czy pokazów slajdów, to w dużej mierze i na razie slogan, urastający z czasem do rangi mitu. Oczywiście pewnego dnia slogan ten może się ziścić, trzeba jednak na razie dostrzec główne ku temu przeszkody.

Największą z nich jest sam model finansowania, który na razie bardziej przypomina podtrzymywanie pacjenta na kroplówce niż budowę nowej, solidnej konstrukcji. Unia Europejska w ramach Ukraine Facility obiecała do 50 mld euro na lata 2024–2027 – w praktyce jednak zdecydowana większość tych pieniędzy to pożyczki, a nie bezzwrotne granty, obwarowane surowymi warunkami reform i walki z korupcją. G7 z kolei dopiero wypłaca, bez pośpiechu, kolejne transze mechanizmu 50 mld dol. pożyczki, zapowiedzianych jeszcze w 2024 r., której spłata ma być zabezpieczona odsetkami od zamrożonych rosyjskich aktywów (głównie tych trzymanych w belgijskim Euroclear). Do tego dochodzą w teorii programy Banku Światowego, Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Europejskiego Banku Inwestycyjnego, a także amerykański fundusz inwestycyjny USA-Ukraine Reconstruction Investment Fund. Z jednej zatem strony, zestawianie tych sum i deklarowanych instrumentów może robić pewne wrażenie, z drugiej jednak pamiętajmy, że cały czas chodzi o zapewnienie doraźnego finansowania bieżących potrzeb kraju w stanie wojny, pudrowanych hasłem odbudowy, i zabezpieczania interesów największych graczy, jak to zrobiły USA na początku prezydentury Donalda Trumpa. Pamiętajmy przy tym rozpaczliwą próbę przejęcia rosyjskich aktywów, z ogromną presją wywieraną na premiera Belgii w tej kwestii, która mimo swego niesłychanego natężenia jednak nie przyniosła skutku. Mówiąc bardziej przyziemnie: notorycznie brakuje pieniędzy na samą wojnę, stąd mowa o odbudowie i zarobieniu na odbudowie Ukrainy pozostaje życzeniowym mitem.

Wezwanie Radosława Sikorskiego, aby polskie firmy bojkotowały przetargi we Lwowie, jawi się jako bezsilność wobec dłużnika

PUSTYNNA RZECZYWISTOŚĆ PO ZNIKNIĘCIU MIRAŻU

Kluczowym, już wspomnianym elementem tego przyszłego procesu pozostaje kwestia zaufania inwestorów. Wprawdzie poszczególni politycy i decydenci mogą do pewnego stopnia być szczodrzy ze środków publicznych własnych państw, jednakże nawet ta niegospodarność ma swe granice. Mam tu zatem na myśli konkretnie prywatne inwestycje, na których mimo wszystko, w praktyce, siłą rzeczy opierać się będzie w teorii całe spektrum powojennej modernizacji kraju. Kto więc i jak ma być dysponentem środków, które temu posłużą?

Niedawny tragiczny kazus polskiej firmy Control Process, która wygrała spór arbitrażowy z władzami Lwowa, a mimo to do dziś nie może odzyskać ok. 37 mln euro za budowę w 95 proc. ukończonego tamtejszego zakładu przetwarzania odpadów, jest tu wyjątkowo wymowny. A ponieważ burmistrz Lwowa Andrij Sadowy przyjechał do Gdańska pełen frazesów o partnerstwie i wspólnej przyszłości, jego kazus w sumie doskonale podsumowuje najróżniejsze konferencyjne panele dyskusyjne razem wzięte. W przeciwieństwie bowiem do Waszyngtonu czy Berlina, które mogą lokalnie wykorzystywać dźwignię i kij w postaci podlegającego im w praktyce Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy, Polska, mimo całego zaangażowania po stronie Ukrainy, mimo korzystnego międzynarodowego arbitrażu, nie ma jak przyjść na miejscu z pomocą rodzimemu przedsiębiorcy, a wezwanie Radosława Sikorskiego, wystosowane już po zakończeniu gdańskiego wydarzenia, aby polskie firmy bojkotowały przetargi we Lwowie, jawi się po prostu jako bezsilność wobec dłużnika, rolującego swe długi i możliwe niegospodarności kosztem polskiego inwestora. Drugiej stroną mitu jest odkrycie pustynnej rzeczywistości po zniknięciu mirażu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c

Fortepiany Dmowskiego



Adam Wielomski

Lider endecji akceptował Rosję taką, jaką ona jest, a nie jaką być „powinna" w naszych mesjanistycznych marzeniach. Potrafił się z nią dogadywać i robić z nią różne „resety"

Z dużą satysfakcją przeczytałem polemizujący ze mną tekst Piotra Semki „Gdzie Wielomski, gdzie Dmowski?" („Do Rzeczy" nr 28/2026). Dlaczego z przyjemnością? Ze względu, o którym redaktor Semka nie napisał wprost w swojej polemice, a mianowicie w jej trakcie, jak mawiają wojskowi, „wycofał się na z góry ustalone pozycje". Otóż, w pierwszej polemice „I kto tu jest niewidomy?" („Do Rzeczy" nr 26/2026) moje krytyczne wobec Ukrainy poglądy uznał za powtarzanie „tez Kremla". Gdy zwróciłem uwagę, że jest to poziom dyskusji godny wybitnego ascety intelektualnego Adama Szłapki, wycofał się z nich i moje poglądy zrzucił na garb „talmudycznego" odczytania myśli Romana Dmowskiego. Poczułem się lepiej, gdy z pozycji agenta Putina awansowałem na dogmatyka polskiej tradycji endeckiej. Zawszeć to jakiś awans w hierarchii bytów!

Zgadzam się z poglądem, że fakt, iż w 1914 r. Dmowski postawił na Rosję carską przeciwko Niemcom, nie oznacza, że gdyby Pan Roman żył dzisiaj, to automatycznie byłby zwolennikiem sojuszu z Rosją Władimira Putina. Świat z 1914 r. na ileś jest podobny do świata z 2026 r., a na ileś inny niż on. Jakkolwiek nadal jesteśmy między Rosją i Niemcami, to przecież w 1914 r. w ogóle nie mieliśmy własnego państwa; nie było oddzielających nas od Rosji Ukrainy i Białorusi; w polityce europejskiej nie istniał czynnik amerykański; Niemcy były w stanie wojny z Francją etc. Mapa Europy jest dziś inna i nie można tamtych opcji przekładać na współczesne wybory polityczne.

Nie oznacza to, że pewne oceny Dmowskiego nie okazały się ponadczasowe. Pan Roman trafnie przewidywał, że jeśli powstanie niepodległa Ukraina, to będzie antypolska i proniemiecka. I taką dzisiaj mamy! Częstokroć cytowana jest, szczególnie przez „talmudycznych" endeków, jego wypowiedź o Ukrainie z 1930 r.: „Nie ma siły ludzkiej, zdolnej przeszkodzić temu, ażeby oderwana od Rosji i przekształcona na niezawisłe państwo Ukraina stała się zbiegowiskiem aferzystów całego świata [...], kapitalistów i poszukiwaczy kapitału, organizatorów przemysłu, techników i kupców, spekulantów i intrygantów, rzezimieszków i organizatorów wszelkiego gatunku prostytucji […]. Te wszystkie żywioły przy udziale sprytniejszych, bardziej biegłych w interesach Ukraińców wytworzyłyby przewodnią warstwę, elitę kraju. Byłaby to wszakże szczególna elita, bo chyba żaden kraj nie mógłby się poszczycić tak bogatą kolekcją międzynarodowej kanalii. Ukraina stałaby się wrzodem na ciele Europy; ludzie zaś marzący o wytworzeniu kulturalnego, zdrowego i silnego narodu ukraińskiego dojrzewającego we własnym państwie przekonaliby się, że zamiast własnego państwa mają międzynarodowe przedsiębiorstwo, a zamiast zdrowego rozwoju szybki postęp rozkładu i zgnilizny".

Wypowiedź ta szokuje? Tak, jest bardzo ostra, ale ostatnio prezydencki minister Marcin Przydacz podsumował kijowską elitę dość podobnie: „Jeśli chodzi o same środki finansowe i ostatnie skandale korupcyjne, wyjazd najbliższych współpracowników pana prezydenta Zełenskiego, oskarżonych o gigantyczne malwersacje, o złodziejstwo de facto. Jeden pan Mindycz musiał uciekać do Izraela, drugi pan Jermak zdaje się został zdymisjonowany z uwagi na te korupcyjne skandale. No widać, że wokół prezydenta Zełenskiego zgromadziła się, pytanie, czy za wiedzą czy bez wiedzy, ale zgromadziła się ogromna grupa korupcjonierów, ludzi, którzy kradli pieniądze, także i te pieniądze, które były zbierane na całym świecie dla Ukrainy na jej walkę z Rosją. No i dzisiaj widać, że prezydent Zełenski szuka metody, jak odwrócić uwagę od tych swoich problemów korupcyjnych, o których coraz szerzej mówi się na świecie o tym, jak dużo pieniędzy zostało ukradzionych przez Ukraińców związanych z ekipą Zełenskiego". Wypowiedzi Dmowskiego i Przydacza dzieli prawie 100 lat, lecz ocena kultury politycznej ukraińskich elit wykazuje daleko idące podobieństwa.

WIECZNY ALIANS Z ROSJĄ?

Czy Dmowski byłby dziś zwolennikiem sojuszu z Rosją, tego nie da się powiedzieć z absolutną pewnością, gdyż trzeba byłoby być samym Dmowskim. Jednak powstanie państwa ukraińskiego nie burzy jego opinii co do możliwości zawierania z Rosją sojuszy. Możliwość tę raczej potwierdza. Otóż główny problem ówczesnych stosunków, czyli wytyczenia granicy między Polską a Rosją, dziś nie występuje. Nie ma dyskusji o tym, czy przebieg granicy ma być na tzw. linii Dmowskiego, zgodnie z postanowieniami traktatu ryskiego, czy na tzw. linii Curzona. Powstało wiele państw tamponów oddzielających trwale Polskę od Rosji. Co więcej, państwa te częstokroć są równocześnie antypolskie i antyrosyjskie (Ukraina i Litwa), co potencjalnie stwarza przestrzeń dla wspólnych polsko-rosyjskich interesów. Dlatego pozwala mi to przypuszczać, że Dmowski byłby dziś zwolennikiem resetu polsko-rosyjskiego. Skoro był zwolennikiem tego resetu w latach 1905 i 1914 – gdy większość ziem polskich była pod rosyjskim zaborem, to dziś warunki tego resetu byłyby dla nas nieporównywalne. Jak pisze sam Semka, nie chodzi dziś o żadne rosyjskie roszczenia terytorialne względem Polski

eprasa.pl e248126c5c



FOT. JAN

ani o chęć rusyfikacji naszego kraju. Co najwyżej może chodzić o rosyjskie interesy geopolityczne i ekonomiczne.

Piotr Semka jest przeciwny takim rozmowom i negocjacjom z Rosją, gdyż oznacza to widmo „finlandyzacji" Polski. Może tak, może nie – problem z polskim stanowiskiem jest taki, że z Moskwą nie prowadzimy od lat żadnego dialogu i na dobrą sprawę nawet nie wiemy, czego dokładnie Kreml może od nas oczekiwać. Jedyne, co jest oczywiste, to zmiana polskiej polityki wschodniej, polegającej dotąd na popieraniu „kolorowych rewolucji" i antyrosyjskiej opozycji w państwach sukcesyjnych po upadłym ZSRS. Z tzw. ultimatum Ławrowa z 2022 r. (zwanego w Rosji ultimatum Putina) wynika, że chodzi o to, aby w Polsce nie było baz amerykańskich, ale jest to raczej żądanie wobec Waszyngtonu, a nie Warszawy. Pragnę zwrócić tylko uwagę na jeden istotny szczegół: my, Polacy, tak bardzo boimy się „finlandyzacji" wobec Rosji i możliwych (ale nieznanych nam) oczekiwań Kremla, że całkowicie dobrowolnie zgodziliśmy się na podobną „finlandyzację" Polski wobec Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Do tego stopnia, że w oficjalnej polskiej narracji politycznej sami siebie określamy mianem „wschodniej flanki NATO", czyli pola bitwy dla rosyjskich i NATO-wskich dywizji pancernych. Bojąc się „finlandyzacji" ze strony Rosji, oddaliśmy naszą gospodarkę zachodnim korporacjom; płacimy Amerykanom za stacjonowanie ich wojsk w Polsce i kupujemy amerykańską broń, której ceny są nieproporcjonalne do jej jakości; dla Waszyngtonu zablokowaliśmy chińską nitkę Jedwabnego Szlaku przez Polskę; z „przedmurza chrześcijaństwa" przekształcamy się w przedmurze zachodniego genderyzmu i LGBT. Słowem, bojąc się „finlandyzacji", staliśmy się polityczną, kulturową, militarną i gospodarczą neokolonią Zachodu. Każdy realista polityczny, a Dmowski do nich się właśnie zaliczał, zadałby pytanie: Czy było warto? Czy cena zachodniej ochrony przed Rosją nie przekroczyła już potencjalnego zagrożenia? Czy możliwa „finlandyzacja" jest rzeczywiście gorsza od realnego członkostwa w Mitteleuropie?

Piotr Semka zdaje się uważać, że w obliczu zagrożenia rosyjskiego każde podporządkowanie się Zachodowi jest lepsze, przy czym nasza polityka ostatnich dziesięcioleci doprowadziła do sytuacji, w której tak naprawdę nie wiemy, jakie są oczekiwania Rosji wobec Polski. Być może ponoszone przez nas koszty dawno już przekroczyły zagrożenie? Pytanie to jest szczególnie ważkie dlatego, że potęga współczesnej Rosji jest znacznie mniejsza niż Rosji carskiej w stosunku do nieistniejącej Polski w 1914 r. czy też ZSRS w stosunku do Polski Ludowej. Przypominam, że poza małym kawałkiem na północy Polska z Rosją nawet nie graniczy, a nie widzę, aby Rosja miała potencjał do zbrojnego odtworzenia bloku wschodniego i Układu Warszawskiego.

IRRACJONALIZM CZY PARADYGMAT?

Główny argument Piotra Semki (i całego obozu PiS) to „nieprzewidywalność" i „irracjonalność" Rosji, więc nie można się z nią porozumieć i ułożyć. Jest to argument trafny przy przyjęciu, że jedynym paradygmatem w stosunkach międzynarodowych jest ten liberalny, gdzie panuje prawo międzynarodowe, państwa wyrzekają się przemocy i nie prowadzą wojen, co czyni je „przewidywalnymi" i „racjonalnymi". Jest to myślenie o świecie w kategoriach Francisa Fukuyamy i Klausa Schwaba, czyli w kategoriach lewicowo-liberalnych.

Świat jest inny. Rosja i USA myślą o polityce w kategoriach paradygmatu realistycznego, na gruncie którego państwa używają przemocy w sytuacji zagrożenia ich interesów. Aby zrozumieć Moskwę i Waszyngton, Władimira Putina i Donalda Trumpa, należy mentalnie porzucić fukuyamowską koncepcję „końca historii" i „świata na zasadach", która i tak umiera na naszych oczach wraz z upadkiem globalizmu, czego Europejczycy nie chcą przyjąć do wiadomości, a polskie elity mają ten sam problem. Piotr Semka popełnia tutaj ten sam błąd, co Radosław Sikorski i jego małżonka. Liberalizm nie jest regułą, lecz krótką chwilą odstępstwa od wiecznych reguł polityki światowej. Trzeba ponownie nauczyć się myśleć w kategoriach racji stanu i stref wpływów mocarstw. Na tym polega prawdziwy realizm! Gdy się w tych kategoriach myśli – osobiście nigdy nie miałem z tym trudności – to polityka rosyjska staje się natychmiast zrozumiała, racjonalna i przewidywalna. W tych kategoriach myślał o świecie Dmowski i dlatego akceptował Rosję taką, jaka ona jest (a nie jaka być „powinna" w naszych mesjanistycznych marzeniach); potrafił się z nią dogadywać i robić z nią różne „resety". Umiał także Rosję porzucić na przełomie lat 1915 i 1916, stawiając na Paryż i Waszyngton, rozumiejąc, że to od tych dwóch państw zależeć będą odbudowa powojennej Polski i jej granice.

Roman Dmowski grał na wszystkich dostępnych mu fortepianach, nie wykluczając z góry żadnego. Na tym polegała jego geopolityczna wielkość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

DOTYCHCZASOWE TEKSTY W DYSKUSJI:

Adam Wielomski, „Niewidomi w Warszawie", „DRz" nr 24/2026
Piotr Semka, „I kto tu jest niewidomy?", „DRz" nr 26/2026
Adam Wielomski, „Kto zamknął oczy na rzeczywistość?", „DRz" nr 27/2026
Piotr Semka, „Gdzie Wielomski, gdzie Dmowski?", „DRz" nr 28/2026

eprasa.pl e248126c5c



Z dr. hab. Michałem Chaberkiem OP
rozmawia Paweł Chmielewski

Jak powstał świat

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Ojciec twierdzi, że to Pan Bóg stworzył ziemię, zwierzęta i człowieka – tak jak opisuje to Biblia. Wydawałoby się, że to jakaś średniowieczna wizja świata. Czy Kościół może tak bardzo zaprzeczać nauce?

DR HAB. MICHAŁ CHABEREK OP: W kontekście katolickiej nauki o stworzeniu nie powinno mówić się o średniowiecznej wizji, ale raczej o wizji chrześcijańskiej, którą należy przeciwstawić wizjom pogańskim. Wszystkie mitologie i wierzenia starożytne miały charakter transformistyczny, to znaczy mówiły o powstaniu obecnych form świata na zasadzie serii transformacji jednych bytów w drugie. Oczywiście pogańskie kosmogonie zakładały także odwieczne istnienie świata w takiej czy innej postaci. Zatem świat nie miał absolutnego początku. Tym poglądom od początku sprzeciwiała się wizja biblijna, którą przyjęli i rozwinęli chrześcijanie. Wizja biblijna charakteryzuje się tym, że świat został stworzony z niczego, ma więc absolutny początek, a główne elementy świata, zwłaszcza różne gatunki istot żywych, pochodzą bezpośrednio od Boga. Nie ma więc transformacji gatunków, lecz ich niezależne stworzenie.

Czy zatem wprowadzenie teorii ewolucji to powrót do wizji przedchrześcijańskich?

Trudno się oprzeć wrażeniu, że tak właśnie jest. Koncepcja wielu światów, na którą nie ma i nie może być żadnych dowodów naukowych, jest powszechnie głoszona przez ateistów. A przecież nie jest to nic innego, jak tylko próba pozbycia się teorii wielkiego wybuchu, która wskazuje na czasowy początek świata. Zatem całkowicie naukowa teoria wielkiego wybuchu, dobrze harmonizująca z chrześcijańskim pojęciem stworzenia, wypierana jest przez spekulację quasinaukową, która pozwala ocalić pogański „odwieczny świat". Podobnie w kwestii pochodzenia człowieka: paleobiolodzy tworzą w swojej wyobraźni różnorakie hominidy, czyli przygarbione stwory łączące cechy małpie i ludzkie, aby przekonywać o ewolucji człowieka od małpy. Ale materiał kopalny pozwala jedynie na stwierdzenie, że istniały rożne rasy ludzkie i różne gatunki małp. Małpoludy, to znaczy hybrydy małpio-ludzkie, to jedynie owoc wyobraźni paleontologów. Przypominają one pomysły starożytnego materialisty Empedoklesa lub gnostyków, którzy twierdzili, że Bóg stworzył człowieka najpierw jako ułomnego i niezdolnego do chodzenia i dopiero później oświecił go „iskrą z wysoka", dzięki której człowiek wyprostował się i stał się w pełni sprawny. Myślę więc, że w tych naukowo niepotwierdzonych koncepcjach w istocie powracają dawne koncepcje pogańskie. Różnica jest tylko taka, że starożytne kosmogonie były formowane językiem mitycznym, a obecnie kosmogonie pogańskie są formułowane przez ateistycznych naukowców językiem zaawansowanej nauki. Jednak to nie czyni ich bardziej naukowymi.

Kościół nie może jednak zaprzeczać nauce, a teoria ewolucji uchodzi za teorię naukową. Każdy uczył się w szkole o ewolucji i teorii Darwina. Jak Kościół mógłby to odrzucać?

Teoria Darwina i – szerzej – każda wersja „teorii ewolucji biologicznej" mają dwa aspekty. Jeden to mechanizm zmian ewolucyjnych.

Darwin zaproponował, że mechanizmem zmian jest zróżnicowany rozród i dobór naturalny. Po odkryciu genetyki, w tzw. syntezie neodarwinistycznej, mówiono o przypadkowych mutacjach genetycznych, które mogą być dziedziczone i w jakiś sposób modyfikują organizmy. Dobór naturalny zachowuje te korzystne, a eliminuje niekorzystne. Obecnie czołowi biologowie odrzucają tezę, jakoby mechanizm neodarwinistyczny mógł wyjaśnić powstanie wszystkiego, co widzimy w świecie ożywionym. W tym sensie neodarwinizm jest martwy.

Drugi aspekt „teorii ewolucji" to ta ogólna wizja wspólnego pochodzenia wszystkich organizmów od jednego przodka, czyli tzw. drzewo życia Darwina. Krytycy ewolucjonizmu zazwyczaj twierdzą, że mechanizm ewolucji może wyjaśnić drobne zmiany w obrębie gatunków, czyli tzw. mikroewolucję. Jednak ten sam mechanizm nie wyjaśni powstania wszystkich form życia. Dlatego krytycy najczęściej odrzucają ideę jednego „drzewa życia".

Czy Darwin przedstawił dowody na istnienie „drzewa życia"?

Dla osób niezagłębionych w temat zaskakujący może być fakt, że Darwin nigdy nie przedstawił żadnego przykładu zmiany makroewolucyjnej, czyli zmiany jednego gatunku w inny. Cała jego teoria opiera się na wyliczaniu mnogich przykładów drobnych zmian (adaptacji) zachodzących w populacjach, ale nigdy nie podaje przykładu istotnego przejścia ewolucyjnego. Zatem jego teoria opiera się na nieuzasadnionej ekstrapolacji, np. przedstawienie mechanizmu zmian wielkości i kształtu dziobów zięb galapagoskich nie jest tym samym, co wyjaśnienie pochodzenia samych zięb czy nawet ich dziobów. We współczesnej debacie pokazanie np. tego, jak bakterie uodparniają się na antybiotyki, nie wyjaśnia tego, skąd wzięły się bakterie.

Współcześni ewolucjoniści wskazują, że nikt już nie popiera czystej teorii Darwina. Dziś przyjmuje się neodarwinizm. To też można zakwestionować?

Jak już wspomniałem, wiodący biologowie zdają sobie sprawę, że neodarwinistyczny mechanizm ewolucji nie wyjaśnia powstania żadnych istotnych nowości biologicznych (nowych genów, białek, planów budowy ciał, złożonych układów biochemicznych), a w związku z tym nie wyjaśnia nic istotnego z punktu widzenia teorii makroewolucji. Dzisiaj proponuje się wiele mechanizmów pomocniczych, np. podkreśla się rolę epigenetyki, dryfu genetycznego etc., ale nic z tego nie uzupełnia brakujących luk eksplanacyjnych. Dlatego obecnie w świecie nauki ewolucjonizm jest w głębokim kryzysie. Niestety, nie przekłada się to na powszechną percepcję. Popularyzatorzy nauki i słuchający ich laicy nadal wierzą, że „ewolucja" wyjaśnia

eprasa.pl e248126c5c

wszystko. W istocie jest to tylko takie sobie opowiadanie. Co bardziej uczciwi biologowie uznają, że nie ma wyjaśnienia dla ewolucji, ale mówią wtedy, że choć nie mamy wiarygodnego wyjaśnienia makroewolucji, to nic nie umniejsza naszej wiary w „drzewo życia" Darwina.

Ojcowie wierzyli w wiele rzeczy, które odrzuca współczesna nauka. Zatem czy ich przekonania w kwestii pochodzenia człowieka mają jakiekolwiek znaczenie?

Sobór Trydencki orzekł, że należy się trzymać interpretacji ojców pod dwoma warunkami: gdy wypowiadają się w sprawach wiary i moralności oraz gdy reprezentują wspólne stanowisko w jakiejś kwestii. Rzeczywiście, ojcowie popierali wiele błędnych teorii, np. geocentryzm kosmosu, spontaniczne rodzenie, a nawet krótkie istnienie świata. Te teorie nie dotyczą jednak wiary i moralności. Są to teorie naukowe ich czasów. Również wiek świata nie był nigdy przedmiotem wiary. Natomiast długość dni stwórczych była różnie rozumiana przez różnych ojców. Zatem w tym przypadku ani nie ma jedności ojców, ani sprawa nie dotyczy wiary. Nie można więc przywoływać autorytetu ojców na poparcie koncepcji młodej Ziemi. Zupełnie inaczej jest z kwestią pochodzenia człowieka. Wszyscy ojcowie i doktorzy rozumieli stworzenie z prochu ziemi literalnie i historycznie i uważali to za prawdę wiary. Zatem inaczej niż w kwestii wieku świata w kwestii pochodzenia człowieka obowiązuje nas jednomyślna interpretacja ojców.

Wróćmy jeszcze do ewolucji. Wszyscy widzimy, że gatunki się zmieniają. Są wilki, psy; są większe i mniejsze owady, blisko spokrewnione… Ewolucja dzieje się na naszych oczach. Jak można temu zaprzeczać?

Oczywiście dużo zależy od definicji słowa „ewolucja". Jest to tak pojemne słowo, że bez ściślejszego dookreślenia właściwie nie wiadomo, o czym mówimy. Problemem jest makroewolucja biologiczna, czyli powstawanie zupełnie nowych form życia (na poziomie taksonomicznych rodzajów i rodzin), a nie mikroewolucja. W tym sensie nie ma przeszkód z punktu widzenia wiary i zdrowej filozofii, aby powiedzieć, że wilk i pies domowy miały wspólnego przodka. Natomiast problematyczne jest stwierdzenie, że człowiek i małpa pochodzą od jednego przodka.

Ojciec mówi też często o teorii inteligentnego projektu. Czym to tak właściwie jest?

Teoria inteligentnego projektu – podobnie jak teoria ewolucji – ma wiele aspektów. Zasadniczo sprowadza się do tezy, że w przyrodzie można wykryć istnienie struktur zaprojektowanych metodą ściśle naukową. Do niedawna nauki mówiły o zdarzeniach lub strukturach przypadkowych i koniecznych, czyli wynikających z praw przyrody. Ponadto twierdzono, że cały świat składa się z materii i energii. Tymczasem dzisiaj mówi się, że materia i energia nie wystarczą, musi być jeszcze informacja. Podobnie do zdarzeń i struktur przypadkowych i koniecznych należy dołączyć struktury zaprojektowane, czyli będące skutkiem działania siły inteligentnej, to znaczy zdolnej do działania ze względu na cel.

Wielu katolików akceptuje ewolucję, ale łączy ją z Bożym stworzeniem. Mówi się, że tego nauczał też Jan Paweł II. Czy tak nie jest?

W moich publikacjach, zwłaszcza w książce „Kościół a ewolucja", starałem się pokazać, że współcześni papieże nie przedstawili spójnego stanowiska w kwestii ewolucji. Do 1950 r. Kościół utrzymywał w swoim zwyczajnym nauczaniu, że człowiek został stworzony dosłownie z prochu ziemi, czyli że dusza i ciało Adama powstały jednocześnie na mocy Boskiego aktu stwórczego. Pius XII ogłosił, że można badać tzw. koncepcję „specjalnego transformizmu", czyli stworzenia duszy i ewolucji ciała. Jednak taka koncepcja jest naukowo i „metafizycznie niestabilna", dlatego katoliccy badacze szybko przeszli do koncepcji poligenistycznych, w których zaprzecza się istnieniu Adama i Ewy, a także kwestionuje się stworzenie duszy rozumianej jako forma substancjalna ciała. Nie wchodząc w skomplikowane szczegóły, trzeba zauważyć, że współcześni teologowie w ogromnej większości popierają tzw. teistyczny ewolucjonizm, czyli ideę, że Bóg posłużył się ewolucją, stwarzając świat. Tyle że nie ma żadnych dokumentów Magisterium, które promowałyby tę wizję.

Co mówi naprawdę nauka Kościoła katolickiego na temat stworzenia człowieka, ewolucji, wiarygodności Księgi Rodzaju?

Podobnie jak w wielu innych kwestiach, mamy tu dzisiaj pewne zamieszanie. Jak już powiedziałem, do 1950 r. formalnie, a realnie do lat 20.–30. ubiegłego wieku, Kościół stał na straży starożytnej nauki głoszonej przez wszystkich ojców i doktorów Kościoła na temat bezpośredniego stworzenia człowieka. W drugiej połowie XX w. rozpowszechnił się teistyczny ewolucjonizm, ale nigdy nie został on oficjalnie zaakceptowany przez Magisterium. Uważam, że najnowsze osiągnięcia nauki zmuszają nas do porzucenia darwinizmu. Ewolucjonizm jest niezgodny z klasyczną metafizyką oraz klasyczną interpretacją biblijną. Nie ma natomiast żadnych danych i faktów naukowych, których nie da się uzgodnić z bezpośrednim stworzeniem człowieka czy nawet osobnym stworzeniem gatunków.

Jakie konsekwencje dla Kościoła może mieć przyjęcie ewolucjonizmu?

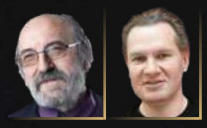
Podążanie drogą obraną przez większość teologów doprowadzi ostatecznie do całkowitego rozmontowania chrześcijaństwa. Proszę zauważyć, że Pius XII dopuścił debatę na temat ewolucyjnego powstania ciała człowieka, ale odrzucił możliwość dyskutowania poligenizmu. Dzisiaj nikt się tym zakazem nie przejmuje. Poligenizm jest powszechnie głoszony przez katolickich teologów. Przyjęcie poligenizmu prowadzi do negacji katolickiego rozumienia grzechu pierworodnego. Ponadto współcześni teologowie promują teorie pochodzenia człowieka, w których wyklucza się istnienie duszy jako niematerialnego pryncypium. Zatem od negacji stworzenia ludzkiego ciała przeszliśmy do negacji natury ludzkiej oraz grzechu pierworodnego, tak jak zdefiniował go Sobór Trydencki. Proces rozmontowywania kolejnych prawd trwa, jego przejawem są debaty na temat transhumanizmu. Uważam zatem, że jedyna droga dla Kościoła to powrót do klasycznej wiary w stworzenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Michał Chaberek OP *– dominikanin, teolog fundamentalny. Specjalizuje się w zagadnieniach związanych z relacjami wiary i nauki, teologią stworzenia, filozofią św. Tomasza oraz teorią inteligentnego projektu. Jest pracownikiem Fundacji En Arche. Strona domowa: mchaberek.com.*

eprasa.pl e248126c5c



Z prof. Wojciechem Roszkowskim
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Gwiaździsty sztandar



FOT. KALBAR/PAP

eprasa.pl e248126c5c

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Odnosimy wrażenie, że Polacy wiedzą o Ameryce stosunkowo niewiele, mniej może niż kiedyś, nawet w epoce „słusznie minionej”...

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Historia Stanów Zjednoczonych jest słabo reprezentowana nie tylko w polskich podręcznikach, lecz także w europejskich. Przestudiowałem jeden z takowych, niemiecko-francuski, i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie ma w nim ani Abrahama Lincolna, ani wojny o niepodległość czy secesyjnej. Zastanawiające, skąd młodzież na Starym Kontynencie czerpie dziś informacje o największym mocarstwie świata obecnych czasów. Bo na pewno nie ze szkoły.

Zatem u nas nie jest z tym jednak najgorzej.

Co wynika zapewne z uwagi na sympatie proamerykańskie oraz silne więzi łączące nasze kraje. Niewątpliwie Ameryka ciągle Polakom imponuje. Nierzadko widzimy ją niemal w rajskim wymiarze. Zaciekawia nas politycznie, ekonomicznie, kulturowo, sportowo… Zazwyczaj potrafimy wymienić największe miasta, rzeki, jeziora czy niektóre stany.

Rozpoznajemy też „Gwiaździsty sztandar”. Mamy na myśli nie tylko flagę państwa, lecz także hymn narodowy, niezapomniany również w interpretacji Jimmy’ego Hendrixa.

Wciąż postrzegamy Stany Zjednoczone jako przeciwnika Moskwy. Dawniej Związku Sowieckiego, dziś Rosji. Ten wizerunek, jak sądzę, szczególnie mocno tkwi w świadomości Polaków, toteż przeważnie pamiętamy Ronalda Reagana, ponieważ to przecież on zdefiniował Kreml jako imperium zła i w znacznej mierze przyczynił się do jego upadku. Kojarzymy również innych prezydentów: Wilsona i Waszyngtona, patronów warszawskich przybytków – placu i ronda – Kennedy’ego, Trumpa, może też i tych figurujących na banknotach dolarowych.

W tej ostatniej kwestii z pewnością orientujemy się wcale nieźle. Za to Amerykanie raczej nie mają pojęcia o polskich monarchach, których fizjonomie zdobią naszą walutę. W dobie mody na historię alternatywną zapytamy, co byłoby, gdyby Stany Zjednoczone pod koniec XVIII stulecia nie wybiły się na niepodległość?

Trudno wyobrazić sobie ową rozległą krainę zaludnioną przez indiańskie szczepy, częstokroć koczownicze. Pozostanie zagadką, czy – i w jakim czasie – mogłyby stworzyć organizm państwowy. Można domniemywać, że przez wiele dekad terytorium dzieliłyby pomiędzy sobą mocarstwa europejskie, jak to miało miejsce choćby na Czarnym Lądzie, zwabione bogactwami naturalnymi Ameryki. Anglicy, Szkoci, Irlandczycy i Walijczycy – stanowiący trzon ludności 13 kolonii, które wypowiedziały posłuszeństwo Zjednoczonemu Królestwu Wielkiej Brytanii – wyruszyli za Atlantyk w poszukiwaniu lepszego życia. Z nastawieniem na osadnictwo i rozwój gospodarczy. Ci pionierzy sukcesywnie, krok po kroku, ciężką i mozolną harówką urzeczywistniali swoje marzenia, zarazem wspinając się po szczeblach drabiny społecznej. Aż w końcu pokolenie imigrantów anglosaskich już za oceanem urodzonych poczuło się odrębnym narodem. Jednocześnie zyskali samowystarczalność i pragnęli bogacić się sami, a nie wspierać Londyn, odległy od nich zarówno geograficznie, jak i – coraz bardziej – mentalnie.



WOJCIECH ROSZKOWSKI „SIŁA I WOLNOŚĆ. 250 LAT STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI” BIAŁY KRUK 2026

Apetyt na Amerykę miały również inne nacje.

Hiszpanie kolonizowali ją od południa, Meksyku, Karaibów i Florydy, choć bez większego przekonania, ponieważ za znacznie atrakcyjniejszą uważali Amerykę Południową.

Być może zabrakło im także smykałki handlowej, lecz nie zapominajmy, iż imperium hiszpańskie znajdowało się już w stanie kryzysu, narastającego po spektakularnej klęsce Wielkiej Armady w starciu z flotą brytyjską w roku 1588.

Natomiast Francuzi poruszali się wzdłuż Rzeki św. Wawrzyńca, dotarli do Wielkich Jezior, założyli posterunki i faktorie w dolinie Missouri-Missisipi, i na tym koniec.

Skądinąd podobne placówki utworzyli na Alasce Rosjanie. Kto wie, w jakim kierunku potoczyłoby się koło historii, gdyby nie odsprzedali tego obszaru USA. Za kwotę 7,2 mln dol. Śmieszną, jeżeli weźmiemy pod uwagę wartość zasobów mineralnych obfitujących w tym regionie.

Nie brak ich też w innych rejonach Stanów Zjednoczonych, które w XIX stuleciu się zaludniły.

Dość powiedzieć, że u progu tamtego wieku liczbę ludności szacowano na 3,5 mln, a po 100 latach zwiększyła się ona niemal 30-krotnie. Popularne stało się hasło „Go West”. Do USA przybywały za chlebem rzesze Europejczyków. Także z terenów Polski. Pod koniec XIX w. nasiliła się migracja żydowska. Bez wątpienia mieliśmy do czynienia z fenomenem demograficznym w skali globu. W rezultacie państwo rozszerzało się o kolejne stany, gdzie obok siebie z reguły zgodnie funkcjonowały społeczności wielorasowe, wieloetniczne, wieloreligijne. Przestrzegające zasad uwiecznionych w 1878 r. na kartach konstytucji. Najstarszej, wciąż obowiązującej, ustawy państwowej na świecie.

Być Amerykaninem to nadal marzenie bardzo wielu ludzi z rozmaitych szerokości geograficznych. Najdramatyczniejszym epizodem dziejów USA była wojna secesyjna?

Na pewno, gdyż krajowi realnie zagrażał wtedy rozpad. Różnice ekonomiczne, społeczne i ideologiczne coraz bardziej dzieliły Północ i Południe, toteż uważam, że tego konfliktu zbrojnego uniknąć się nie dało. Zaowocował zniesieniem niewolnictwa i krachem systemu feudalnego – charakteryzującego konfederatów – oraz triumfem strategii rozwoju wolnorynkowo-kapitalistycznej, preferowanej przez Jankesów. Walka była wyczerpująca i zażarta, zebrała krwawe żniwo i przyniosła spustoszenie. Ale Amerykanie szybko wyciągnęli z niej wnioski, jednocząc się w pryncypiach.

Wkład Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego w amerykańską niepodległość jest powszechnie znany i nie do przecenienia, ale w swojej najnowszej książce wydobywa pan z lamusa wiele innych Polaków zasłużonych dla USA.

Starałem się, aby w każdym z rozdziałów książki znalazły się jakieś polonika. Na liście pasażerów przybyłych do Jamestown w roku 1608 figurują nazwiska pięciu naszych rodaków. I to fachowców, byli smolarzami oraz szklarzami – rzadkie wówczas umiejętności. Co ciekawe, zorganizowali pierwszy na ziemi amerykańskiej strajk! Któż pamięta gen. Włodzimierza

eprasa.pl e248126c5c

Krzyżanowskiego? Ten utalentowany inżynier, który do ojczyzny Franklina zbiegł z powodu zagrożenia represjami zaborczymi za udział w Wiośnie Ludów, dzielny dowódca podczas wojny secesyjnej (po stronie Północy), był kuzynem Fryderyka Chopina!

Albo Chaim Solomon, syn rabina z Leszna. Dotarł do Ameryki w roku 1772, pomnożył majątek, działał na rzecz niepodległości kolonii.

Ameryka stała się ziemią obiecaną dla wielu ludzi rzutkich. Częstokroć pochodzenia mojżeszowego.

Do Stanów Żydzi zaczęli masowo napływać na przełomie wieków XIX i XX. Przede wszystkim z Rosji, gdzie narastał antysemityzm – nakaz osiedlania wyłącznie w zachodnich guberniach, pogromy – lecz i Niemiec. Zajęli się głównie handlem oraz rzemiosłem. Szybko opanowali bankowość, prasę i rozrywkę. Muzyczną i filmową zwłaszcza.

Amerykanom zarzuca się niekiedy prymitywizm kulturowy, tymczasem nie brak dowodów na to, że stosunkowo szybko zaznaczyli swoją obecność we wszystkich chyba dziedzinach sztuki, z literaturą włącznie.

A nie brakowało głosów, że literatura ta skazana jest na porażkę, bo przecież jest znakomita literatura angielska, powstała w tym samym języku, a starsza, no i Szekspir był Anglikiem, a nie Amerykaninem. Pierwszym pisarzem amerykańskim, który zdobył popularność w Europie, był Washington Irving, innym znanym autorem stał się James Fenimore Cooper, a Mark Twain to już postać symboliczna. Ale chciałbym przypomnieć kogoś innego – Phillis Wheatley, czarnoskórą dziewczynę jako dziecko porwaną z Afryki, bodaj z Gambii, przez handlarzy niewolników i przywiezioną do Massachusetts. Trafiła na ludzi, którzy zadbali o jej wykształcenie, a że była utalentowana, jej wiersze zwróciły uwagę czytelników i krytyki. Była pierwszą publikowaną czarnoskórą autorką i drugą publikowaną pisarką amerykańską w ogóle. Ta, w sumie ciekawostka, sporo mówi nam o Ameryce.

Pana książka przynosi wiele podobnych informacji dotyczących rozwoju kultury czy sportu w Ameryce, a także wielu innych dziedzin życia, nie tylko polityki. Ale też co krok przypomina nam, że cała historia tego wielkiego kraju zamyka się w 250 latach. Z polskiego punktu widzenia to śmiech.

Z pewnością całej historii Polski nie zdołałbym zawrzeć w jednym tomie, nawet tak obszernym jak „Siła i wolność".

Coś na ten temat mógłby powiedzieć prof. Andrzej Nowak.

Jego znakomite „Dzieje Polski" po siedmiu tomach doszły mniej więcej do tego momentu, w którym zaczyna się historia Stanów Zjednoczonych. Rzeczywiście krótka, ale bogata. Powiedziałbym, że mierzymy ją nie wzdłuż, a wszerz. Jakie są główne jej elementy? Migracja, przybywanie milionów ludzi i fenomen absorpcji tych ogromnych mas do gospodarki, która rozwija się w XIX w. w dużej mierze dzięki kolei. I od razu staje się innowacyjna; pojawiają się wielcy amerykańscy wynalazcy, których pomysły mają znaczenie praktyczne. Eli Whitney swoją odziarniarkę bawełny uczynił fundamentem przemysłu odzieżowego, a żniwiarka Cyrusa McCormicka niebywale podniosła wydajność pracy w rolnictwie, które z miejsca stało się konkurencją dla rolnictwa europejskiego. Sławny Andrew Carnegie rzucił wyzwanie stalowniom brytyjskim – bagatela! – i osiągnął gigantyczny sukces, a to dlatego, że zbadał koszty poszczególnych faz produkcji i zobaczył, ile można oszczędzić na każdym etapie. W sumie umożliwiło to znacznie tańsze wytwarzanie stali.

Nie zawsze Stany Zjednoczone interesowały się tym, co dzieje się w Europie czy w innych zakątkach świata. Ale też prezydent USA w orędziu z 1823 r. ostrzegał, że każda próba narzucenia politycznej kontroli Europejczyków w państwach Ameryki Południowej zostanie uznana przez USA za działanie wrogie. Czy na tym m.in. polegała tzw. doktryna Monroego?

To ta doktryna i wojna z Meksykiem uświadomiły Amerykanom swą wielkość, ale wielką politykę międzynarodową waszyngtońskie elity zaczęły tworzyć dopiero w drugiej połowie XIX w. i wtedy nastąpił wzrost apetytów imperialnych. A Stany Zjednoczone nie interesowały się światem wtedy, gdy były zajęte same sobą. Ale nawet wojna secesyjna nie była aż tak wielkim przełomem, jak się nam wydaje. Bo dane wprawdzie są porażające – w trochę ponad 30-milionowym kraju ofiarą walk padło 628 tys. ludzi. Zginęła jedna czwarta walczących, i to po obydwu stronach. Tylko są to wielkie liczby w stosunku do lat 60. XIX stulecia, ale już nie w stosunku do lat 90. czy do początku wieku XX. Dla przybyłych wtedy do Ameryki tamta wojna sprzed 30 lat nie istniała; to nie była ich sprawa. A w roku 1900 Ameryka ma już więcej ludności od mocarstw europejskich, a PKB ma prawdopodobnie większy niż Anglia i Nowy Jork jest ważniejszym centrum finansowo-handlowym niż Londyn. Wszystko to jest efektem eksplozji gospodarczej, terytorialnej, administracyjnej, ale również zrodzenia się ideologii imperialnej. Kojarzy się z nią prezydent Theodore Roosevelt, który wspierał również, o czym się zapomina, politykę łagodzenia konfliktów społecznych, będąc właściwie prekursorem późniejszych działań swego kuzyna, Franklina Delano Roosevelta.

Imperializm kojarzy nam się nienajlepiej, ale gdyby nie myślenie imperialistyczne, Ameryka nigdy nie byłaby wielka.

To myślenie wpoiło im przekonanie o wielkości. I to jest to, co ich łączy. Żyjemy w wielkim kraju, jest nas wielu, to i my musimy być wielcy.

Pozazdrościć.

Tak, możliwości mają ogromne.

Ale jest coś zastanawiającego, że w tym kraju, który ściąga do siebie każdego, kto chce czegokolwiek dokonać w nauce, poziom nauczania na podstawowym czy średnim szczeblu jest wręcz przerażająco niski.

Można postawić pytanie: Po co komu w ogóle wykształcenie? Amerykanom jest ono potrzebne ze względów praktycznych. Zdobywają wykształcenie, dyplomy, żeby osiągnąć z tego korzyść. A większość? Powstało o tym wiele

Do Stanów Żydzi zaczęli masowo napływać na przełomie wieków XIX i XX. Przede wszystkim z Rosji, gdzie narastał antysemityzm

eprasa.pl e248126c5c

filmów, o młodzieży z małych miasteczek, która kombinuje, co dalej. Niektórzy będą pracować w warsztacie ojca, inni w barze kuzyna albo sami otworzą bar, ktoś tam wyuczy się jakiegoś zawodu, ale nie każdego, bo takich jak on nie bawią filozofia, informatyka czy odkrywanie świata. Ci zaś, którzy chcą robić rzeczy niezwykłe, trafią do najlepszych uniwersytetów, gdzie zresztą także następuje niezwykła selekcja kadr.

Ameryka w swojej historii przeżywała trudne momenty. Jednym z nich był wielki kryzys, który miał miejsce po czarnym czwartku na nowojorskiej giełdzie w roku 1929. Stany wydobyły się z niego dopiero po paru latach za sprawą Nowego Ładu, co uznaje się za zasługę prezydenta Franklina Delano Roosevelta, niebędącego – co stwierdzamy po lekturze „Siły i wolności" – pana ulubieńcem.

Jako Polakowi trudno mi oceniać go inaczej. Ale prowadziłem kiedyś zajęcia ze studentami amerykańskimi, przed którymi nie mogłem – ja, przybysz z dalekiego kraju – wydziwiać na ich prezydenta. Nie mówiłem więc, że zdradził Polskę, bo zresztą żadnej umowy z Polską nie podpisał, ale podkreślałem, że zdradził Amerykę. A to dlatego, że dopuszczając do niekoniecznego podziału Europy, wpędził kolejne pokolenia Amerykanów w bardzo wysokie koszty zimnej wojny. I oni przyjęli ten argument, choć w istocie myślę, że do zimnej wojny, w takiej czy innej postaci, i tak by doszło. A Roosevelt charakterologicznie był typem bardzo mi niepasującym: megaloman, z zapędami dyktatorskimi, przy czym z komunistami zupełnie sobie nie radził. Jeśli jednak chodzi o New Deal, to w pamięci Amerykanów pozostało jego wskazanie, by nie zapominać o ubogich. Przy czym ubogi jest nie tylko ten, kto cierpi biedę, lecz także ten, który kupuje. Jak się nie ma za co kupić, to się nie da sprzedać, a jak się nie da sprzedać, to się nie zarobi.

W historii USA po drugiej wojnie światowej demonizowany jest senator Joseph McCarthy, chociaż ewidentnie widać, że w tamtych latach Ameryka była infiltrowana przez komunistyczne służby, a wielu naukowców i artystów znajdowało się na pasku Kremla.

Problem tkwi w tym, że nadgorliwość bywa gorsza niż sabotaż. A w takiej działalności, którą prowadził McCarthy, trzeba być precyzyjnym i skutecznym. I tego zabrakło, a w rezultacie każdy antykomunista stawał się, jakby z założenia, karykaturą tego senatora. To, że ten pieniacz i demagog miał rację, było bez znaczenia.

Ronald Reagan sprawując władzę, symbolizował zdrowy rozsądek i skuteczność, co zawsze w Ameryce ceniliśmy najbardziej

Po latach i rzekomo tylko obyczajowej rewolucji roku 1968 burmistrz Newport pytany o wpływy komunistyczne w Radzie Miejskiej Berkeley miał odpowiedzieć: „Nie przeszkadzają mi komuniści. Mój problem to republikanie i demokraci". Podobnie Donald Tusk mógłby orzec, że nie szkodzą mu komuniści i lewacy wszelkiej maści, a jedynym zagrożeniem jest PiS.

Tamta rewolucja, której skądinąd poświęcam dużo uwagi, bo to ważna, a często lekceważona kwestia, miała gruntownie lewacki charakter. I nie było to wcale „robienie miłości", wplatanie kwiatów we włosy i rzekomo niegroźne eksperymenty ze środkami psychodelicznymi. Na pozór skrajny hipisowski indywidualizm prowadził do równie skrajnego zniewolenia. Wiele mówi historia ruchu Weather Underground, który swój antykapitalistyczny rewolucjonizm wykazał, detonując bombę w nowojorskim ratuszu, w wyniku czego zginęły trzy osoby. A naśladowcy nowych rewolucjonistów stali się – to cudne określenie! – „stadem niezależnie myślących".

Gdyby miał pan dokooptować do czterech prezydentów uwiecznionych na sławnym wykutym w skale pomniku w Dakocie Południowej jeszcze jednego amerykańskiego przywódcę, kto to by był?

Oczywiście Ronald Reagan, jeden z największych amerykańskich prezydentów. Nie tylko dlatego, że dzięki swemu programowi „Gwiezdnych Wojen" i antykomunizmowi pozwolił nam wyśliznąć się z „braterskiego" uścisku towarzyszy sowieckich. Sprawując władzę, symbolizował zdrowy rozsądek i skuteczność, co zawsze w Ameryce ceniliśmy najbardziej. Był piewcą wolności i sprawiedliwości. To także od Reagana zaczerpnął Donald Trump hasło: „Make America Great Again". Naturalnie użył go po swojemu, nie oglądając się na pierwowzór.

No właśnie, jak pan ocenia prezydenta Trumpa?

Patrząc na bieżącą politykę, często skupiamy się na tym, co zwraca naszą uwagę najłatwiej. No więc najbardziej rzuca się w oczy fryzura Donalda Trumpa. A w dalszej kolejności jego sposób mówienia, dziwny czasami. Ale co się za tym kryje? A kryją się ruchy, których nie dostrzegamy. Niedawno Wojciech Cejrowski bardzo chytrze zauważył, że w tym, co robi Trump wokół cieśniny Ormuz, daje znać o sobie nie tylko jego nadpobudliwy charakter. Bo z działań tych wynikają określone konsekwencje; ktoś na tych zwyżkach i spadkach cen ropy zyskuje, a ktoś traci. A dla Europy Stany Zjednoczone są najważniejszym partnerem. Z którym można robić najlepsze interesy. Nie wiem, jaki będzie ostateczny wynik prezydentury Trumpa, ale wydaje mi się, że trzeba patrzeć na niego z pewnym marginesem tolerancji dla jego dziwności.

Jeszcze w latach 30. XIX stulecia francuski myśliciel i polityk Alexis de Tocqueville tak pisał o Rosji i Stanach Zjednoczonych jako o wschodzących mocarstwach: „Amerykanin walczy z przeciwnościami natury, Rosjanin walczy z ludźmi [...]. Zdobycze Amerykanina są wynikiem pługa, zdobycze Rosjanina zaś – miecza [...]. Głównym narzędziem pierwszego jest wolność, drugiego zaś – poddaństwo. Ich punkt wyjścia był inny i ich droga jest odmienna, choć każde wydaje się naznaczone przez Opatrzność przeznaczeniem, by objąć pół globu". Dużo się od tamtej pory zmieniło?

I tak, i nie. Nie tylko Amerykanie w Amerykę, kraj ludzi dzielnych – jak śpiewają o sobie w hymnie narodowym – wierzą nadal, z wyjątkiem tych, którzy wątpią lub Ameryki nienawidzą.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Wojciech Roszkowski – historyk, ekonomista, nauczyciel akademicki. Kawaler Orderu Orła Białego. Jego podręcznik do historii i teraźniejszości z roku 2022 wywołał wściekłość środowisk lewackich. Autor m.in.: „Najnowszej historii Polski 1918–1980" pod pseudonimem Andrzeja Alberta wydanej w 1983 r., „Dramatu narodów bałtyckich" wydanego pod pseudonimem Jan Korzeń w roku 1987, „Świata Chrystusa" (2016), „Mistrzowskiej gry Józefa Piłsudskiego" (2018), „Roztrzaskanego lustra. Upadku cywilizacji zachodniej" (2019), „Komunizmu światowego. Od teorii do zbrodni" (2022) oraz najnowszej – „Siła i wolność. 250 lat Stanów Zjednoczonych Ameryki" (2026).

eprasa.pl e248126c5c



Mojżesz Merin, przewodniczący Judenratu w getcie sosnowieckim, Łódź, ok. 1942 r. FOT. MALINIAK/YIVO

Z Sebastianem Reńcą, historykiem i pisarzem, autorem książki „Szuler”
rozmawia Piotr Włoczyk

„Król” Mojżesz i jego okupacyjny „Eden”

PIOTR WŁOCZYK: Jak duże było „królestwo” Mojżesza Merina?

SEBASTIAN REŃCA: W końcu 1939 r. podlegało mu 37 gmin żydowskich znajdujących się w Zagłębiu Dąbrowskim, na Górnym Śląsku i w części Małopolski. Mówimy więc o ok. 100 tys. Żydów żyjących na terenach II RP przyłączonych do III Rzeszy. Merin był dla nich panem życia i śmierci. Często porównuje się go z Chaimem Rumkowskim, przewodniczącym żydowskiej administracji łódzkiego getta, czy z Adamem Czerniakowem, odgrywającym analogiczną rolę w getcie w Warszawie. Rumkowski i Czerniaków byli jednak naturalnymi liderami społeczności żydowskiej, ludźmi z wyższych sfer. A Merin jako żydowski „król” był właściwie człowiekiem z przypadku.

To bardzo ciekawy fragment pańskiej książki. Wygląda na to, że o objęciu przez Merina władzy w żydowskim „królestwie” w Sosnowcu zadecydował jego szybki... refleks.

A konkretnie: refleks szulera. Bo przecież Merin był zawodowym oszustem, karciarzem i szulerem. W 1938 r. polski sąd skazał go za oszustwa finansowe. Merin z więzienia wyszedł na początku września 1939 r., dzięki wojennej amnestii ogłoszonej przez prezydenta Mościckiego – z więzień wypuszczono wtedy wiele tysięcy ludzi odbywających kary za przestępstwa mniejszego i większego kalibru.

Merin szybko wrócił do Sosnowca, z którego pochodził. Pierwsze dni września w tym mieście to „standardowy” niemiecki terror rozpętany zarówno w stosunku do Polaków, jak i Żydów. Ci ostatni zostali zapędzeni przez okupantów do tzw. hal schoenowskich. Kiedy jeden z Niemców zapytał: „Czy jest tutaj ktoś, kto należy do Rady Gminy Żydowskiej?”, Merin wyrwał się do przodu. Oczywiście nie należał do żadnej rady – był za to sprytnym kombinatorem. Miał szulerski refleks i zwietrzył szansę.

Jego pierwszym zadaniem było zorganizowanie żywności i wody dla przetrzymywanych Żydów. Wywiązał się z niego dobrze i wkrótce Niemcy mianowali go szefem miejscowego Judenratu. A już w grudniu został wyznaczony przewodniczącym Centrali Żydowskich Rad Starszych Wschodniego Górnego Śląska.

Chociaż cała ta historia jest tragiczna, to trudno nie zauważyć, że początek jego kariery jako pana życia i śmierci dziesiątek tysięcy Żydów ma w sobie coś z Dyzmy...

I podobnie jak powieściowy Dyzma Merin obstawił się ludźmi bardziej inteligentnymi od siebie, którzy znali się na rzeczy. Weźmy choćby jego sekretarkę Fanny Czarną, która świetnie znała niemiecki – Merin nie mówił w tym języku – w związku z czym była jego tłumaczką. A przy okazji kochanką...

Jak się Merin odnajdywał w swojej nowej, zaskakującej roli?

Korzystał pełnymi garściami z fruktów wiążących się z władzą. A Merin, co pokazują też jego przedwojenna działalność przestępcza i sposób, w jaki wydawał zarobione pieniądze, uwielbiał życie na wysokim poziomie. Ludzie w getcie w Sosnowcu zwracali uwagę na jego złotą papierośnicę, na wykwintne posiłki, które spożywał w restauracjach ze swoją świtą, a także na całe zastępy kobiet, które wykorzystywał seksualnie.

Chyba można powiedzieć, że Merin wręcz zinstytucjonalizował „pozyskiwanie” kobiet w tych celach...

Żydowscy policjanci podlegający Merinowi nazywani byli jego ochroniarzami,

eprasa.pl e248126c5c



SEBASTIAN REŃCA
„SZULER. OPOWIEŚĆ O KRÓLU MOŃKU MERINIE I JEGO PODDANYCH"
ARCANA 2025

ale pełnili też inne funkcje. Jeden z policjantów był odpowiedzialny za załatwianie szefowi odpowiednio wyselekcjonowanych kobiet. Ci ludzie trzęśli gettem. Doskonale wiedzieli, który Żyd jest bogaty i gdzie trzyma kosztowności...

Oczywiście dzielili się z „królem".

Tak, Merin musiał swoje zarobić. Po likwidacji getta w Sosnowcu Niemcy przejęli też konta bankowe. Merin zdeponował na swoim koncie kwotę 87 tys. reichsmarek, co było istną fortuną.

Leon Schönker był przewodniczącym Żydowskiej Rady Starszych w Oświęcimiu i podlegał Merinowi. Jego obserwacje brzmią wręcz zdumiewająco, biorąc pod uwagę relacje na linii Niemcy – Żydzi.

Schönker pozostawił po sobie opis niesamowitej sceny, która rozegrała się na ul. Modrzejowskiej w Sosnowcu. Działała tam restauracja, gdzie świta Merina jadała wykwintne obiady. Getto kojarzymy z obrazem nędzy i rozpaczy, a tu grupa Żydów, pod wodzą swojego „króla", raczy się luksusami… Schönker – Merin zaprosił go do siebie do Sosnowca – wspominał, że w pewnym momencie pojawili się tam przedstawiciele Judenratu z Zawiercia, którzy nie zapłacili należnego podatku. Według relacji Schönkera Merin rugał Żydów z Zawiercia przy asyście... niemieckich żołnierzy. Władza Merina musiała robić wrażenie na Żydach, którzy przypatrywali się tej scenie.

„Król" załatwiał Niemcom różne drobiazgi, przyjmował niemieckich dygnitarzy z honorami. Wiedział, jak utrzymywać z nimi dobre relacje. Ale oczywiście ostatecznie nawet on nie był w stanie wystrychnąć ich na dudka – ten system tak był zbudowany, że to Żydzi byli wykorzystywani do cna.

Czy Merin rzeczywiście cieszył się protekcją samego Heinricha Himmlera?

Mamy relacje – raczej wiarygodne – mówiące o tym, że Merin dysponował specjalnym „glejtem" od Himmlera. Pismo to nakazywało każdemu pomagać Merinowi w wykonywaniu jego oficjalnych obowiązków. Wiemy też, że Niemcy pozwalali jeździć Merinowi po GG, a nawet w głąb Rzeszy. Zresztą dostał od nich pozwolenie na kupno auta służbowego, które prowadził jego osobisty kierowca!

W każdym getcie żydowska administracja musiała wykonywać polecenia Niemców. Zaczęło się od dostarczania młodych ludzi na roboty, a w końcu Niemcy żądali wysyłania grup Żydów, których zabijali. Merin tak tłumaczył swoje postępowanie: „Jestem w klatce, naprzeciwko wściekłego, głodnego lwa. Podsuwam mu ludzkie mięso, mięso moich braci i sióstr… Dlaczego? Robię to, ponieważ chcę utrzymać tego lwa w jego klatce, tak żeby nie mógł wyjść i zdeptać oraz pożreć nas wszystkich […]. Niech osądzi mnie historia". Pańskim zdaniem rzeczywiście w to wierzył czy tylko cynicznie tak to przedstawiał?

Bez wątpienia był narcyzem, upajał się swoją władzą i uważał, że jak nowy Mojżesz przeprowadzi Żydów przez niemiecką okupację. Myślę, że on rzeczywiście tak to widział: dawał Niemcom to, czego od niego żądali, żeby zachować tyle, ile się da.

Wydaje się, że wiedział o Zagładzie. Do Zagłębia przyjechał Mordechaj Anielewicz, który jeszcze wtedy nie był szefem ŻOB. Merin rozmawiał z nim i wtedy już musiał wiedzieć, że Żydzi są masowo mordowani. To człowiek zagadka, ale mam wrażenie, że rzeczywiście starał się dbać o swoje „królestwo". Nie pozwalał młodym konspiratorom na prowadzenie antyniemieckiej działalności, żeby nie rozjuszyć tego niemieckiego „lwa". To jest bardzo złożona postać. Widać w nim walkę dobra ze złem.

Temu pozytywnemu wizerunkowi „króla" dał się zauroczyć Emil Zegadłowicz, znany przedwojenny pisarz, który w czasie wojny trafił do Sosnowca, gdzie się leczył. Nie przeszkadzało mu za bardzo to, że jego idol wydawał Niemcom młodych Żydów. Merin wspierał pisarza i zapewnił mu nawet warunki do życia i leczenia. Zegadłowicz był mu tak wdzięczny, że zaczął pisać sztukę o Merinie. To zainteresowanie ze strony pisarza bardzo schlebiało Merinowi, który szczycił się tym, że jego nazwisko znane jest na całym świecie.

Na pewno bardziej znany jest jego rywal – Chaim Rumkowski. Zresztą ta rywalizacja dwóch żydowskich liderów prowadzona w cieniu Zagłady to kolejny ciekawy rozdział tej historii.

Tak, kwestie ambicjonalne odgrywały tu dużą rolę. Zresztą Rumkowski i Merin się spotkali. Co ciekawe, Żydzi z Łodzi błagali, by Merin został szefem ich Judenratu, co musiało doprowadzać Rumkowskiego do wściekłości. Jednym z objawów tej rywalizacji był… węgiel. Podczas mroźnej zimy Merin zaproponował dostawy opału dla łódzkich Żydów, ale Rumkowski – z przyczyn czysto ambicjonalnych – odmówił, co musiało budzić ogromne zdziwienie.

Wieści o zaskakująco dobrych – oczywiście jak na realia okupacji – warunkach w „królestwie" Merina szybko rozchodziły się po kraju.

Efektem tego był napływ ludzi. Żydzi z GG płacili przemytnikom duże pieniądze, by dostać się do „Edenu", jak nazywali „królestwo" Merina. Getta, które mu podlegały, długo nie były terenami ściśle zamkniętymi. Przeciętny „poddany" Merina nie mógł liczyć na takie frykasy jak jego świta, ale jednak sytuacja w „Edenie" była dużo lepsza od tego, co się działo na ulicach „dzielnic żydowskich" w Warszawie, Łodzi czy w Krakowie.

Cytowany przez pana Chaim Mołczadzki z getta w Będzinie stwierdził: „Cokolwiek Merin robi, jest dobre – jest błogosławionym przez Boga przywódcą". Jak częste były takie opinie, zważywszy na fakt, że Merin współpracował przecież z Niemcami, usługując im w strasznych rzeczach?

Myślę, że takie opinie były jednak dość powszechne. Żydzi podlegli władzy Merina widzieli, że mają lepiej niż inni. A gdy w końcu w czerwcu 1943 r. Niemcy zabrali go razem z jego świtą do Auschwitz, w getcie w Sosnowcu nie brakowało dramatycznych reakcji na zniknięcie „króla". Wielu ludzi było autentycznie załamanych, że nie ma już ich przywódcy.

Jednak ta historia nie mogła się inaczej zakończyć. Nawet zawodowy szuler nie był w stanie ograć Niemców. Każdy z „królów" gett kończył tak samo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Sebastian Reńca jest historykiem, dziennikarzem i pisarzem zajmującym się okresem drugiej wojny światowej. Jego ostatnia książka to „Szuler. Opowieść o królu Mońku Merinie i jego poddanych".

eprasa.pl e248126c5c



KOMUCHOŻERCA

Harcerze Olsztyn

LESZEK ŻEBROWSKI

Przeglądając różne meldunki podziemia antykomunistycznego z okresu po 1944 r., natrafić można na bardzo ciekawe i ważne informacje, które na ogół uciekają uwadze badaczy. Zresztą jest tego tyle, że trzeba poświęcić dosłownie lata, aby to wszystko przeczesać i poddać analizom. Są tam zarówno informacje ważne, dotyczące całego kraju, jak i opisane epizody lokalne, bardzo wiele mówiące o sytuacji Polski z pierwszego okresu okupacji komunistycznej.

Mam przed sobą „Meldunek" por. Jerzego Klimaszewskiego „Chmury", „Konrada", komendanta Powiatu Grajewo Narodowego Zjednoczenia Wojskowego z 15 lipca 1946 r. Jest on skierowany do zastępcy komendanta Komendy Okręgu Białystok tej organizacji, kpt. Bolesława Kozłowskiego „Marka". To okres po tzw. referendum, którego wyniki zostały sfałszowane przez moskiewskiego specjalistę z tego zakresu, mjr./ppłk. NKWD Aarona Pałkina. W meldunku opisane są wcześniejsze przygotowania do przeprowadzenia tej komunistycznej maskarady, jak też zawarte są wnioski na przyszłość. Przede wszystkim podane są prawdziwe, a nie „oficjalne" wyniki. Mimo że znaczna część tego powiatu nie była pokryta siecią organizacji konspiracyjnych i jej propagandy, zgodnie z wytycznymi komunistów głosowało zaledwie 39,9 proc. Podane też są przykładowe informacje, że np. w jednej z komisji jeden z członków zmuszany do podpisania protokołu z wynikiem na tak aż 80 proc. podpisu nie złożył i po prostu uciekł, a obecnie się ukrywa.

Przy okazji mamy opisany nieznany incydent, w istocie będący zbrodnią komunistyczną. „Wybicia harcerzy pod Olsztynem dokonała MO. Słysząc śpiewy w lesie, podeszli bliżej, ogniska, namioty, podkradają się pod obóz i otwierają ogień, kładąc 25 zabitych, reszta ucieka. Puścili potem bajkę, że to partyzantka niemiecka, ale ludność wie kto to. Prasa nic nie pisała [o tym] w Olsztynie". Dane te mogą być niedokładne, ale biorąc pod uwagę insynuacje, że to była „partyzantka niemiecka", była to bardzo nieudolna próba mistyfikacji. W tym czasie z pewnością nie było tam (i nie tylko tam) żadnej takiej partyzantki, brak jest bowiem jakichkolwiek śladów jej istnienia.

Gdyby natychmiast po 1989 r. podjęte były uczciwe i solidne badania terenowe nad takimi sprawami, bylibyśmy o wiele bliżsi uzyskania prawdziwej skali represji i terroru wobec Polaków w tamtym okresie. Ale kto to miał robić? Pierwszy „niekomunistyczny" rząd z pierwszym wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych Czesławem Kiszczakiem? Pierwszy „prezydent" Wojciech Jaruzelski? To był dalszy ciąg PRL! I „naukawcy" jakże często jeszcze z epoki stalinowskiej. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tragedia pod Mątwami

SŁAWOMIR KOPER

Rokosz Jerzego Lubomirskiego był jedną z najdziwniejszych kampanii wojennych na ziemiach Rzeczypospolitej. Początkowo rebelia stała pod znakiem pogoni wojsk królewskich za buntownikami. Nie potrafiono jednak zmusić byłego hetmana do decydującej bitwy i ten wymykał się lojalistom.

„To nie wojna była – zauważał kronikarz Jan Chryzostom Pasek – ale właśnie goniony taniec, bo myśmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili, nie goniąc, a oni też przed nami uciekali, nie uciekając".

Lubomirski nie miał równorzędnego przeciwnika. Hetman wielki Stanisław Rewera Potocki liczył już ponad 70 lat i nie służyły mu zdrowie ani umysł. Król Jan Kazimierz uchodzący za niezłego stratega zdążył już zatracić swoje umiejętności, a gwiazda militarna Jana Sobieskiego jeszcze nie rozbłysła.

Dzieje rokoszu rozstrzygnęły się 13 lipca 1666 r. pod Mątwami nad Notecią. Doszło tam do niezwykle krwawego starcia, a zajadłość przeciwników przeraża nawet po wiekach. „Najwięcej zginęło ludzi – relacjonował Sobieski – że skoro na błota uszli, to wywoływali ich, dając im quartier [łaskę] i parol, a potem, zawiódłszy za górę, nie ścinali, ale rąbali na sztuki. Nie tylko Tatarzy, Kozacy nie uczynili takiego tyrańskiwa, ale we wszystkich historiach o takim od najgrubszych narodów nikt nie słyszał okrucieństwie. Jednego nie znajdują ciała, żeby z 40 nie mieć na sobie razów [ran], bo i po śmierci się nad nimi pastwili".

Sobieskiemu dopisywało szczęście, gdyż niewiele brakowało, by też zginął podczas panicznego odwrotu. Zawdzięczał to osobistej sprawności, a brnąc przez wodę i mokradła, „zgubił szablę od boku, misiurkę z głowy, łuk z sajdaku", ale przeżył.

Odpowiedzialność za klęskę spadała głównie na jego barki. To właśnie on namówił króla, by w biały dzień stopniowo przeprawiać się przez Noteć, dzięki czemu rebelianci kolejno rozbili oddziały lojalistów. Po stronie Jana Kazimierza zginęło prawie 4 tys. ludzi, natomiast u Lubomirskiego poległo ok. 200 podkomendnych.

Rzeź pod Mątwami przeraziła nawet zwycięzcę i Lubomirski uznał, że musi dojść do porozumienia z królem. Naciskali na niego również jego zwolennicy – dla szlachty ważniejsze od rokoszu były zbliżające się żniwa. Po stronie królewskiej też nie było chęci do dalszej walki, gdyż skończyły się dotacje francuskie dla polskiego dworu i brakowało środków na żołd.

Ostatecznie Lubomirski ukorzył się przed królem, a władca zrezygnował ze swoich planów reformy ustroju Rzeczypospolitej. Wodzowi rokoszu proponowano nawet powrót do życia publicznego, ale były hetman wyjechał do Wrocławia i tam niespodziewanie zmarł. ©℗

eprasa.pl e248126c5c

OSOBLIWY WYŚCIG

Czy można zjeść prawie 23-centymetrowe ciasto limonkowe z bitą śmietaną w niecałą minutę bez użycia rąk? Okazuje się, że tak. Udało się to 62-letniemu mieszkańcowi Florydy, który wygrał odbywający się corocznie w amerykańskie Święto Niepodległości osobliwy wyścig. W zawodach wolno było używać maski nurkowej lub gogli. Nie było też obowiązku spożywania bitej śmietany. Dlatego przyszły zwycięzca szybko jej się pozbył i dzięki temu skoncentrował się wyłącznie na jedzeniu placka.



FOT. KEYLIMEFESTIVAL/INSTAGRAM

SPRINTEM DO LEŻAKA

W hiszpańskim kurorcie Salou występuje zjawisko „chair hogging" („zajmowania leżaków"). W ośrodku wypoczynkowym basen jest otwierany o godz. 9, ale klienci ustawiają się w kolejce nawet godzinę wcześniej, więc sobie za długo nie pośpią. Gdy tylko można wejść na teren obiektu, dziesiątki osób biegną sprintem, by zająć najlepsze miejsca ręcznikami i torbami. W trakcie zdobywania leżaków dochodzi też do przepychanek.

KŁÓTNIA NA LEWICY

Lewica w Niemczech jest podzielona, o czym świadczy incydent, do którego doszło w Berlinie. Osią podziału jest stosunek do konfliktu bliskowschodniego. I tak dwie grupy, jedna – proizraelska, druga – propalestyńska, pokłóciły się o możliwość korzystania z pomieszczeń w ośrodku młodzieżowym Hellersdorf. W ruch poszły kije baseballowe, deski i gaśnice. Policja aresztowała 29 osób.

DOKERZY I AI

Australijscy dokerzy, zrzeszeni w Maritime Union of Australia (MUA), żądają skrócenia tygodnia pracy do 28 godzin przy zachowaniu dotychczasowego wynagrodzenia w związku z szybkim rozwojem sztucznej inteligencji i automatyzacji w portach. Według nich zagrożonych jest ponad 1 tys. etatów, co stanowi ponad 60 proc. załogi doków. DP World – firma wdrażająca nowe technologie – planuje „zatrudnić" zdalnie sterowane żurawie i pojazdy bez kierowców.

WYCIECZKA NA DACHU

Vaporetto to słynny środek komunikacji po kanałach Wenecji. Na dach takiego tramwaju wodnego wszedł 18-letni turysta. Pozując, prosił osobę towarzyszącą mu w podróży, żeby go filmować. Według włoskich mediów naoczni świadkowie wezwali policję, po czym młodzian zniknął. Jednak później wrócił na łódź i powtórzył wyczyn. Tym razem jednak dostał się w ręce stróżów prawa. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trzecia wojna światowa?

Żyjemy w ciekawych czasach. Niestety. Politycy, generałowie i analitycy coraz głośniej i coraz częściej zapowiadają, że najbliższe lata, miesiące, a nawet tygodnie będą przełomowe dla nowego porządku światowego. Nie brakuje nawet takich, którzy twierdzą, że trzecia wojna światowa już trwa. Tym razem bez jasnej linii frontu czy daty wybuchu, ale wielowymiarowa i narastająca w kolejnych miejscach.

Prezydent USA Donald Trump osiągnął w tym kontekście ważny sukces: zmusił europejskich sojuszników do zwiększenia wydatków na zbrojenia. W 2026 r. już pięć państw członkowskich NATO osiągnie wyznaczony przez NATO cel w postaci przeznaczenia 3,5 proc. PKB na podstawowe wydatki obronne. Przed pierwszą kadencją nieobliczalnego Trumpa wielu sojuszników miało problem ze spełnieniem celu w wysokości 2 proc. Obecnie stosunkowo najwięcej wydają na obronność Litwini (5,33 proc.), Estończycy (5,1 proc.), Łotysze (4,92 proc.), Polacy (4,68 proc.) oraz Grecy (3,65 proc.). W USA udział wydatków na obronność w PKB ma wynieść w tym roku 3,17 proc.

Dobrze, że nasi politycy wyciągnęli wnioski z historii i łacińskich mądrości (Si vis pacem, para bellum). Szkoda, że rządy do wojny szykują się tak, jakby wygrywać ją miały kraje, które uzbrojenie kupują jak najdrożej. Wciąż brakuje jasnej strategii rozwoju polskiego przemysłu obronnego, budowy zaplecza kadrowego, bliższej współpracy wojska ze światem nauki etc. Rząd nie potrafi nawet zbudować takich dróg jak S10 czy S11. Marną pociechą jest to, że strategii brakuje – na co niedawno uwagę zwrócili analitycy Carnegie Europe – również Brukseli.

eprasa.pl e248126c5c

Jak Izrael sieje chaos



Witold Repetowicz

Izrael przez lata narzucał zachodniej opinii publicznej określoną wizję rzeczywistości, która była przyjmowana w sposób bezkrytyczny. Wielu komentatorów i ekspertów bezrefleksyjnie opierało się na „danych" podawanych przez źródła izraelskie. Tymczasem żydowskie państwo prowadzi wyrafinowaną operację kognitywną wymierzoną nie tylko w swoich przeciwników, lecz także w Zachód, w tym w szczególności w Europę i USA

Wojna kognitywna ani nie jest wymysłem grupy ekspertów walczących rzekomo w ten sposób z wolnością słowa, ani też nie jest czymś nowym czy nadzwyczajnym. We współczesnym świecie pewne praktyki zostały jedynie nazwane i doczekały się zoperacjonalizowania w ramach doktryn wojskowych. Rozwój środków komunikacji, w tym przede wszystkim mediów społecznościowych, sprzyja rozwijaniu operacji tego typu, więc stały się one normą współczesnych konfliktów. Od dezinformacji oddziaływanie kognitywne różni się tym, że nie deformuje ono sfery wiedzy odbiorcy, lecz kształtuje jego świadomość. Izrael nie jest tu zatem wyjątkiem, niemniej do niedawna wykazywał się niezwykłą wręcz skutecznością.

Wojna z Iranem jest doskonałym przykładem tego, jak Izrael manipulował (a do pewnego stopnia nadal manipuluje) świadomością. Liczni eksperci (czy też osoby, które za takowych chcą być uważane) rzucali się na wrzutki izraelskich służb na temat sytuacji w Iranie jak wygłodniały pies na kawał zepsutego mięsa.

Osobom pretendujących do miana specjalistów w zakresie konfliktów zbrojnych do głowy nie przychodziło, że Izrael, a zwłaszcza jego służby, mogą mieć cel w „ujawnianiu" określonych rewelacji i niekoniecznie jest nim przedstawianie rzeczywistości. Bardziej jej kreowanie.

ZASIAĆ CHAOS

Izrael prowadzi przy tym swoje operacje informacyjne i kognitywne na dwóch kierunkach. W sposób naturalny jednym z nich jest wróg, u którego trzeba podważyć morale i zasiać chaos. To oczywisty cel każdej strony w każdej wojnie. Mniej oczywiste są te, które są adresowane do Europejczyków i Amerykanów. Ich celem jest stworzenie określonej percepcji rzeczywistości bliskowschodniej, a w szczególności Iranu i trwającego z nim konfliktu. To zaś ma służyć legitymizacji działań izraelskich oraz budowie poparcia dla nich na Zachodzie. Ostatecznie natomiast chodzi o wciągnięcie Zachodu w ten konflikt.

W ten sposób nieświadomie w percepcji zachodniej opinii publicznej zagnieździły się „oczywistości", które nawet w przypadku narastania krytycznego stosunku do działań izraelskich nie znikają tak łatwo. Jedną z takich „oczywistości" jest to, że rzekomo Iran dąży do uzyskania bomby atomowej, a następnie ma zamiar zniszczenia Izraela. Logiczna implikacja jest jasna: Iran chce dokonać zagłady Izraela za pomocą broni nuklearnej, więc ten ma prawo się bronić przed „drugim Holokaustem". Debata międzynarodowa koncentruje się raczej na tym, czy Iran był blisko osiągnięcia tego celu. Tyle

eprasa.pl e248126c5c



Na różne medialne doniesienia dotyczące Iranu czy Turcji nie ma żadnych dowodów poza twierdzeniami premiera Netanjahu i spółki FOT. RONEN ZVULUN/REUTERS/FORUM

że to bzdura. Cała ta percepcja to efekt wieloletniego nawijania przez izraelskie służby makaronu na uszy zachodniej opinii publicznej. Rzekome przecieki z Iranu na temat postępów programu nuklearnego oraz sugestie, że deklaracje Iranu w tym zakresie są całkowicie niewiarygodne, bo to przecież reżim (no a izraelskie służby to wszak obiektywne źródło informacji) – to zrobiło swoje i niewielu zastanawia się, jakie są właściwie obiektywne podstawy tego przekonania. Ci, którzy ośmielili się to zakwestionować, byli od razu stygmatyzowani jako naiwni (co dyskredytuje eksperta) lub wręcz na usługach irańskiego reżimu.

Iran malowany był w tym obrazie jako kraj rządzony przez szalonych i zacofanych fanatyków, którzy nie myślą racjonalnie. Budowanie takiej percepcji było konieczne, bo inaczej cała misterna konstrukcja, że Iran planuje nuklearną zagładę Izraela, runęłaby niczym domek z kart. Przecież oczywiste jest, że Iran nie wygrałby wojny nuklearnej, mając kilka czy kilkanaście bomb. Odwet nuklearny wobec Iranu byłby nieunikniony, a następnie międzynarodowa koalicja obaliłaby Islamską Republikę. Zatem nikt racjonalnie myślący nie mógłby podjąć takiej decyzji, bo byłaby samobójstwem. Z przywództwa irańskiego zrobiono więc przygłupich szaleńców, choć w rzeczywistości roi się tam od osób mających doktoraty uzyskane na zachodnich uczelniach. Edykt Najwyższego Przywódcy mówiący, że użycie broni nuklearnej jest niezgodne z islamem, był zaś dyskredytowany jako rzekome kłamstwo w imię dżihadu. Dowody? A po co?

NARRACJE O WIECZNEJ OBRONIE

Schemat tej operacji kognitywnej był jasny: nie ma lepszej służby na świecie niż Mosad, więc on dociera do tajnych informacji o wrogich i zagrażających całemu światu (według tej percepcji) reżimach, takich jak Iran, i je objawia światu. Po co miałby kłamać? Co innego przeciwnicy Izraela w regionie, w szczególności Iran – oni zawsze kłamią. Przy czym już samo stworzenie wizerunku Mosadu jako tak profesjonalnej służby było operacją kognitywną i opierało się na wpływach izraelskich w mediach światowych oraz branży filmowej. Inteligentna propaganda nie przedstawiała świata izraelskich służb w przesłodzony sposób, bo byłoby to niewiarygodne, ale filmy takie jak „Szpieg" (o Elim Cohenie) czy serial Fauda (i wiele, wiele innych) wykreowały taką, a nie inną percepcję. Podobnie jest z licznymi mediami i kontami w mediach społecznościowych, które w gąszczu rzetelnych, często bardzo interesujących informacji i analiz przemycają wrzutki kreujące wyobrażenie o rzeczywistości.

Taki proceder spowodował, że przez długi czas Izrael unikał niewygodnych pytań związanych z, delikatnie mówiąc, kontrowersyjnymi działaniami przez siebie podejmowanymi. Na przykład zabójstwa naukowców irańskich zaangażowanych w program nuklearny (nawiasem mówiąc, skąd w zacofanym kraju fanatyków jacyś naukowcy?) były przedmiotem zachwytów wielu komentatorów jako dowód skuteczności Mosadu. Oczywiście gdyby Iran zabijał jakichś naukowców w Izraelu, to byłby to terroryzm, ale jak jest odwrotnie, to Izrael tylko się broni.

Narracje o tej wiecznej obronie Izraela dopiero niedawno przestały być tak skuteczne, ale są też inne. Znaczna część zachodnioeuropejskiej prawicy kupiła narrację o wspólnym wrogu Izraela i chrześcijańskiej Europy: islamie. Zamieszki muzułmańskie we Francji czy innych państwach zachodniej Europy są nagłaśniane przez konta powiązane z hasbarą (izraelskim aparatem propagandowym) z równą intensywnością, jak robi to Rosja. O ile jednak w przypadku propagandy rosyjskiej chodzi o szerzenie tezy o upadku Europy, o tyle celem Izraela jest wytworzenie przekonania, że Izrael walcząc z muzułmańskim zagrożeniem, broni Europy. Nie trzeba go zatem kochać, ale trzeba wspierać jego walkę, bo to jest w naszym interesie. Brzmi logicznie, ale jest to bzdura, bo działania Izraela prowadzą do stymulacji migracji muzułmanów do Europy i radykalizacji tych, którzy w Europie już są. Ale oddziaływanie na świadomość opiera się na prostych schematach – oni biją muzułmanów, muzułmanie robią nam problemy, więc Tel Awiw – Paryż, Berlin czy Londyn, wspólna sprawa. Nieważne, że izraelscy żołnierze w ramach bicia muzułmanów demolują palestyńskie czy libańskie kościoły.

Powyższy schemat wykorzystuje zasadę, że jeśli coś wpisuje się w nasz światopogląd, to przyjmujemy to bezrefleksyjnie, nawet jeśli zasadniczo nie mamy zaufania do źródła. Tak samo zadziałało to w styczniu 2026 r., gdy Izrael i powiązane z hasbarą konta w mediach społecznościowych narzuciły narracje dotyczące protestów w Iranie. Żeby była jasność, Iran jest represyjnym reżimem bezwzględnie rozprawiającym się ze swoimi wrogami. Manipulacją było jednak narzucenie percepcji, że cały irański naród popiera Rezę Pahlawiego, syna ostatniego szacha, i jeśli tylko otrzyma broń, to wywoła rewolucję, obali Islamską Republikę, a demokratyczny Iran stanie się sojusznikiem USA, Izraela i Europy. Oczywiście Izrael kreował się w tym obrazku na rzecznika ludu irańskiego ciemiężonego przez ajatollahów.

Kilka miesięcy przed atakiem amerykańsko-izraelskim na Iran pewien człowiek opowiedział mi o spotkaniu

eprasa.pl e248126c5c

z grupą irańskich filmowców, którzy nie odnieśli się z entuzjazmem i uznaniem do nalotów izraelskich na Iran w czasie wojny dwunastodniowej. Mój rozmówca twierdził, że Iran bombardując otoczone złą sławą teherańskie więzienie Evin, chciał w ten sposób otworzyć jego wrota, by więźniowie polityczni mogli uciec. W jego wyobraźni miało to zapoczątkować rewolucję, a więc Irańczycy powinni być wdzięczni Izraelowi za pomoc. Oczywiście żadnej rewolucji by nie było, a uciekinierzy zawiśliby na szubienicach. I o to zresztą chodziło Izraelowi. Tylko czy to jest powód do wdzięczności?

Ale Izrael stawiał nie tylko na Pahlawiego. Kreował również obraz Iranu jako ciemiężącego mniejszości narodowe, w szczególności Kurdów. Na początku wojny fantastyczna wizja kurdyjskich oddziałów ruszających na Teheran znów rozpaliła wyobraźnię wielu komentatorów, choć była totalną bzdurą. Później Izrael wymyślił, że to Turcja zablokowała ten plan, choć znów nie ma na to żadnych dowodów poza twierdzeniami Netanjahu i spółki. Cel był przy tym jasny. Izrael w ten sposób wpłynął na świadomość decydentów amerykańskich z Trumpem na czele, wciskając im kit, że wystarczy uderzyć na Iran, a Islamska Republika rozleci się w trymiga. Izrael nigdy nie wierzył przy tym w jakiś demokratyczny i przyjazny sobie Iran, lecz chciał doprowadzić tam do jak największego chaosu, cynicznie wykorzystując protesty. Próbował przekonać przy tym Kurdów, że jest ich największym przyjacielem po to tylko, żeby rzucić ich wrogowi na pożarcie. Oczywiste jest, że nie mieli oni żadnych szans, by pokonać siły irańskie. Ale krwawa jatka potrzebna jest Izraelowi, by przekonać zachodnią opinię publiczną, że z tym reżimem rozmawiać nie można.

Stąd też inne wrzutki Izraela, zwłaszcza te o „uzbrajaniu narodu irańskiego". Paradoksem jest to, że media izraelskie same ogłosiły, iż Izrael przekazywał broń protestującym, a harcownicy hasbary, tacy jak choćby Mark Levin, niestrudzenie wzywają do udzielenia zbrojnej „pomocy" w organizacji rewolucji. Manipulacja polega tu nie tylko na kreowaniu percepcji, że w Iranie są nastroje rewolucyjne (co do niedawna było na Zachodzie powszechnie przyjmowane jako oczywistość), lecz także na tym, że „uzbrojenie" oznacza „pomoc". Weźmy jeszcze jedną kwestię – skuteczność operacji wywiadowczych Izraela w Iranie. Oznacza to wszak, że niewątpliwie są Irańczycy, którzy po prostu zdradzili swój kraj, pracując jako szpiedzy dla wroga. Ale gdy Iran sądzi kogoś za szpiegostwo, to w narracjach narzucanych przez Izrael to są więźniowie polityczni i niewinne ofiary krwawego reżimu. Strategia kognitywna Izraela opiera się zatem właśnie na tym, że potrzebuje on jak najkrwawszych represji i dlatego tworzy podstawy dla nich, aby następnie lać krokodyle łzy jako rzekomy obrońca Irańczyków przed reżimem ajatollahów i piętnować negocjacje z „krwawym reżimem".

Skuteczną kreacją rzeczywistości w powszechnej świadomości Zachodu było też stworzenie kontrastu między „represyjnym" i „fanatycznym" Iranem oraz „otwartymi" i „tolerancyjnymi" krajami arabskimi w regionie. Aby osiągnąć ten cel, raporty wielu organizacji wskazywały np. Iran jako kraj systemowo prześladujący mniejszości religijne, zwłaszcza chrześcijan, ale również sunnitów, i pod tym względem znajdujący się w ścisłej czołówce krajów prowadzących największe prześladowania religijne. Oczywiście były to bzdury, a twórcy tych raportów przeważnie mają związki z hasbarą, w tym w szczególności z fanatykami tzw. chrześcijańskich syjonistów, wierzących w Wielki Izrael od Nilu po Eufrat. Znów wykorzystywano jednak prosty schemat „fanatycy muzułmańscy", a więc „prześladowanie chrześcijan". To, że sojusznicza wobec USA Arabia Saudyjska jeszcze niedawno karała nawet za posiadanie Biblii, było pomijane w tych samych raportach.

IMMUNITET OD KRYTYKI

Można zresztą zauważyć pewną prawidłowość – jeśli jakiś kraj muzułmański krytykuje Izrael, to natychmiast pojawia się w wielu raportach w kontekście prześladowań religijnych i podchwytywane jest to w mediach społecznościowych przez hasbarę i nieświadomych manipulacji komentatorów. Jeśli zaś kraj rzeczywiście prześladujący inne religie dogaduje się z Izraelem, to choćby był bardzo represyjną dyktaturą, to kreowany jest jego pozytywny wizerunek. Według jednej z bardziej wiarygodnych instytucji zajmujących się monitoringiem wolności na świecie, tj. Freedom House, Iran w 2025 r. nie był bynajmniej najbardziej represyjnym reżimem w regionie. Bardziej negatywnie oceniane były np. Azerbejdżan oraz Arabia Saudyjska, a porównywalnie Syria i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Ale Emiraty zdobyły immunitet od krytyki potężnego aparatu hasbary, gdyż znormalizowały swoje relacje z Izraelem, a Azerbejdżan prowadzi bliską współpracę z Izraelem w zakresie bezpieczeństwa. Nikt więc nie myśli o „uzbrajaniu" tamtejszej ludności, by walczyła z reżimem. Ba, nie ma tam żadnych reżimów, są otwarci, cywilizowani i racjonalni przywódcy, nie to, co sponsorujące terroryzm dzikusy z Iranu. Kiedy na Zachodzie Irańczycy coś wysadzili? To znów nie jest istotne. Liczy się percepcja, a nie fakty.

Jeśli jakiś kraj muzułmański krytykuje Izrael, to szybko pojawia się w wielu raportach w kontekście prześladowań religijnych

W kontekście wrzutek izraelskich warto też wspomnieć o nieustannych doniesieniach o „podziałach na szczytach władzy" w Iranie, „chaotycznej reakcji na atak", sugestii, że nowy Najwyższy Przywódca nie żyje, a instytucje państwowe straciły kontrolę nad krajem. To, że Izrael dezinformował o rzekomej zdradzie szefa sił Quds, gen. Ismaila Ghaniego, który kilkanaście razy był wieszany, a potem uciekał do Izraela, by pić piwo z kolegami z Mosadu, albo wrzucał równie bzdurne rewelacje o rzekomym odsunięciu przez irańską Gwardię Rewolucyjną szefa irańskiej dyplomacji Abbasa Araghczi-ego i spikera parlamentu Mohammada Ghalibafa, to jest naturalne działanie w ramach wojny informacyjnej. Ale to, że na te „rewelacje" wciąż łapią się liczni komentatorzy, to już jest fenomen, który wytłumaczyć można tylko efektywnym modyfikowaniem świadomości w ramach wojny kognitywnej. Zwłaszcza gdy pojawia się kuriozalne wręcz stwierdzenie, że tego typu rewelacje „potwierdziły źródła/media izraelskie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c

Nowa elita Rosji



Maciej Pieczyński

Walczyli z Ukrainą, teraz wejdą do polityki. Kilkudziesięciu weteranów „specjalnej operacji wojskowej" zamierza kandydować w wyborach do Dumy. Na froncie hartuje się stal kremlowskiej elity. Zarówno nowej, jak i starej

O rosyjskich żołnierzach powracających z wojny z Ukrainą mówi się zazwyczaj w kontekście PTSD czy popełnianych przez nich przestępstw. Ale to tylko jedna strona medalu. Moskwa traktuje weteranów „specoperacji" jako bohaterów. Nadaje im liczne przywileje. Próbuje też na ich bazie wykreować nową elitę kraju. Lojalną wobec Władimira Putina, podzielającą wrogi stosunek do Ukrainy i Zachodu.

Okazją do ugruntowania pozycji weteranów w rosyjskim systemie władzy będą wrześniowe wybory do Dumy Państwowej. Prezydencka partia Jedna Rosja oficjalnie ogłosiła, że z jej list wystartuje 76 uczestników „specjalnej operacji wojskowej". Nie wszyscy przyszli kandydaci mogą się pochwalić doświadczeniem frontowym. Jak donosi opozycyjny portal rosyjski Agientstwo, spośród 76 planujących karierę polityczną weteranów przynajmniej 26 osób to przedstawiciele władzy. Na front pojechali po to, by awansować. Niemniej przynajmniej część z nich walczy tak jak inni, bez przywilejów. W tym gronie jest siedmiu aktualnych deputowanych do Dumy Państwowej, jeden gubernator obwodu, dwóch regionalnych deputowanych, jeden przewodniczący regionalnego parlamentu, regionalny urzędnik, prorządowy działacz społeczny oraz polityk z tzw. Donieckiej Republiki Ludowej.

Deputowany do Dumy Państwowej Dmitrij Sablin był pułkownikiem rezerwy. Po rozpoczęciu inwazji założył pododdział zwiadu lotniczego „Kaskad" w ramach formacji BARS, rekrutującej się spośród rezerwistów. W „Kaskadzie" służyło także wielu innych polityków i urzędników rosyjskich. W szeregi pododdziału trafił również syn Sablina, wzięty w kamasze w ramach częściowej mobilizacji. Inny parlamentarzysta z Dumy, Witalij Miłonow, służył jako celowniczy artylerii. Ponoć był lekko ranny na froncie, ale – jak sam twierdzi – nie rozpowszechniał tej informacji, żeby nie dawać wrogowi paliwa w wojnie informacyjnej. Na froncie zginął jego brat.

PREZYDENCKA KUŹNIA ELIT

O tym, że udział w „SWO" pomaga w karierze, przekonał się Jewgienij Pierwyszow. Będąc szeregowym deputowanym do Dumy, w październiku 2022 r. poszedł do armii na ochotnika. Na pierwszej linii spędził ok. pół roku. Służył w „Kaskadzie", pod dowództwem Sablina. Po powrocie do cywila wziął udział w szkoleniu organizowanym w ramach programu „Czas bohaterów" („Wriemia gierojew"). Projekt ten wystartował 1 marca 2024 r. Jego celem jest przygotowanie uczestników wojny z Ukrainą do pełnienia kierowniczych stanowisk w państwie – w regionalnych i federalnych organach władzy, a także w państwowych firmach. Szkolenia prowadzą urzędnicy Administracji Prezydenta, członkowie rządu, gubernatorzy oraz dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych. Uczestnicy programu odbywają staże w urzędach i regionalnej administracji, pozostając pod kontrolą prowadzącego szkolenie. Żeby wziąć udział w projekcie „Czas bohaterów", trzeba spełnić następujące warunki: obywatelstwo rosyjskie, doświadczenie na froncie „specoperacji", wykształcenie wyższe, niekaralność oraz „potencjał do pracy w administracji i na kierowniczych stanowiskach", który oceniany jest za pomocą testów komputerowych.

Jewgienij Pierwyszow był jednym z pierwszych beneficjentów tego programu. To właśnie podczas szkolenia miał zostać zauważony przez samego Putina. W listopadzie 2024 r. Pierwyszow został mianowanym p.o. gubernatorem obwodu tambowskiego. Prawie rok później wygrał wybory, stając się już pełnoprawnym szefem regionu.

Generalnie na listach Jednej Rosji znalazło się 400 osób. Oprócz tego partia popiera dodatkowo 225 kandydatów w jednomandatowych okręgach wyborczych. Najwyżej postawionym mundurowym, który powalczy o miejsce w ławach izby niższej parlamentu, jest generał pułkownik Aleksandr Łapin. Trudno nazwać go bohaterem obecnej wojny. Wręcz przeciwnie. Ramzan Kadyrow i Jewgienij Prigożyn publicznie obarczali Łapina winą za klęski armii na froncie. Źródła w rosyjskich służbach specjalnych przypisywały mu odpowiedzialność za wyłom w rosyjskiej obronie podczas inwazji Ukraińców na obwód kurski w 2024 r. To wszystko jednak nie przeszkodziło generałowi w uzyskaniu drugiego miejsca na liście wyborczej w Tatarstanie.

Wśród kandydatów znaleźć można również żołnierzy, których Kijów oskarża o zbrodnie wojenne. Jednym z nich jest Nursułtan Mussagalejew. Według SBU brał udział w torturach i zabójstwach mieszkańców Buczy i okolic. Były dowódca kompanii czołgów Enwer Nabijew i były

eprasa.pl e248126c5c

dowódca batalionu piechoty morskiej Siergiej Kuzminczuk – obaj walczyli w szeregach pododdziałów, które prawdopodobnie odpowiadają za zbrodnie wojenne.

Wśród kandydatów z pagonami znalazły się również cztery kobiety – sanitariuszki Ludmiła Boliłaja i Jelena Graczowa, instruktor sanitarny Aleksandra Rodionowa i chirurg wojskowy Daria Swietiasz.

Najwięcej, bo sześciu, weteranów będzie startować w ukraińskich regionach anektowanych we wrześniu 2022 r. Czterech zgłosiło swoje kandydatury na Dalekim Wschodzie, po trzy osoby – w Moskwie, na Krymie i w Sewastopolu, oraz w Czeczenii. Na liście federalnej (ogólnokrajowej, niezależnej od podziałów regionalnych) Jednej Rosji znalazł się tylko jeden uczestnik „specoperacji". Jest nim szef głównego sztabu Junarmii Władisław Gołowin. Start w wyborach nie będzie jednak dla niego początkiem kariery politycznej. W strukturach władzy funkcjonuje od 2024 r. Jedną z lokomotyw wyborczych prezydenckiego ugrupowania będzie popularny wojenkor (czyli korespondent wojenny) mediów kremlowskich Jewgienij Poddubnyj. On, co prawda, walczył na froncie piórem, nie zaś karabinem, jednak był ranny, więc również jest uznawany za „bohatera specoperacji".

Kreml konsekwentnie stawia na weteranów jako nową elitę Rosji. Wprost mówi o tym sam Władimir Putin. „Nasi żołnierze, w tym ci bardzo młodzi, którzy wykazali się na polu bitwy, to ludzie odważni i perspektywiczni. Na pierwszym miejscu stawiają służbę ojczyźnie i jej interesowi. Takie zalety, takie wartości potrzebne są wszędzie – zarówno w służbie wojskowej, jak i w służbie cywilnej" – mówił prezydent Rosji już w grudniu 2024 r., wręczając odznaczenia zasłużonym uczestnikom wojny. Już w tamtym momencie prężnie działał projekt „Czas bohaterów". Wśród uczestników jego pierwszej edycji znalazło się ponad 60 kawalerów Orderu Męstwa i 21 nagrodzonych tytułem Bohatera Rosji. „Jak najbardziej również w przyszłości będziemy się opierać na takich ludziach. To właśnie oni są prawdziwą, a nie podrabianą, elitą i dumą kraju" – mówił Putin. I w tym wypadku widać, że nie rzuca słów na wiatr.

Wybory do Dumy Państwowej to tylko jeden z wielu tego przykładów. Opozycyjny portal Meduza odnalazł ponad tysiąc uczestników wojny na Ukrainie, którzy już otrzymali stanowiska w systemie władzy. Wyniki dziennikarskiego śledztwa opublikował pod koniec czerwca. Z ustaleń Meduzy wynika, że weteranów w strukturach władzy jest coraz więcej. W 2023 r. było ich 45, w 2024 – co najmniej 201, a w 2025 – już nie mniej niż 754. Jednak z drugiej strony jako realną trampolinę do kariery udział w wojnie wykorzystali przede wszystkim ci, którzy już wcześniej funkcjonowali na niższych szczeblach państwowego aparatu. Meduza, opierając się na otwartych źródłach, w czerwcu 2026 r. zebrała bazę danych złożoną z 1305 uczestników wojny, którzy po powrocie ze „specoperacji" albo wygrali lokalne lub regionalne wybory, albo otrzymali nominacje na stanowiska w strukturach władzy lub w organizacjach społecznych ze znaczącym udziałem państwa. Łącznie zajęli oni 1311 stanowisk (niektórzy zmieniali stanowiska po powrocie z frontu). A to i tak ostrożne szacunki. Nie o wszystkich weteranach robiących karierę w administracji można dowiedzieć się z ogólnodostępnych źródeł. Jak twierdzi stojący na czele Jednej Rosji Dmitrij Miedwiediew, radnymi w samorządach zostało ok. 1,5 tys. byłych żołnierzy, mających za sobą frontowe doświadczenie na Ukrainie. Meduzie udało się znaleźć nazwiska 432 takich radnych.

WOJNA OPŁACA SIĘ WYBRANYM

Jeśli chodzi o liczbę weteranów zajmujących stanowiska w administracji, to liderują w obwodzie moskiewskim (76), Baszkortostanie (41), Tatarstanie (37) oraz na Krymie i w Sewastopolu (30). Jeżeli natomiast wziąć pod uwagę nie tylko nowe nominacje, lecz także wypadki, kiedy deputowani, już pełniący swoje funkcje, szli na wojnę, a potem wracali na te same stanowiska, statystyka wygląda nieco inaczej. Na czele pozostaje obwód moskiewski (81 osób), jednak drugie miejsce zajmuje przyfrontowy obwód biełgorodzki (54). Ma to związek z działalnością ochotniczego pododdziału BARS-Biełgorod. Służyło w nim wielu regionalnych urzędników. Jeden z nich – deputowany do Dumy Obwodowej Siergiej Popow – w czasie gdy powinien teoretycznie walczyć, dobrze się bawił na zagranicznych wakacjach. Wybuchła afera, więc Popow złożył mandat.

Ogromna skala udziału urzędników i polityków w wojnie na pierwszy rzut oka potwierdza oficjalną narrację Kremla o tym, że „specoperacja" jest atrakcyjną ścieżką kariery politycznej. Jednak spośród ustalonych przez Meduzę 1305 osób, które po powrocie z frontu otrzymały stanowiska bądź mandaty deputowanych, 447 miało już za sobą doświadczenie pracy w administracji. Dodatkowo 245 wróciło z frontu na swoje poprzednie stanowiska. 303 natomiast miało wcześniej doświadczenie wojskowe. 98 pracowało w organach siłowych. Te kategorie często się ze sobą łączą. Wielu miało na koncie zarówno służbę w wojsku, jak i pracę w tym czy innym urzędzie. Reasumując, według Meduzy, co najmniej 848 spośród 1305 weteranów robiących karierę, miało przed wojną do czynienia z tą czy inną formą pracy dla państwa.

Zatem „SWO" stała się trampoliną do kariery głównie dla tych, którzy już ją zaczynali robić. Zwykłych żołnierzy jest sporo, ale w ogólnym rachunku stanowią mniejszość. Nie jest tak, że każdy „bohater" ma przed sobą rozścielony czerwony dywan i autostradę do władzy. Przyznają to zresztą przedstawiciele Kremla. Siergiej Nowikow, odpowiadający za prezydenckie projekty społeczne, pod koniec 2025 r. oceniał, że dziesiątki tysięcy weteranów nie mają pracy. Początkowo media tę jego wypowiedź zacytowały, podając liczbę 250 tys. Jednak po interwencji Nowikowa ten przekaz ocenzurowano. Uczestnicy inwazji na Ukrainę czasem nawet otwarcie żalą się na brak zajęcia po powrocie do cywila. Pretensje adresowane są do Putina, ale zgodnie z formułą „dobry car – źli bojarzy". Czyli: weterani publicznie apelują do prezydenta, aby rozwiązał ich problem. Uskarżają się na brak środków do życia, utyskują na to, że pracę dostają jedynie ludzie powiązani z lokalną władzą, a zwykły, szary „bohater SWO" nie ma szans tego szklanego sufitu przebić.

Często więc nie wystarczy przejść szlaku bojowego. Trzeba jeszcze być częścią systemu. A w jaki sposób taki „nomenklaturowy weteran" otrzymuje intratne stanowiska? Jest kilka dróg. Pierwsza to wspomniany już program „Czas bohaterów" i podobnego rodzaju regionalne projekty. W ten sposób pracę znalazło 446 osób ujętych w bazie Meduzy. Druga droga to udział w wyborach samorządowych.

eprasa.pl e248126c5c



Władimir Putin odznacza deputowanego do Dumy Państwowej Dmitrija Sablina FOT. KREMLIN.RU



Jewgienij Pierwyszow, deputowany do Dumy, w październiku 2022 r. poszedł do armii na ochotnika FOT. KREMLIN.RU

Trzecia – kontynuacja już wcześniej zaczętej kariery. Beneficjentami całego procesu bywają też obywatele „państw przyjaznych" Rosji. Alias Awidzba, abchaski urzędnik, poszedł na ochotnika walczyć po stronie Moskwy, czym zasłużył sobie na rosyjskie obywatelstwo i został doradcą ministra oświaty w Rosji, po czym wrócił do kraju i został z kolei doradcą prezydenta Abchazji.

Czy urzędnicy na froncie walczą czy tylko udają? Oficjalna propaganda twierdzi, że walczą. Bardziej wiarygodni w tym względzie zdają się być Z-blogerzy, którzy z jednej strony gorąco wojnę popierają, z drugiej zaś opisują ją obiektywniej niż kremlowskie media. Ich zdaniem najczęściej jednak udział w wojnie jest jedynie formalny. Na przykład dany polityk znajduje się w składzie pododdziału, ale w stosunkowo bezpiecznej odległości od frontu. Wśród żołnierzy funkcjonuje nawet ironiczny termin „bataliony deputackie". Chodzi oczywiście o pododdziały rekrutujące polityków i urzędników, których celem jest nie tyle realny udział w działaniach bojowych, ile zademonstrowanie władzom swojej lojalności i patriotyzmu. Tę rolę odgrywa wspomniany już BARS – czyli ochotnicza formacja złożona z rezerwistów. Ochotnik podpisuje kontrakt na okres do roku. Po zakończeniu trwania umowy teoretycznie może wrócić do domu. Tyle że zwykłym ochotnikom się to utrudnia, wymuszając przedłużenie służby, a urzędnicy i politycy takich problemów nie mają. Co zrozumiałe, „nomenklaturowi żołnierze" sami publicznie chwalą się, że wybierają się na front. Nie zawsze jednak tam docierają. Wicegubernator Kamczatki Siergiej Mironow dostał wezwanie do wojska, po czym okazało się, że zamierzał jechać do Donbasu robić interesy, ale i tak tam nie dotarł.

Jednak udział nomenklatury w wojnie nie ogranicza się do „batalionów deputackich". Część urzędników i polityków realnie walczy i ginie na wojnie. Portal Siewier.Realii naliczył do lutego 2025 r. 32 poległych na froncie przedstawicieli władz rosyjskich. Meduza dodaje do tego kolejnych 16. A to ostrożny szacunek.

Weteranów w strukturach władzy zwykle mianuje się na stanowiska, na których ich ewentualny brak doświadczenia urzędniczego nie zaszkodzi, doświadczenie bojowe zaś pomoże. Na przykład praca z młodzieżą czy wychowanie patriotyczne. Ponadto weterani, żeby robić prawdziwą karierę, muszą być dla Kremla przewidywalni. I bezpieczni. Ci z PTSD są odsiewani.

BOHATERSTWO NA BEZPIECZNY DYSTANS

Nawet jeśli karierę robią nie wszyscy weterani, a głównie ci, którzy już wcześniej mieli znajomości i doświadczenie, to jednak widać wyraźnie, że Kreml buduje państwo wokół mitu wojny z Ukrainą. Nie wystarczy być sprawnym i lojalnym wobec władzy urzędnikiem. Wypada jeszcze udowodnić swoją wartość na froncie. Niechby nawet i w „batalionie deputackim" – nawet taka forma udziału w wojnie daje przykład z góry, że również przedstawiciele władzy zakładają mundury i przynajmniej udają, że biorą udział w działaniach zbrojnych.

Z jednej strony, część weteranów narzeka na brak pracy i perspektyw, a inna część cierpi na PTSD i przyczynia się do wzrostu przestępczości, co jest naturalną konsekwencją wojny. Z drugiej zaś strony Kreml wprowadza konkretne przywileje dla „bohaterów SWO". Nie tylko miejsca na listach wyborczych. Wobec kryzysu paliwowego, wywołanego ukraińskimi atakami, na stacjach benzynowych weterani wojny są obsługiwani poza kolejnością (co akurat nie musi im przysporzyć społecznej sympatii). Uczestnicy „SWO" otrzymują pakiet usług socjalnych, takich jak bezpłatne leki, leczenie sanatoryjne, a także liczne ulgi podatkowe. Państwo pokrywa im połowę kosztów wynajmu mieszkania. Mają też priorytetowy dostęp do opieki medycznej w szpitalach wojskowych. I wiele innych świadczeń. Tak czy inaczej, traktowani są jako nowa elita Rosji. Elita zahartowana w boju z Ukrainą i Zachodem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Dworzec Główny we Frankfurcie nad Menem, 24 czerwca 2026 r. FOT. ANDREAS ARNOLD/DPA/PAP

Klęska niemieckich kolei



Jan Bogatko z Berlina

Stoi na stacji lokomotywa... i nic z niej nie spływa. Tak rozpoczyna się współczesny poemat o Deutsche Bahn. Opowiadania, jakoby w Niemczech można było regulować zegarki dzięki punktualności przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów, należą do kategorii „to się nie wróci". Od lat podróżni narzekają tam na niepunktualność kolei, irytujące spóźnienia, zamknięte stacje czy brak połączeń dla przesiadających się. Ale to, co się wydarzyło w Niemczech we wtorek 23 czerwca, w noc świętojańską 2026 r., trafi do Księgi rekordów Guinnessa.

Niemieckie koleje w całym kraju stanęły. Czy to przypadek? Gorące lato? Rosyjscy agenci, których w Niemczech nie brak? Eksperci są innego zdania. W fachowych czasopismach wyrażają oni opinię, że to wina systematycznego zaniedbywania zarówno kolei, taboru, jak i sieci przez dziesiątki lat, planowanego niedofinansowania i likwidacji wielu do niedawna sprawnych połączeń. Hasło: „Zostaw samochód w garażu, podróżuj koleją" okazało się lewacką propagandą klimatycznych bojówek. Dotyczy to w równej mierze kolei regionalnych na zachodzie i na wschodzie Niemiec.
W piątek 26 czerwca, dwa dni po ogólnoniemieckiej komunikacyjnej katastrofie, wieczorny pociąg regionalny z Berlina do Chociebuża – a to w zasadzie krótka trasa – spóźnił się o... 82 minuty. Normalnie pociąg pokonuje całą trasę w niecałą godzinę. Na domiar złego w niektórych wagonach wysiadła klimatyzacja. A na termometrze 38 st. C w cieniu. W automacie – Niemcy to nowoczesny kraj myślicieli i techniki – na dworcu w Berlinie-Spandau można było kupić batonik, ale nie butelkę wody.

CZŁOWIEK JEST ZAWODNY

We wtorkowy wieczór 23 czerwca niemieckie koleje w „lokomotywie Unii Europejskiej", za którą uważają się Niemcy, stały. Pasażerowie składów, które zatrzymały się na dworcach, mogą mówić o szczęściu. Mniej mieli go natomiast ci, których pociągi stały godzinami w tunelach czy w szczerym polu. Nie, nie było strajku, nie mówiąc o zaspach śnieżnych. Nie było tym razem też zamachu na kolej czy operacji złomiarzy. Za kolejowy paraliż w Niemczech odpowiada zakłócenie w GSM-R – cyfrowym systemie komunikacji radiowej między centralą a motorniczymi. Bez tej komunikacji pociągi nie mogą jeździć zgodnie z rozkładem jazdy, ona zapewnia pierwszeństwo jazdy w danym regionie. Kiedy system ten wyzionął ducha w noc świętojańską, setki pociągów w Niemczech – zarówno ICE, jak i regionalnych – stanęły tam, gdzie je zatrzymano. Ale co było tego przyczyną?

Katastrofę komunikacyjną wywołała pechowa aktualizacja systemu IT. Szef firmy infrastrukturalnej Deutsche Bahn InfraGO, Philipp Nagl, stwierdził w prasie, że to podjęcie planowanych prac na cyfrowym systemie GSM-R wywołało problemy

eprasa.pl e248126c5c

kolei. System IT to angielskie określenie (od Information Technology), które po polsku oznacza system informatyczny. Jest to „zespół współpracujących ze sobą urządzeń (sprzętu) oraz oprogramowania (programów), który służy do przetwarzania, przechowywania lub przesyłania danych i informacji" – jak podaje Internet. Ładnie i pięknie. Ale jak to było możliwe? Odpowiedź jest prosta: człowiek jest zawodny. I nie wymyślił (albo nie zastosował) mechanizmu antyawaryjnego, który np. ograniczyłby skutki awarii do jednego regionu. Nie wymyślił? A jakże! Z pomocą systemowi miał pośpieszyć Telekom, a dokładniej pewien rodzaj telefonii komórkowej. Miał. Ale nie pośpieszył, bo… deska ratunku zawiodła. Ach, ta technika! Okazało się, że karty SIM w komputerach pokładowych pociągów nie mogły skomunikować się z systemem zastępczym! Obowiązujący w niemieckich kolejach system sterowania GSM-R (czyli Globalny System Komunikacji Mobilnej – Kolej) to cyfrowy system komunikacji mobilnej oparty na powszechnie stosowanym standardzie GSM, ale dostosowany do użytku kolei. Stał się następcą wielu różnych i niekompatybilnych analogowych systemów radiowych. W Niemczech zastąpił kilka analogowych systemów radiokomunikacyjnych w pociągach, dlatego GSM-R jest również nazywany cyfrowym radiem kolejowym. Wraz z Europejskim Systemem Sterowania Pociągiem (ETCS) stanowi podstawowy element Europejskiego Systemu Zarządzania Ruchem Kolejowym (ERTMS). GSM-R jest wykorzystywany na 130 tys. km torów. W nadchodzących latach system opracowany w latach 90. ubiegłego wieku ma być stopniowo zastępowany przez FRMCS. FRMCS (Future Railway Mobile Communication System) to międzynarodowy standard komunikacji mobilnej dla kolei, oparty na technologii 5G, będący oficjalnym następcą przestarzałego standardu GSM-R. Umożliwia on szybką transmisję danych niezbędną do cyfrowego funkcjonowania kolei i autonomicznego prowadzenia składów. Deutsche Bahn planuje wprowadzenie FRMCS w latach 2026–2035. Oba systemy są zbiorczo określane jako Kolejowe Radio Mobilne (RMR). Być może teraz, po kolejowym koszmarze, Berlin szybciej wprowadzi ten system, który kosztuje miliardy euro. Z tego też względu Berlin przesuwał dotąd jego wprowadzenie w komunikacji kolejowej. To kolejny dowód na tezę, że oszczędności mogą okazać się bardzo drogie.

PODRÓŻ KOLEJĄ JAKO WYZWANIE

Tymczasem rzut oka za granicę (niemieckie media nie wymieniają Polski, bo to wstyd) wystarczy, by zorientowali się, jak jeżdżą pociągi. Szwajcaria i Austria od dziesiątek lat pokazują Niemcom, że kolej może cieszyć podróżnych. SBB (koleje szwajcarskie) w ubiegłym roku osiągnęły wskaźnik punktualności 94,1 proc. (wystarczy, by pociąg spóźnił się o trzy minuty, by znaleźć się w niechlubnej statystyce). Tymczasem w Niemczech wskaźnik ten wynosi ok. 50 proc. Oznacza to, że i bez awarii systemu komunikacji co drugi pociąg osiąga z opóźnieniem stację docelową. W Szwajcarii widać można, a w Niemczech nie. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: w ojczyźnie Wilhelma Tella na infrastrukturę kolejową wydaje się rocznie 480 euro na głowę mieszkańca. Pieniądze idą na ten cel z funduszu infrastrukturalnego kolejnictwa, tworzonego długofalowo z VAT i opłat drogowych. Sieć kolejowa w Szwajcarii chroniona jest europejskim system ERTMS (European Rail Traffic Management System) – jest to ujednolicony, europejski system zarządzania ruchem i ochrony kolei. Znacznie nowocześniejszy i sprawniejszy od podatnego na awarie systemu w Niemczech. Szwajcaria stawia na nowoczesność – jest ona pionierem w zastosowaniu ERTMS w Europie. I w elektryfikacji sieci kolejowej: 99,98 proc. tejże jest zelektryfikowana. W Niemczech ok. 62,5–63 proc. całej sieci kolejowej jest obecnie zelektryfikowane. Czyli tyle samo, co w Polsce, która nie jest przecież liderem gospodarczym w Europie. Rząd niemiecki postawił sobie za cel zwiększenie tego wskaźnika do 75 proc. do 2030 r. Bardzo ambitny to cel. Tymczasem w Polsce sieć przechodzi obecnie fazę gruntownej modernizacji: do 2035 r. Polska inwestuje w sieć kolei dużych prędkości (ZSK), która połączy duże miasta z prędkością do 350 km/h. Elektryzowane są również odcinki transgraniczne – takie jak odcinek od granicy do niemieckiego Zgorzelca (Görlitz) – a wschodnie kraje związkowe Niemiec naciskają na rozbudowę kolejnych połączeń, choćby z Drezna do Wrocławia.

A ile bogate Niemcy wydają na infrastrukturę Deutsche Bahn? Bardzo dużo, mówi się w Berlinie, bo aż 198 euro na głowę i rok. To niemal chiński skok, bo w 2023 r. na zaniedbane koleje Niemcy były w stanie wysupłać jedynie 115 euro. Dopiero od 2022 r. inwestuje się w Niemczech więcej w kolej niż w drogi. Niemniej nadal brakuje autostrady łączącej wschód z zachodem Niemiec, która ominęłaby owiane złą sławą Gießen. Dziesiątki lat po zjednoczeniu Niemiec! Klnący jak szewc kierowcy chętnie podróżowaliby koleją, jakby się dało. Ale to raczej wyzwanie, zwłaszcza jak trzeba zdążyć na termin. W noc świętojańską podróżny z Drezna do Kolonii czy Bonn potrzebował na pokonanie (nie do końca) tej trasy aż 14 godzin. Nie wąskotorówką, lecz superekspresem ICE, flagowym statkiem Deutsche Bahn! Ekspres Frankfurt nad Menem do Kolonii dojechał przed północą jedynie do Remagen. Tam, na dworcu kolejowym, nikt nie był w stanie poinformować zdesperowanych podróżnych, czy i kiedy pociąg ruszy dalej. Bezsilny personel dwoił się i troił, by zapewnić zmęczonym pasażerom wodę i chociażby chipsy. Na rozgrzanym upałem, drzemiącym dworcu w Remagen (mieście znanym z amerykańskiej operacji w marcu 1945 r. pod kryptonimem Most Ludendorff, która skróciła o tygodnie drugą wojnę światową) jedyna taksówka wyczuła złoty biznes, oferując rozbitkom z ekspresu ICE dalszą podróż za słone pieniądze. Komunikacyjny szok w noc świętojańską pasażerowie Deutsche Bahn zapamiętają na długo, a zwłaszcza ci podróżni, którzy wskutek kolejowego bałaganu nie zdążyli na połączenia lotnicze we Frankfurcie czy w Berlinie. Na domiar złego zakłócenia w komunikacji kolejowej w Niemczech dały o sobie znać w dniach następnych, co uderzyło zwłaszcza w dojeżdżających do pracy czy amatorów letnich wakacji w górach czy nad morzem.

Niemieckie koleje reklamują się w mediach społecznościowych: „Pakujcie walizki i wyjeżdżajcie po przystępnej cenie – bilet rodzinny za 99,99 euro". Niepotrzebnie kolej wydała na tę reklamę pieniądze, sądząc po komentarzach.

Pierwszy z brzegu: „Nie, dziękuję. W ten upał z dziećmi i tobołkami to wolę jednak samochód, jestem także niezależny w miejscu wakacji".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c

Chińska rewolucja





Jacek Przybylski
z Londynu i Goodwood

Chińscy producenci aut nie konkurują już tylko ceną czy bogatym wyposażeniem standardowym. Tęgie lanie zachodnim koncernom motoryzacyjnym spuszczają też innowacyjnymi technologiami. I chociaż sprzedaż samochodów na Starym Kontynencie ciągle rośnie, to europejscy producenci z roku na rok oddają Chińczykom swoje udziały w rynku. Czy europejskie marki podzielą losy Nokii?

Centrum Londynu. Niedaleko słynny Hyde Park oraz Ogród Różany Królowej Marii w Regent's Park. To tu, w brytyjskiej siedzibie MG, przy dźwiękach tradycyjnych chińskich melodii tańczące roboty witają dziennikarzy z całej Europy. Chińczycy, którzy są obecnie właścicielami brytyjskiej marki, lubią podkreślać, że tymi samochodami poruszał się m.in. za swych książęcych czasów obecny król Karol. Wiedzą jednak, że sentyment do brytyjskiej marki oraz atrakcyjna cena to za mało na bardzo konkurencyjnym europejskim rynku. Właśnie dlatego tuż za robotami stoją prawdziwe wizytówki marki: koncepcyjne auto MG EXE 181, produkowany seryjnie całkowicie elektryczny sportowy Cyberster oraz legenda marki: roadster RV8 z silnikiem V8 o pojemności 3,9 l. – Chińskie koncerny z wizerunkiem marek konkurujących głównie ceną pożegnały się już w ubiegłym roku, gdy wprowadziliśmy w naszych samochodach nowoczesne technologie hybrydowe. Dzięki nim samochody są bardziej oszczędne, a jednocześnie są bardziej komfortowe. Jestem przekonana, że stąd wynika szybko rosnąca sprzedaż naszych samochodów. Klienci patrzą bowiem na jakość i rozwiązania technologiczne, które oferujemy w modelach MG, które nadal sprzedajemy w bardzo atrakcyjnych cenach – mówi „Do Rzeczy" marketing & product manager Alicja Olendzka-Płuciennik. – Tech Day w Londynie to okazja, aby pokazać, w którą stronę MG się rozwija. Wszystkie innowacyjne rozwiązania, które pokazujemy, są opracowywane tak, aby służyć klientom europejskim – dodaje.

Inżynierowie z Państwa Środka pokazali więc m.in. nowy system hybrydowy, zapewniający większą wydajność, lepsze osiągi (sprint od 0 do 100 km/h zajmuje mniej niż 6 s) i bardziej przewidywalny zasięg) oraz jazdę cichszą nawet o 5 dB. Sam napęd to nie wszystko. Chińscy konstruktorzy pokazali również stworzone z myślą o nowym systemie hybrydowym akumulatory MG SolidCore, które zapewniają płynniejsze oddawanie mocy i wyższe osiągi. Połączenie tych dwóch technologii ma więc zlikwidować takie problemy napędu elektrycznego jak brak wystarczającej mocy podczas szybkiej jazdy, podczas podróży w trudnych, zimowych warunkach czy podczas podjazdu pod strome wzniesienia. Przedstawiciele marki zapowiedzieli, że pierwszym modelem wyposażonym w to rozwiązanie będzie MG ZS Plug-in Hybrid+ (jego premierę zaplanowano na przyszły rok). Pierwszymi modelami MG Plug-in Hybrid+ wyposażonymi w technologię SolidCore Battery mają być trzy nowe SUV-y z segmentów B, C i D.

ŁADOWANIE SZYBSZE NIŻ TANKOWANIE?

Chińska marka BYD pokazała publiczności podczas Goodwood Festival of Speed 2026, jak działa jej najnowszy Flash Charging, który umożliwia naładowanie baterii aut wyposażonych w Blade Battery 2.0 od 10 proc. do 70 proc. w zaledwie 5 min, a od 10 proc. do 97 proc. w 9 min. – Jako pierwsi wprowadziliśmy do masowej produkcji hybrydę plug-in, a naszą perłą w koronie jest biznes bateryjny, w tym technologia Blade Battery 2.0, która zlikwidowała wszystkie główne ograniczenia związane z akumulatorami. Do końca obecnego roku zamierzamy uruchomić w Polsce kilkadziesiąt stacji umożliwiających naszym klientom tak szybkie ładowanie – zapowiada w rozmo-

eprasa.pl e248126c5c



Zaprezentowana w ubiegłym tygodniu elektryczna Denza Z o mocy 1604 KM to najnowszy pokaz siły BYD FOT. JAP

wie z „Do Rzeczy" Michał Bowsza, country manager BYD Polska.

– Jednocześnie nie trzeba martwić się o to, że bardzo szybkie ładowanie skróci życie akumulatora. Nowa technologia jest tak dobra, że powinna je wydłużyć. Właśnie dlatego po jej wprowadzeniu zdecydowaliśmy się wydłużyć gwarancję – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" Fengjie Ai, kluczowy inżynier i dyrektor do spraw produktów w BYD Auto.

MARZENIA O PRĘDKOŚCI

Przy okazji kultowego festiwalu prędkości w Goodwood chińscy producenci zaprezentowali nowe modele, będące pokazem ich coraz większych możliwości technologicznych. Globalną premierę w zeszły czwartek miała tu m.in. elektryczna Denza Z o mocy 1604 KM oraz maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 1240 Nm. Sportowe auto od zera do 100 km/h rozpędza się w 1,96 s, a na zahamowanie ze 100 km/h do zera potrzebuje jedynie 32 m. Prędkość maksymalna wynosi 350 km/h. Cena najmocniejszej wersji: 172,9 tys. funtów. – Nasze auto jest absolutnie nie do pobicia – mówi „Do Rzeczy" Stella Li, globalna wiceprezes koncernu BYD Company. – Zaczęliśmy od piękna, potem przeszliśmy do aerodynamiki i osiągów. Chodziło nam o to, aby stworzyć seryjnie produkowane auto, które jednocześnie będzie dawać uczucie jazdy prawdziwym wyścigowym samochodem. Nawet James Bond naprawdę bardzo to auto polubił – tłumaczy nam projektant tego samochodu Wolfgang Egger.

Na miejscu było już jednak sporo potencjalnych nabywców (zarówno ze Szwajcarii, jak i z Zatoki Perskiej). Chińczycy pokazali w Goodwood również model BYD SHARK, czyli pięciomiejscowy pick-up o długości 5,5 m o mocy 436 KM, który wykorzystuje Super Hybrydę DM-o (Dual Mode Off-road). Nowy model ma nawet 675 km zasięgu, a jednocześnie potrafi rozpędzić się od 0 do 100 km/h w 5,7 s.

Przedstawiciele MG pochwalili się z kolei kompaktowym, usportowionym MG Go, który na rynek ma trafić w 2027 r. Auto nawiązujące do kultowych modeli marki ma rzucić rękawicę takim modelom jak Renault 5 czy Mini Cooper Electric.

W ubiegłym tygodniu zaprezentowano również model MG Cyber Concept. To koncepcyjne sportowe auto z dynamicznie zarysowanym przodem i aerodynamiczną sylwetką, które może być rywalem takich modeli jak Porsche Cayenne Electric. Stylistycznie to kolejne nawiązanie do auta, którym brytyjskie MG biło rekord prędkości w roku 1957.

Zadanie to udało się niedawno innej marce należącej do Chińczyków. Elektryczny supersamochód Yangwang U9 w wersji Xtreme (o mocy 3019 KM) najpierw pobił rekord na torze Nürburgring, a następnie oficjalnie pobił światowy rekord prędkości na torze ATP. Model ten jesienią ubiegłego roku rozpędziło się dokładnie do 496,22 km/h. I choć do magicznej bariery 500 km/h zabrakło niecałe 4 km, to chińskie auto stało się najszybszym produkowanym obecnie seryjnym autem, detronizując legendarny model Bugatti Chiron Super Sport 300+, którego rekord wynosi 490,48 km/h. Trudno chyba o bardziej stanowczą zapowiedź radykalnej zmiany w światowej motoryzacji.

Czym jest Yangwang? To najbardziej luksusowa marka chińskiego koncernu BYD, która ma skłonić najbogatszych kierowców do przesiadki z Ferrari czy McLarena. Model U9 z czterema niezależnymi silnikami elektrycznymi w wersji dopuszczonej na drogi publiczne od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 2,3 s. Pod maską czeka 1300 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi 1680 Nm. Sama moc to nie wszystko. Auto jest też wyposażone w innowacyjne zawieszenie DiSus-X, które kontroluje ruch nadwozia z niemalże kosmiczną precyzją.

Nie tylko tym modelem Chińczycy chcą udowodnić, że nie ma już dla nich rzeczy niemożliwych. Samo BYD (to skrót od „Build Your Dreams", czyli „zbuduj swoje marzenia") powstało w 1995 r., ale historia jego motoryzacyjnej gałęzi rozpoczęła się w 2003 r.

AUTONOMICZNA JAZDA CORAZ BLIŻEJ

Przedstawiciele MG w Londynie ogłosili również, że system automatycznego parkowania nowej generacji, umożliwiający samodzielne parkowanie przez samochód niezależnie od rodzaju nawierzchni, w bardzo ciasnych miejscach parkingowych (wówczas można wyjść z auta i sterować nim przy użyciu aplikacji) lub tam, gdzie nie ma żadnych oznaczeń (albo tam, gdzie wymalowane niegdyś linie zdążyły się dawno zatrzeć), jest już gotowy do produkcji. Umożliwia on nie tylko autonomiczne automatyczne parkowanie przez komputer, lecz także wycofanie samochodu po wcześniej pokonanej trasie na odcinku do 100 m, z jednoczesnym wykrywaniem przeszkód (bardzo przydatne, gdy wjechało się w ciasną ślepą uliczkę). Podobnym rozwiązaniem chwalili się też w Goodwood także przedstawiciele marki BYD. Samochód sam znajduje miejsce do parkowania lub można mu wskazać, gdzie ma stanąć. BYD potrafi też zawrócić w miejscu. Można również wyjść z samochodu i ustawić w aplikacji, gdzie auto ma zaparkować.

Chińskie marki pilnie rozwijają również systemy automatycznej jazdy. Przedstawiciele koncernu BYD są już tak pewni swej technologii, że ogłosili, iż jeśli przez pierwszy rok od aktywacji przez nabywcę samochodu systemu autonomicznej jazdy poruszające się samodzielnie auto

eprasa.pl e248126c5c

spowoduje jakąś kolizję lub wypadek, to koncern pokryje wszelkie szkody. MG chwali się z kolei, że system Navigate On Autopilot (NOA), opracowany na podstawie doświadczeń zdobytych podczas ponad 1,2 mln km jazdy testowej w 24 europejskich krajach, w tym Polski, ma zadebiutować pod koniec 2027 r. w nowym SUV-ie tej marki.

– Zapowiadamy jednocześnie, kiedy dane technologie trafią do naszych samochodów. Na przykład coraz bardziej zaawansowane systemy wspomagania kierowcy ADAS będą zwiększać bezpieczeństwo również polskiego klienta – zapewniła nas Alicja Olendzka-Płuciennik.

Zarówno MG, jak i BYD prowadzą też zaawansowane testy robotaksówek z autonomiczną jazdą poziomu czwartego. Niewykluczone więc, że – jeśli europejscy prawodawcy na to pozwolą – wzorem kilku miast w USA czy na Bliskim Wschodzie również na Starym Kontynencie kierowców taksówek będą powoli zastępować pojazdy jeżdżące bez kierowcy.

MERCEDES JAK NOKIA?

Budowana od dekad i konsekwentnie realizowana chińska strategia rozwoju napędów elektrycznych i hybrydowych doprowadziła do bezlitosnej ekspansji na Starym Kontynencie. Sukcesy firm z Państwa Środka zbyt późno dostrzegli członkowie zarządów europejskich marek. Efekt? Stellantis – drugi w Europie koncern motoryzacyjny pod względem liczby sprzedanych aut – zwalnia pracowników w wielu krajach UE: od Polski po Niemcy i Włochy. BMW i Mercedes-Benz ogłosiły plany potężnego cięcia kosztów. Również grupa Volkswagena już oficjalnie przygotowuje się do zakończenia produkcji w czterech fabrykach na terenie Niemiec i redukcji załogi o 100 tys. osób (według analityków Citigroup oba te ruchy łącznie powinny pozwolić Niemcom zaoszczędzić ok. 10 mld euro rocznie). A przecież nietrudno było przewidzieć, że Chińczycy odniosą sukces, skoro już w 2023 r. zarząd VW zdecydował o zakupie 4,99 proc. udziałów w spółce Xpeng. Jeden z chińskich producentów może teraz pomóc Niemcom uratować choć część miejsc pracy w ich fabrykach. Umożliwienie lokalnej produkcji ułatwi jednocześnie ekspansję marki Xpeng na europejskie rynki.



Na pierwszym planie auto koncepcyjne MG EXE 181. W tle produkowany seryjnie całkowicie elektryczny sportowy Cyberster oraz legenda marki: roadster RV8 z silnikiem V8 o pojemności 3,9 l FOT. JAP

Fabryki na Starym Kontynencie budują również inne marki z Państwa Środka. BYD już w tym roku rozpocznie produkcję w fabryce na Węgrzech, oficjalnie redukując ewentualne zagrożenie dla ekspansji związane z cłami nałożonymi przez Unię Europejską na auta importowane z Chin.

Koncern SAIC zapowiada budowę fabryki w hiszpańskiej Galicji. Stellantis planuje współpracę przy produkcji samochodów elektrycznych z chińską marką Leapmotor, a także przy produkcji baterii z branżowym gigantem CATL.

Unia Europejska – która bezsensownymi regulacjami osłabiła europejskie koncerny motoryzacyjne – próbuje obecnie bronić ich za pomocą kolejnych przepisów. Skoro cła nie przyniosły zamierzonego w Brukseli rezultatu, eurokraci pracują nad pakietem nowych regulacji (Industrial Accelerator Act, IAA), które mają obowiązywać producentów działających w sektorach samochodów elektrycznych oraz akumulatorów do nich (czytaj: chińskie koncerny) i chcących na Starym Kontynencie uruchomić produkcję na masową skalę. Zgodnie z założeniami producenci mają posiadać nie więcej niż 49 proc. udziałów w spółkach joint venture, zatrudniać głównie europejskich pracowników i dzielić się technologią z partnerami ze Starego Kontynentu.

Sukcesy firm z Państwa Środka zbyt późno dostrzegli członkowie zarządów europejskich marek. Efekt? Stellantis – drugi w Europie koncern motoryzacyjny pod względem liczby sprzedanych aut – zwalnia pracowników w wielu krajach UE: od Polski po Niemcy i Włochy

Tym samym historia globalnego przemysłu motoryzacyjnego zatacza koło: niemal pół wieku temu podobne warunki, choć nieco mniej restrykcyjne, postawił rząd w Pekinie, otwierając swój rynek dla zachodnich producentów aut. Wówczas ogromne sukcesy na chińskim rynku jako pierwsi zaczęli odnosić Niemcy – ten sam VW, który teraz zwalnia jedną szóstą załogi, w 1984 r. zdecydował się bowiem na współpracę z chińskim koncernem SAIC. Chińscy producenci nie przespali okazji. Według analityków McKinsey potrafią już wytwarzać samochody elektryczne o 20–50 proc. taniej niż europejscy producenci, co w przypadku VW przekłada się mniej więcej na 6 tys. euro różnicy na każdym samochodzie. Chińczycy przykładają się też do planów podbicia zachodnich rynków za pomocą innowacji. – Jesteśmy bardziej firmą technologiczną niż motoryzacyjną. Zatrudniamy 120 tys. inżynierów. Mamy 11 instytutów badawczych i tylko w tym roku wydamy na rozwój i badania ponad 30 mld euro. Dzięki temu średnio składamy 52 wnioski patentowe dziennie, których łączna liczba przekracza już 71 tys. – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" Stella Li, wiceprezes koncernu BYD Company.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



PROSTO ZYGZAKIEM

Chcę podwyżek dla lekarzy!

PIOTR GABRYEL

W Polsce niezwłocznie powinna się rozpocząć ogólnonarodowa debata nad tym, jak bardzo podnieść nam – wszystkim Polakom – wysokość tzw. składki zdrowotnej, czyli podatku zdrowotnego.

I w dodatku debata ta powinna trwać jak najkrócej, tak aby nawet o jeden niepotrzebnie zmarnowany na nią dzień nie odkładać samego podniesienia wysokości owej tzw. składki zdrowotnej, która powinna zostać podniesiona jak najszybciej. A właściwie powinna być podniesiona już dawno temu. I gdyby tak się stało, gdyby podniesiono ją – rzecz jasna, odpowiednio wysoko, a nie o jakieś marne grosze – wcześniej, to dziś nie musielibyśmy być świadkami tych żenujących opowieści o rzekomo nadmiernej – ba, podobno nieprzyzwoicie nadmiernej – wysokości zarobków w Warszawskim Szpitalu Południowym ani w żadnym innym (o kolejnych przypadkach coraz głośniej), które podobno rujnują ich finanse.

W końcu nie może być tak, żeby wciąż tak niewielu lekarzy w Polsce zarabiało w ciągu roku – jak legendarny już lekarz Dawid Kacprzyk – 1,6 mln zł, bo nawet jeśli są takich lekarzy grube setki – a tylu jest ich na pewno; ba, nawet jeśli jest ich kilka tysięcy – a tylu z pewnością może ich być – to cóż to znaczy wobec ponad 140 tys. aktywnych lekarzy w Polsce?

A zatem, po pierwsze, wciąż za mało lekarzy zarabia u nas chociaż owe, umówmy się – skromne, wprost symboliczne – 1,6 mln zł, które trudno w przypadku ludzi wykonujących zawód lekarza uznać za wygórowane. A już na pewno – za wygórowane nieprzyzwoicie.

A po drugie, czyż owa z taką lubością przywoływana dziś kwota 1,6 mln zł rocznie to naprawdę aż tak dużo? Czy nas, Polaków, nie stać, by lekarzom płacić naprawdę godziwe pieniądze? A choćby i po 3 mln zł rocznie? Bo przecież te niby rozhuśtane w 2022 r. przez lubiącego mieć gest za nie swoje premiera Morawieckiego, coroczne, niby wielgachne podwyżki dla lekarzy sprawiły, że ich płaca minimalna wynosi dziś zaledwie żałosne – jak na lekarza, rzecz jasna – i to w dodatku niecałe, 13 tys. zł miesięcznie. To się naprawdę nie godzi!

I tak oto wracamy do pytania: O ile powinniśmy podnieść sobie niezwłocznie tzw. składkę zdrowotną, żeby nie tylko nieliczni, lecz wszyscy lekarze mogli zarabiać godnie – jak na polskich lekarzy przystało? Czy – zamiast obecnych 9 proc. – 20 proc. od wszystkich naszych dochodów by wystarczyło? Innymi słowy, w 2004 r. wpłaciliśmy do NFZ 31 mld zł, a w 2025 r. – aż ponad 220 mld zł; czy wobec tego 500 mld zł – pół biliona złotych haraczu – na razie by starczyło?

Może pan doktor Kacprzyk by to szybko policzył, bo – jak się zdaje – na tym też zna się tak dobrze, jak niewielu. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Zjeść ciastko i mieć ciastko

ŁUKASZ WARZECHA

Jedną z najbardziej uderzających cech wyborcy ery cyfrowo-memowej jest zerwanie ciągłości myślenia. Ludzie w większości przestali rozumować linearnie, od przyczyny do skutku. Ich rozumowanie ma postać pojedynczych klocków, które nie składają się w całość.

Proponując ograniczenie możliwości korzystania ze swojej własności, należałoby przedstawić twarde i bardzo mocne argumenty, a nie łzawe, wydumane opowieści

Na tej właśnie zasadzie spora część Polaków chciałaby móc w czasie wyjazdów wynajmować wygodne kwatery za jak najmniejsze pieniądze – a zarazem te same osoby były wielkimi zwolennikami radykalnego ograniczenia najmu krótkoterminowego w wersji proponowanej przez Polskę 2050. Było to jak w powiedzeniu „zjeść ciastko i mieć ciastko" – nie da się tych rzeczy połączyć. Ludzie nie rozumieli, że wprowadzenie regulacji, zgodnie z którymi o prawie do wynajęcia lokalu decydowałyby spółdzielnie, wspólnoty czy samorządy, spowodowałoby, że liczba możliwych do wynajęcia mieszkań i apartamentów mocno by spadła, a zatem ceny wynajmu ostro poszłyby w górę. Podstawowe, żelazne prawa ekonomii są dzisiaj poza zasięgiem pojmowania dużej części wyborców.

W dyskusji o tej regulacji nie było zresztą żadnych rozsądnych, miarodajnych argumentów. Zwolenniczka restrykcji, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, wielokrotnie powtarzała frazesy o rzekomej masowej uciążliwości mieszkań na wynajem, nie popierając tego jednak żadnymi statystykami – choćby dotyczącymi policyjnych interwencji w takich miejscach. A przecież proponując ograniczenie możliwości korzystania ze swojej własności, z czym bez wątpienia mielibyśmy tu do czynienia, należałoby przedstawić twarde i bardzo mocne argumenty, a nie łzawe, wydumane opowieści o cierpiących katusze mieszkańcach – nie wiadomo gdzie, kiedy i ilu.

Szczęśliwie pomysł upadł jeszcze przed wyjściem z rządu. Założenie jest teraz takie, że polska regulacja ma jedynie wypełniać minimalne wymogi unijne, a więc tworzyć rejestr wynajmowanych lokali. I to właśnie – tzw. reguła plus zero – powinno być zawsze podstawą wdrażania unijnego prawa. ©℗

eprasa.pl e248126c5c



Dla kapitana reprezentacji Argentyny projektowane są specjalnie buty Adidas F50 Messi FOT. IMAGO/WILLIAM VOLCOV/EAST NEWS

Gra o piłkarskie szaty



Joanna Bojańczyk

Markę stroju i obuwia zawodnicy mogą wybierać, ale kolory to rzecz święta – kwestia symboliki narodowej – i tu FIFA nie ma nic do gadania. W walce o wielki rynek odzieży sportowej konkurują giganci

Koszulka, gatki i buty. Co więcej, można powiedzieć o strojach piłkarzy? Okazuje się, że całkiem sporo. Gatki „gimnaściorki" o wyglądzie starej szmaty i jedynie słusznym kolorze granatowym pozostają czułym wspomnieniem sportu lat 60. i historią dla tych, którzy pamiętają.

Dziś pozornie nieskomplikowany, ale niosący wiele znaczeń kostium piłkarski na kilka tygodni obejmuje władzę nad światem. Piłka jest wszędzie: od podwórek w fawelach po podmiejskie Orliki. Nawet niemowlęta w wózkach noszą adidasy. Skończył się czas słodkich skórzanych bucików, które każda matka zachowuje na pamiątkę. Teraz roczne dziecko – czy jest chłopcem, czy dziewczynką – dostaje pierwsze najki. Prawdziwe. W nich będzie stawiać pierwsze kroki i zapewne nie rozstanie się z nimi wiele lat.

Jeśli chodzi o koszulki i spodenki, to tort podzielony jest na wielu producentów, ale klejnoty w koronie dzierży wielka trójka. Adidas ubiera 14 reprezentacji, Nike – 12, Puma – 11. Razem trzy firmy zgarniają 37 drużyn z 48. Są i gracze średniego kalibru: Reebok ubrał zawodników Panamy, Umbro odpowiada za trykoty Demokratycznej Republiki Konga, Kappa – Tunezji, Saeta – Haiti.

To powód, dla którego mundial wygląda różnorodnie i malowniczo – każda federacja podpisuje własny kontrakt z producentem. Kontrakty są długoletnie – często na 6–10 lat, opiewają na dziesiątki, czasem setki milionów euro rocznie. Rekordowy – na 100 mln euro – ma być podpisany przez Niemcy z Nike w roku 2027. Po zerwaniu wieloletniej współpracy z Adidasem Niemcy wybierają Nike. Wujaszek Adolf „Adi" Dassler musi przewracać się w grobie na tę zdradę... Ale cóż – biznes nie ma narodowości. Podobno.

FIFA PILNUJE ZASAD

Barwy tej zabawy dyktuje federacja krajowa. Tu sprawa jest poważna: ani FIFA, ani firma sportowa nie mają nic do gadania – decyduje duma narodowa, tradycja, a te nie są do przehandlowania. Kolory stroju piłkarzy są zatem powiązane z flagą lub historyczną tradycją narodową: producent projektuje konkretną kolekcję (odcienie, wzory, kroje), ale musi zmieścić się w kolorystyce zatwierdzonej przez federację. My z uwagi na flagę jesteśmy Biało-Czerwoni. Włosi są Azzurri, co jest odniesieniem do błękitu dynastii sabaudzkiej. Francuzi to Bleus – zawsze niebiescy z kogutem, symbolem galijskiej Francji. Pomarańczowy kolor Holendrów wywodzi się od Domu Orańskiego (po francusku: Orange), Hiszpanie mają czerwień i żółć oraz przydomek La Furia Roja (Czerwona Furia), w skrócie Rojos. Argentyńczyków nazywa się La albiceleste – biało-niebiescy (po łacinie: albi – biały, caelestis – błękitny, w sensie błękitu niebiańskiego). Do tradycji Portugalczyków należało żeglowanie – dlatego nazywano ich Navegadores. Czy przed morskimi katastrofami miał ich chronić wyhaftowany na piersi krzyż, historyczny symbol portugalskiej kultury? Być może to samo znaczenie ma krzyż widniejący na koszulkach portugalskich zawodników. Brazylia jest żółto-niebiesko-zielona, jak jej flaga narodowa. Zawodnicy brazylijscy do 1950 r. grali w białych koszulkach. Po traumie przegranej z Urugwajem w finale mistrzostw świata w roku 1950 rozpisano konkurs na nowe barwy, z warunkiem użycia kolorów flagi. Wygrał

eprasa.pl e248126c5c

19-letni ilustrator Aldyr Schlee – który sam był… kibicem Urugwaju.

Każda drużyna narodowa ma dwa komplety ubrań: jeden – domowy, w głównych barwach, drugi – wyjazdowy – w kolorach, które mają kontrastować z kolorami strojów gospodarzy. I tu trzeba wskazać zapis w dokumencie FIFA Equipment Regulations. Nie ma tam mowy o narzucaniu ani kolorów ubrań, ani producenta strojów, niemniej jest powiedziane o twardej kontroli nad zasadami wyglądu. Obowiązuje reguła kontrastu – komplety obu drużyn grających mecz muszą się wyraźnie różnić; sędzia i asystenci decydują, kto gra w którym stroju. Ubiór bramkarza musi się kolorystycznie odróżniać od ubioru zawodników pola i sędziów. Logo producenta może być tylko jedno, nie większe niż ok. 20 cm kw. Dla herbu federacji jest przeznaczone jedno miejsce w ograniczonym rozmiarze. Kolejny element to numery i nazwiska zawodników. Jest określona wysokość cyfr (25–35 cm na plecach, 10–15 cm z przodu), ich kolor powinien kontrastować z kolorem koszulki i być czytelny z odległości. Sponsorzy komercyjni nie są dopuszczeni do reklamowania się na koszulkach zawodników mistrzostw świata. Mundialowa koszulka to „czysty" strój bez naszywek firm zewnętrznych. Zabronione są także wszelkie hasła polityczne, religijne i osobiste. Za złamanie tego przepisu grożą kary. Bielizna termiczna musi mieć kolor rękawa lub główny kolor koszulki. Podobnie getry zawodników i taśma na getrach – powinny być tego samego koloru.

A co, gdyby któryś zawodnik zażyczył sobie wystąpić w spódnicy, w garniturze albo w stroju Indianina? W końcu różne są ludzkie kaprysy, nawet u piłkarzy. Jednak regulamin nie przewiduje takiej możliwości. Strój piłkarski jest nie do ruszenia. Jego obowiązkowe elementy to koszulka z rękawami, spodenki, getry zakrywające ochraniacze kości piszczelowych. Dozwolone są także: opaska kapitańska, opaska na głowę, czapka bramkarska, hidżab sportowy (od 2014 r.), koszulka termiczna. A biżuteria? Zakazana jest bez wyjątku, nawet zaklejona taśmą.

BUTY – WYBÓR INDYWIDUALNY

Futbol to jedna wielka nawalanka – popychanie, podstawianie nogi, umyślne przewracanie siebie i przeciwnika, wpadanie na siebie. I wtedy zoom kamerzysty kieruje się na buty. One trzymają główną rolę w tej grze. W walce o wielki rynek obuwia (wartość w roku 2026 szacuje się na ok. 120 mld dol.) konkurują giganci: Nike, Adidas, Puma, New Balance, Diadora. Jest to najszybciej rosnący rynek branży ubraniowej. Jego target obejmuje całą ludzkość od niemowląt po staruszków. Nie wszyscy grają w piłkę, buty noszą wszyscy.

O ile strój należy do federacji, o tyle buty są własnością zawodnika. Ich marka jest indywidualnym wyborem piłkarza i jego umową z producentem. Piłkarz Argentyny w koszulce Adidasa może grać w butach Nike Mercurial, i jest to w pełni legalne.

Kolor korków wybiera zawodnik lub jego sponsor w ramach kolekcji sezonowej – FIFA nie ma tu żadnego wymogu jednolitości. Dlatego w jednej drużynie widzimy korki różowe, żółte, srebrne, czarne i neonowe. Wielkość logo na butach nie jest ograniczona przez FIFA tak restrykcyjnie jak na koszulce.

Coraz więcej młodych piłkarzy nie ma kontraktu z żadną wielką marką i gra w tzw. blackout boots, czarnych, bez logo, lub w markach niezależnych typu Sokito, IDA, Pantofola d'Oro. Klasyczny model „mega kontrakt na buty" słabnie na rzecz mniejszych, wielomarkowych umów.

Ale to nie znaczy, że buty się nie liczą. I tu się też można popisać, zwłaszcza jeśli się jest wielką gwiazdą. Lionel Messi gra w specjalnie dla niego projektowanych butach Adidas F50 Messi. Są to unikatowe, biało-błękitne korki nawiązujące do barw Argentyny.

Gracze tacy jak Julián Alvarez, Rodrigo De Paul czy Alexis Mac Allister najczęściej wybierają linię Adidas X. Emiliano Martínez, Paulo Dybala stawiają na model Adidas Predator i Copa.

Lautaro Martínez, Lisandro Martínez, Enzo Fernández czy Cristian Romero grają w korkach Nike Phantom i Mercurial. Podczas tegorocznego mundialu, kiedy każda reprezentacja broniła tytułu, większość drużyny grała w specjalnie promowanych, jaskraworóżowych edycjach od czołowych producentów. Buty Messiego wyróżniały się na boisku klasycznym, biało-błękitnym wykończeniem.

Na szczęście ta feudalno-globalistyczna instytucja, którą jest FIFA, dopuszcza jeszcze pewne symbole przynależności narodowej, chociaż obecne trendy światowe zmierzają do usunięcia ich z ikonografii i z powszechnej wyobraźni. Na mistrzostwach świata w roku 1986 w Meksyku reprezentacja gospodarzy pojawiła się w koszulkach z zieloną aztecką grafiką na całej piersi. Był to jeden z pierwszych graficznych strojów w historii, dziś klasyk. W roku 2002 drużyna Kamerunu wystąpiła w koszulkach bez rękawów. FIFA szybko ich zakazała, twierdząc, że rękaw jest obowiązkowym elementem koszulki. Kamerun się nie podporządkował: w kolejnym turnieju Kamerun wyszedł w kombinezonie jednoczęściowym.

Konflikt Pumy z Adidasem jest ikoniczny dla branży i wciąż nierozstrzygnięty. Stał się niemal znakiem firmowym futbolu

Wszechpotężna dzisiaj marka Nike do lat 90. była marką biegową i koszykarską. Do futbolu weszła późno – kontrakt z Brazylią z 1996 r. zmienił wszystko. Konflikt Pumy z Adidasem jest ikoniczny dla branży i wciąż nierozstrzygnięty. Stał się niemal znakiem firmowym futbolu. Rudolf i Adolf „Adi" Dasslerowie pokłócili się w 1948 r. i w niemieckim miasteczku Herzogenaurach założyli konkurencyjne firmy. Do dziś obie mają tam siedziby po dwóch stronach rzeki. Wreszcie trzeba wspomnieć o „trzecim stroju" mundialowym. To wynalazek marketingowy z lat 90. FIFA formalnie wymaga tylko dwóch kompletów, ale sprzedaż koszulek kibicom uczyniła trzeci komplet standardem.

Zwykły kibic, nie mówiąc już o niezainteresowanych sportem, nie wie, czym jest prawdziwa koszulka futbolisty. Ja dotknęłam, jak relikwii, koszulki znajomego 12-latka. Zaskoczenie! To nic nie waży: 150 gramów to jakby nic. Perforacja laserowa, przędza z recyklingu (butelek PET) i wentylacja dostosowana do największego pocenia – uświadomił ignorantkę właściciel bezcennego kostiumu.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e248126c5c



Jacek Pałkiewicz

Zatoka śpiącego smoka



Wietnamczycy nazywają zatokę Ha Long ósmym cudem świata FOT. ADOBE STOCK

Zatoka Ha Long nie jest już miejscem dziewiczym. Może nigdy nim nie była, bo żyli tu rybacy, piraci, handlarze, przewodnicy, dzieci i starcy. Ale nadal jest miejscem zdumiewającym. Nie dlatego, że zatrzymała czas, lecz dlatego, że mimo upływu czasu zachowała zdolność oczarowywania

Kiedy pytają mnie, jak rodzą się projekty moich podróży, nie zawsze umiem udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Czasem zaczyna się od książki czytanej w młodości, czasem od nazwiska dawnego odkrywcy, czasem od fotografii widzianej przypadkiem w gazecie. Bywa, że wystarczy jedno zdanie, jedna mapa albo opowieść człowieka, który wrócił z miejsca tak odległego, że nawet jego zmęczenie wydaje się egzotyczne.

Z Ha Long było prościej. Zaczęło się od filmu. „Indochiny” z Catherine Deneuve nie były dla mnie tylko nostalgiczną opowieścią o utraconej potędze kolonialnej. Były obrazem świata, który odchodził powoli, zostawiając po sobie zapach opium, wilgotnych plantacji, starych albumów i melancholii, której Europa nigdy do końca nie umiała zrozumieć. Na ekranie pojawiały się wyspy Zatoki Tonkińskiej – ciemne, tajemnicze, wyrastające z wody jak resztki zatopionego królestwa. Aktorka, plantacja kauczuku, dramat miłosny i polityczny zatonęły z czasem w pamięci, ale krajobraz został. To on kazał mi ruszyć do Wietnamu.

Indochiny zawsze miały w sobie jakiś zagadkowy czar. Dziś ten świat można jeszcze odnaleźć na pożółkłych fotografiach, w kolonialnych fasadach, w zapachu targów, w gestach kobiet niosących kosze na ramionach, w stożkowych kapeluszach przesuwających się po ryżowiskach jak małe ruchome dachy. Ale trzeba uważać. Nostalgia jest piękna dopóty, dopóki nie zamienia przeszłości w dekorację. Kolonialny świat, którym tak chętnie zachwycali się Europejczycy, miał także swoją przemoc, pychę i ślepotę. Podróżnik powinien mieć dość uczciwości, by widzieć jedno i drugie: urodę i koszt.

SKARB PIRATÓW

Zatoka Ha Long, choć wielokrotnie fotografowana, filmowana i opisywana, nadal należy do miejsc, które potrafią działać jak sen. Chiński poeta Xiao San pisał podobno: „Jeśli nie odwiedziłeś zatoki Ha Long, to nie byłeś jeszcze w Wietnamie”. Nie lubię takich absolutnych sądów, bo każde państwo jest większe od jednej ikony. Ale rozumiem, skąd się wzięły. Wpłynąć do Ha Long to jak zagłębić się w stare orientalne malowidło, z którego ktoś zdmuchnął kurz czasu.

O zachodzie słońca tysiące wysepek rysują się ciemnymi konturami na tle krwistego nieba. Świetliste strzały przebijają ciężkie chmury i rozpadają się w wodzie na złote odłamki. Wszystko wydaje się jednocześnie realne i niemożliwe. Morze jest gładkie, prawie nieruchome, jakby smok z legendy naprawdę spoczywał pod powierzchnią i tylko jego oddech poruszał wodę. Właśnie ten filmowy, niemal apokaliptyczny zachód otwiera właściwe doświadczenie zatoki – nie jako atrakcji, lecz jako krajobrazu pamięci i wyobraźni.

W 1994 r. część tego niezwykłego obszaru została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Ale żaden certyfikat nie tłumaczy pierwszego wrażenia. Są miejsca, którym ochrona nadaje rangę. Są też takie, które same nadają rangę ochronie. Ha Long należy do tych drugich.

O świcie, w różowej poświacie, wypłynąłem z Hanhem Hoangthae, z rybackiej wioski Baichay na kilkudniowy rejs dżonką. Wietnamczycy nazywają zatokę ósmym cudem świata. To określenie bywa nadużywane, ale tym razem nie brzmiało przesadnie. Wyspy Ha Long ciągną się na długości ponad 200 km. To wapienne góry wystające z wody, nieraz na wysokość 200 m. Mają pionowe, miejscami niemal gładkie ściany, porośnięte tropikalną roślinnością i podziurawione

eprasa.pl e248126c5c

jaskiniami. Deszcz przez miliony lat przesączał się przez wapień, rozpuszczał go, drążył komory i korytarze, a woda i wiatr rzeźbiły powierzchnię skał, nadając im kształty zależne tyleż od geologii, ile od ludzkiej wyobraźni. Jedni widzą w nich sfinksa, inni łabędzia, słonia, walczące koguty. Krajobraz podsuwa znaki, a człowiek natychmiast próbuje zamienić je w opowieść.

Prawie 3 tys. wysp i wysepek, wiele bezimiennych, tworzy labirynt wody, kamieni i mgły. Żeglowaliśmy spokojnie po turkusowym morzu, między niezamieszkanymi skalnymi fortecami. Dawniej takie miejsca dawały schronienie piratom, którzy mogli ukrywać się w grotach i gromadzić łupy po napadach. Wiele jaskiń do dziś pozostaje trudno dostępnych, bo wejścia znajdują się wysoko na pionowych ścianach. W Ha Long nietrudno zrozumieć, dlaczego morska wyobraźnia tak łatwo rodziła legendy o korsarzach, skarbach i statkach widmach.

Legenda mówi, że wysepki rozrzucone po wodach Zatoki Tonkińskiej są czubkami długiego grzebienia ogromnego smoka, ducha wody, który spoczywa na dnie morza po tym, jak obronił kraj przed wrogami. To jemu oraz czapli, duchowi gór, Wietnamczycy zawdzięczają powstanie narodu. Lubię takie legendy, bo tłumaczą krajobraz nie przez procesy krasowe, lecz przez wdzięczność. Geologia mówi, jak coś powstało. Mit mówi, dlaczego ludzie chcą to kochać.

Mijaliśmy wyspę Titowa z maleńką plażą, podarowaną swego czasu przez Ho Szi Mina sowieckiemu kosmonaucie. Potem zatrzymaliśmy się na Bonau. Z półmroku wyłoniła się ogromna grota, budząca jednocześnie grozę i zachwyt. Rybacy z rodzinami znajdowali w takich miejscach ochłodę i wytchnienie od tropikalnego słońca. Jaskinie Ha Long nie są zatem wyłącznie atrakcją. Są schronieniem, pamięcią codziennego życia ludzi, którzy przez pokolenia umieli korzystać z krajobrazu bez potrzeby nadawania mu pomnikowych nazw.

Jednym z najciekawszych miejsc była wyspa Bo Hon, kryjąca rozległy system jaskiń. Groty ciągnęły się w głąb ziemi przez setki metrów. Wysoka wilgoć oblepiała ciało, a półmrok utrudniał poruszanie. Stalaktyty, kolorowe nacieki, podziemne komory i korytarze tworzyły zaczarowane królestwo, ale i tu trzeba było pamiętać, że piękno powstało nie dla turysty, lecz z cierpliwego działania wody. Tysiące lat kapania, sączenia, rozpuszczania, odkładania minerałów. Człowiek przychodzi na chwilę i natychmiast chce zrobić zdjęcie. Natura pracowała tu dłużej, niż sięga pamięć naszych języków.

W drodze powrotnej mijaliśmy Cat Ba, największą wyspę archipelagu, jedną z nielicznych zamieszkanych. Wyspa i przybrzeżne wody są chronione jako park narodowy. Ten rejon jest domem dla ogromnego bogactwa życia morskiego: ryb, mięczaków, skorupiaków, a także ssaków morskich. Ale najważniejsza jest świadomość, że zatoka nie jest martwym obrazkiem. To ekosystem.

O tym łatwo zapomnieć, bo Ha Long jest zbyt piękne. Nadmierne piękno bywa niebezpieczne. Uspokaja sumienie. Człowiek patrzy na wapienne wieże, na księżyc odbity w morzu, na czarny kontur śpiącego smoka i ulega złudzeniu, że taki świat jest niezniszczalny. A przecież każde miejsce otwarte na zachwyt mas staje się narażone na ich ciężar. Łodzie, paliwo, śmieci, hotele, ścieki, hałas, pośpiech, tania pamiątka, fotografia powtarzana milion razy – to wszystko potrafi zamienić cud w produkt.

Nie chcę moralizować z pozycji człowieka, który sam podróżował całe życie. Byłoby w tym za dużo hipokryzji. Ale im dłużej wędruję, tym mocniej czuję, że podróżnik ma wobec świata obowiązki. Nie wystarczy podziwiać. Trzeba rozumieć, co nasz podziw uruchamia. Ha Long jest dziś jednym z symboli Wietnamu, ale symbol łatwo zostaje skonsumowany przez własną sławę. To, co dawniej było schronieniem rybaków i piratów, sceną legendy i naturalnym labiryntem, może stać się parkingiem łodzi, jeśli zabraknie wyobraźni.

KROKI NOWOCZESNOŚCI

Rankiem od strony Filipin nadciągnął świeży wschodni wiatr – ogon tajfunu, który w miesiącach letnich często spada na wietnamskie wybrzeża. Jego siła słabnie po przejściu przez Hainan i barierę wysp Ha Long, dlatego wody zatoki rzadko bywają naprawdę wzburzone. Znowu geografia i łaska natury spotkały się w jednym miejscu. Wyspy nie tylko zdobią zatokę. One ją osłaniają.

Po powrocie do Baichay poszedłem na bazar. Nie można poznać miejsca, jeśli ogląda się tylko jego pejzaż. Krajobraz pokazuje ciało świata, bazar – jego krwiobieg. Smakowity zapach smażonej ryby podrażnił nozdrza i żołądek. Nagle zrozumiałem, że jestem głodny. Poszedłem za smugą woni do jednej z maleńkich knajpek przyklejonych jedna do drugiej. Ryby z rusztu, kraby, krewetki, ostre sosy, nuoc mam, pachnące warzywa, zielone banany, mięta, pomidory, tapioka i ryż przyrządzany na najdziwniejsze sposoby – wszystko mieszało się w obraz Wietnamu bardziej konkretny niż najpiękniejsza panorama.

Takie są Indochiny uwodzące atmosferą nieuchwytnej, słodkiej melancholii. Dodałbym: melancholii świata, która jeszcze trwa, ale coraz wyraźniej słyszy kroki nowoczesności. W Ha Long to napięcie jest szczególnie mocne. Z jednej strony mamy zatokę, która wygląda jak sen smoka, jaskinie, dżonki, rybackie osady, legendę i księżyc nad wodą. Z drugiej – motorówki, hotele, masową turystykę, handel uliczny.

Nie jestem naiwny. Wiem, że świata nie da się zakonserwować jak eksponatu w muzeum. Ludzie Ha Long mają prawo żyć lepiej, zarabiać, korzystać z popularności miejsca, w którym się urodzili. Tradycja nie może być więzieniem zbudowanym dla przyjemności przybysza. Ale rozwój bez szacunku potrafi zabić to, co go umożliwiło. Jeśli smok z legendy śpi na dnie zatoki, to największym zagrożeniem nie są dawni wrogowie Wietnamu. Największym zagrożeniem jest nasza nieostrożna miłość do piękna.

Ha Long nie jest już miejscem dziewiczym. Może nigdy nim nie była, bo żyli tu rybacy, piraci, handlarze, przewodnicy, dzieci i starcy. Ale nadal jest miejscem zdumiewającym. Nie dlatego, że zatrzymało czas, lecz dlatego, że mimo upływu czasu zachowało zdolność oczarowania. A to coraz rzadsze.

Świat jeszcze potrafi zdumiewać. Czasem wystarczy wpłynąć o świcie między wapienne wyspy i uwierzyć, że pod spokojną wodą naprawdę śpi smok.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródła Amazonki, survivalowym guru, uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl e248126c5c

JAECOO 8 SUPER HYBRID



FOT. JAP

Nie jest to ani Bentley, ani Aston Martin. A jednak dzięki dopracowanemu wzornictwu najnowszy flagowy model ze stajni Jaecoo na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie auta klasy premium. Futurystyczny, masywny grill, nowoczesne tylne światła LED i ładnie zarysowana linia nadwozia sprawiają, że gdybym jako prezes miał obok Jaecoo 8 stanąć dużo droższym mercedesem, to byłoby mi nieco wstyd.

Jaecoo 8 to SUV z napędem hybrydowym (Super Hybrid System). Pod maską kryją się aż cztery silniki: spalinowy (1.5 turbo) oraz trzy elektryczne. Moc to aż 428 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 580 Nm. To zaś pozwala rozpędzić auto mierzące ponad 4,8 m od zera do 100 km/h w zaledwie 5,8 s. Maksymalny zasięg wynosi z kolei ponad 1000 km.

Kabina jest bardzo przestronna, nowoczesna i luksusowa. Pierwsze skrzypce grają tu dwa ekrany (każdy o przekątnej 12,3 cala), otwierany elektrycznie dach panoramiczny oraz tapicerka ze skóry nappa. Jakość wykonania jest na wysokim poziomie. Zarówno przednie fotele, jak i tylna kanapa mogą być wentylowane lub podgrzewane. Podróżujący z przodu mogą dodatkowo włączyć sobie masaż (kilka programów do wyboru). W standardzie Chińczycy oferują też m.in. dwustrefową klimatyzację automatyczną, lakier metalizowany lub matowy, 20-calowe aluminiowe obręcze kół, sprzęt audio Sony z 14 głośnikami oraz bezprzewodową łączność z Apple CarPlay i Android Auto (niestety, połączenie bezprzewodowe nie za każdym razem działało tak, jak powinno).

Jaecoo 8 może poruszać się wyłącznie w trybie elektrycznym (tylko na prądzie może przejechać do 134 km) lub hybrydowym (HEV). To nie jest wyścigówka, lecz rodzinny SUV do długich podróży. W kabinie panuje błoga cisza, a aktywne zawieszenie świetnie tłumi wszelkie nierówności. Dzięki napędowi na obie osie można też śmiało zjechać z asfaltu. Do wyboru jest sześć trybów jazdy: oprócz normalnego, sportowego i ekonomicznego są również specjalne ustawienia na piasek, śnieg lub offroad (z elektroniczną blokadą dyferencjału). Podczas wakacyjnych podróży przydać może się też inna funkcja: Jaecoo może służyć jako powerbank, dzięki któremu na parkingu energią z baterii pojazdu zasilane są urządzenia zewnętrzne.

A wady? Po pierwsze, Chińczycy uparli się, by większością funkcji sterować z poziomu ekranu, co jest mało wygodne. Po drugie, widoczność do tyłu jest mocno ograniczona (pomagają boczne lusterka oraz zdemontowanie środkowego zagłówka). Trzeci minus: układ kierowniczy mógłby dawać kierowcy więcej czucia.

Bagażnik ma 488 l przy rozłożonych dwóch rzędach siedzeń, 148 l przy rozłożonym trzecim rzędzie oraz 2021 l przy złożonych dwóch tylnych rzędach.

Jaecoo 8 Super Hybrid występuje w jednym wariancie wyposażenia. Wszystkie udogodnienia są więc w standardzie. Cena różni się od liczby miejsc. W wersji pięcioosobowej kosztuje 219,9 tys. zł, a w wersji siedmioosobowej 224,9 tys. zł. ©℗

SONOS MOVE 2



Potężny, czysty dźwięk, eleganckie, minimalistyczne wzornictwo, odporność na imprezowe warunki oraz bardzo dobra bateria – to największe zalety najbardziej zaawansowanego głośnika amerykańskiej marki Sonos.

Wprawdzie nie jest to nowość, ale wciąż model ten uwzględniany jest w rankingach najlepszych głośników przenośnych. I chociaż do przenoszenia jak najbardziej się nadaje, to trzeba pamiętać, że jest to już całkiem spory kawałek głośnika. Mierzy 24,1 cm wysokości, 16 cm szerokości i 12,7 cm głębokości, a waży 3 kg (dla porównania: mniejszy Play waży 1,3 kg, a najmniejszy Roam 2 zaledwie 0,43 kg). Solidnie wykonany głośnik (producent zapewnia, że jest on odporny na upadki) wygląda elegancko. Ma też bardzo praktyczne wgłębienie, które może służyć za wygodny uchwyt.

A jak brzmi? Model wyposażony w trzy niezależne wzmacniacze klasy D potrafi zagrać czysto i głośno. Brzmienie jest pełne szczegółów. Dzięki architekturze akustycznej z dwoma głośnikami wysokotonowymi testowany model zapewnia też niezły, przestrzenny dźwięk. Instrumenty nie są za bardzo ściśnięte, jak zdarza się w przypadku niektórych konkurentów Sonosa. Move 2 potrafi również – dzięki wbudowanym mikrofonom – dokonać automatycznej kalibracji dźwięku do warunków otoczenia. Nie jest to jednak brzmienie perfekcyjne. W skali od 1 do 5 to raczej solidna czwórka.

Za jego pomocą można więc zrobić głośną letnią imprezę w salonie, na tarasie, w ogrodzie, na łódce lub przy ognisku. Ze źródłem dźwięku (np. serwisami streamingowymi jak Spotify, Tidal czy Apple Music) można go połączyć poprzez Wi-Fi 6, leciwy już Bluetooth 5.0 lub wejście liniowe (trzeba jednak dokupić w tym celu odpowiednią przejściówkę).

Wymienna bateria wystarcza na 24 godziny grania na jednym ładowaniu. Ładowanie odbywa się zaś za pomocą ładnie zaprojektowanej stacji dokującej (jest w zestawie).

Wady? Sonos Move 2 jest co prawda odporny na pył i wodę (klasa odporności to IP56), ale jego młodszy i tańszy brat Play może pochwalić się jeszcze lepszą ochroną (IP67). Play jest też istotnie mniejszy, a przez to wygodniejszy do spakowania na pikniki czy wakacyjne wyjazdy. Move 2 oferuje za to więcej basu i ogólnie nieco lepszy dźwięk.

Cena: 2069 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl e248126c5c

POCZET POLSKICH WODZÓW

Starosta od kozaków



JACEK KOMUDA

W historii Królestwa Polskiego i Rzeczypospolitej było trzech wybitnych wojowników i jednocześnie starostów kresowych, którzy skutecznie bronili ukrainnych prowincji przed Tatarami. A jednocześnie stali się organizatorami pierwszych formacji kozaków wykorzystywanych do walki z ordą i Turkami. Byli to: Eustachy Daszkiewicz, Bernard Pretficz i najstarszy z nich wszystkich Przecław Lanckoroński, ukazany nieco fantastycznie przez Jana Matejkę na obrazie „Hołd pruski" jako wojownik na koniu.

Znaczna część życia Lanckorońskiego to dziś białe plamy historii. Urodził się w zamożnej rodzinie szlacheckiej, jego ojcem był Stanisław Lanckoroński z Brzezia zwany Marszałkowicem, właściciel Lanckorony, Dobczyc oraz kilkunastu innych wsi w Małopolsce. Jego syn, w przeciwieństwie do wielu watażków i zagończyków, otrzymał staranne wykształcenie. Wiadomo, że podróżował po Europie, odbył nawet pielgrzymkę do Ziemi Świętej i uzyskał tytuł Rycerza Jerozolimskiego.

Przecław Lanckoroński, urodzony przed 1489 r., był dworzaninem Aleksandra Jagiellończyka, a potem jego brata – Zygmunta I. Po ojcu otrzymał starostwo lanckorońskie, a w 1514 r. Serocko i Laskowice w powiecie lubelskim. Niestety, razem ze spadkiem przejął także procesy o ziemię, której sporą część stracił. Jednak tak naprawdę Lanckoroński zasłynął dopiero w 1520 r., w czasie wojny polsko-krzyżackiej. Jest on wymieniany jako jeden z czterech rotmistrzów lekkiej jazdy strzelczej, którzy prowadzili działania wojenne przeciwko posiłkom przybyłym z Rzeszy



FOT. DOMENA PUBLICZNA

do Wielkiego Mistrza Albrechta Hohenzollerna pod wodzą Wilhelma Schönburga. Lanckoroński brał udział w starciach pod Tucznem i pod Wałczem, gdzie zasłużył się w bitwie. Jak pisze Marcin Bielski, Przecław mając przy boku zaledwie kilkunastu ludzi, wielokrotnie przebił się przez hufce niemieckie. Ostatecznie armia najemna rozpadła się pod Gdańskiem, niewiele szkodząc siłom polskim.

Ta odwaga została doceniona przez króla Zygmunta I. 23 października 1520 r. otrzymał prawo do wykupienia starostwa chmielnickiego składającego się z miasta i ośmiu wsi, a także rozkaz organizowania obrony Podola przed najazdami Tatarów. Lanckoroński zawiadywał tzw. strażą białogrodzką, czyli wysuniętymi placówkami polskimi na Dzikich Polach, nad granicą z Mołdawią i dalej, bliżej Białogrodu. Żołnierze ci rozbijali drobne oddziałki Tatarów, a w razie potrzeby zawiadamiali starostów i hetmanów o najeździe tatarskim. Lanckoroński, podobnie jak inni pograniczni starostowie, często urządzał własne „chadzki" na Dzikie Pola i do Chanatu, w których brali udział także pierwsi Kozacy zaporoscy – wówczas jeszcze zwykli stepowi rozbójnicy i hultaje. Największa z tych wypraw miała miejsce w 1528 r. Urządzili ją wspólnie Przecław Lanckoroński i Eustachy Daszkiewicz, starosta kaniowski i czerkaski, drugi sławny zagończyk i obrońca Korony. Obydwaj zgromadzili ok. 1,2 tys. ludzi – głównie pospolitego ruszenia ruskiej szlachty i kozaków – a potem uderzyli na Białogród i Oczaków, zdobywając 30 tys. sztuk bydła i 500 koni. Stoczono trzy bitwy, w czasie których rozgromiono siły tatarskie.

Wyprawa ta przyniosła Lanckorońskiemu wielką sławę. Starosta ze zdwojoną siłą rozpoczął organizowanie kolejnych wypraw. Nie zostało mu jednak zbyt wiele życia. W roku 1530 odrestaurował miasto Chmielnik, odbudował jego fortyfikacje i umocnił zamek. Już rok później wybuchła wojna z hospodarem mołdawskim Rareszem, który usiłował zagarnąć należące do Korony Polskiej Pokucie. Przecław Lanckoroński otrzymał od króla rozkaz obrony zamku chmielnickiego, jednak nie zdołał go wykonać. 10 czerwca 1531 r. zmarł w Krakowie, nie pozostawiając po sobie żony ani dzieci. Starosta chmielnicki pokazał drogę, którą po nim podążało wielu stepowych szlachciców, starostów i watażków żyjących wieczną wojną podjazdową z Tatarami, szarpiących ich ułusy i przechwytujących szybkie czambuły. Ten kresowy żywot zagończyków zwykle stawał się dla nich celem i sposobem życia, niewielu z nich zakładało rodziny, w większości umierali bezpotomnie, a ich urzędy i godności przejmowali krewni lub następcy – często wychowani i przygotowani za życia przez stepowych starostów zagończyków. Lanckoroński był historycznie pierwszym z nich i miał czysto polskie pochodzenie. Warte to zapamiętania. ©℗

eprasa.pl e248126c5c



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kolacja na długie, lipcowe wieczory

Lato w Polsce może mieć różne oblicza – od pięknych, wygrzanych słońcem i pachnących lipami długich, jasnych wieczorów, po deszczowe i chłodne, wręcz zimne quasijesienne aury.

W obu przypadkach powinniśmy wprowadzić do wakacyjnego menu lekką, niezbyt późną kolację najlepiej obfitą w soczyste młode warzywa czy lekkie makarony z dodatkiem owoców morza. Bo nie ma lepszej pory niż wakacje, aby jeść lekko i kolorowo, a długie wieczory pod lipą aż proszą się o towarzystwo czegoś do przekąszenia. Podobnie gdy zmoknięci i zziębnięci wracamy ze spaceru po bałtyckiej plaży i marzymy o czymś więcej niż tylko kubek gorącej herbaty. Korzystamy z tego, co sezonowe, bo smakuje najlepiej, więc tym razem zaproponujemy fasolkę szparagową z parmezanem i czosnkiem. Fasolka szparagowa kojarzy się z latem i najlepiej smakuje latem, nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Tradycyjnie podajemy ją z tartą bułeczką podsmażaną na maśle albo bez niczego. Fasolka ma do tego wspaniałe właściwości – nie dość, że jest niskokaloryczna (35 kcal/100 g), to wspomaga odchudzanie; jest również bogatym źródłem błonnika, potasu i kwasu foliowego oraz witamin A, C i K. Szybko się ją przyrządza i można z niej wyczarować letnią warzywną zupę czy dodać do duszonego mięsa.

Fasolkę można przyrządzić nawet na jednym palniku w warunkach kempingowych, a jeśli mamy więcej czasu, miejsca i ochoty, to dołożyć do tego możemy sałatkę albo grzanki z pastą ze świeżych pomidorów.

Fasolka szparagowa żółta jest delikatna, nieco maślana w konsystencji – wybierajmy młodą, bez widocznych włókien i łyka. W każdym wypadku należy ją obrać, odciąć końcówki i ugotować w osolonej wodzie. Następnie podsmażamy ją leciutko na maśle, a zamiast bułki tartej posypujemy startym parmezanem, dodajemy odrobinę przeciśniętego przez praskę czosnku i oczywiście coś zielonego: mogą to być liście bazylii albo świeżej młodej natki pietruszki czy koperku.

Możemy też zrobić grzanki z pomidorami. Pokrojone w kostkę pomidory – nadaje się do tego zwłaszcza odmiana „jajo" – podduszamy na oliwie pół na pół z masłem z młodą cebulką. Sól, pieprz do smaku. Pod koniec podsmażania – maksimum na pół minuty – dodajemy ząbek świeżego czosnku. Grzanki smarujemy takim sosem i podajemy z fasolką.

Czosnek może być wartościowym składnikiem tego dania w kontekście przeziębień, których nieostrożnie możemy się nabawić, wygrzewając się na plaży. ©℗



FOT. ADOBESTOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czy będzie padać?

Kiedyś był stary góral, następnie – Wicherek (to dla najstarszych – telewizja lat 60. i 70.). Po poczciwym Wicherku nastąpiła seria pań pogodynek. Na bardzo wysokich obcasach pokazywały one patyczkiem lub paluszkiem coś na mapie, przemierzając przestrzenie, na których huśtały się i wpadały na siebie kręgi zwane fachowo niżami i wyżami. Nikt nie rozumiał, o co chodziło, a na pytanie, czy jutro będzie słońce czy deszcz, panie na obcasach nie umiały odpowiedzieć.

Czy prognozy oszukują? Te rządowe, które raz po raz rozsyłają po kraju idiotyczne alerty, na pewno. Alert, bo będzie gorąco. Alert, bo będzie burza. Alert, bo będzie deszcz. Wszystkie te SMS-y natychmiast usuwam, co jest i tak uprzejmym ich traktowaniem, ponieważ nadają się one tylko do wsadzenia w dobrze wszystkim znane miejsce.

Jestem fanką prognoz, nawet od nich w pewnym sensie uzależnioną. Z całą świadomością ich omylności, a nawet bezużyteczności sprawdzam różne: norweską, matematyczną, firmową z iPhone'a, AccuWeather, Weather Underground... Co chwila ktoś mi podsyła nową, zapewniając, że zawsze się sprawdza...

Mądrzy ludzie mówią, że nie trzeba się martwić tym, na co i tak nie mamy wpływu. Łatwo powiedzieć. Nie mam wpływu na pogodę, ale wciąż się zamartwiam, że za mało jest opadów. Ktoś taki nazywa się pluwiofil, osoba uwielbiająca deszcz. Wciąż czekam na deszcz, wydaje mi się, że zawsze jest go za mało, ładna pogoda wprawia mnie w pełne irytacji wyczekiwanie.

W czasach, kiedy susza stała się problemem światowym, każdy z nas powinien zostać pluwiofilem. To co prawda sprawie by nie pomogło, ale chociaż by może uwrażliwiło na problem braku wody. Mojej obsesji deszczu towarzyszy raczej pożyteczny objaw: obsesyjne oszczędzanie wody. Kiedy mąż zabiera się do zmywania, co chwila podbiegam z krzykiem, że za dużo leje. Doprowadza to oczywiście do awantur. Kiedy w mojej obecności pani doktor laryngolog zostawiła otwarty kran, po czym oddaliła się, żeby coś zrobić przy biurku, miałam ochotę rzucić się na nią z nożem. Jednak nie mam noża i nie mam zwyczaju rzucać się na laryngologów nieoszczędzających wody. Zwróciłam tylko grzecznie uwagę. Pani doktor przyjęła.

Znajoma mieszkająca przez jakiś czas w domku nad morzem bez wodociągu musiała przynosić wodę z pompy kilkaset metrów dalej. Wtedy nabrała zwyczaju skrajnego oszczędzania wody: pięć litrów na prysznic razem z głową (krótkie włosy). Zapamiętałam tę statystykę, polecam wszystkim. Między pogodą a prysznicem zachodzi wszak korelacja.

Jedno wiem na pewno – że w przyszłym życiu zostanę meteorologiem. ©℗

eprasa.pl e248126c5c



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Rasizm à rebours

Włosi przeżywają głęboką futbolową traumę. W największym piłkarskim święcie, dobiegającym powoli końca, porażającym gigantomanią mundialu (48 drużyn w trzech państwach), Italia, czterokrotny mistrz świata, nie gra. I to od 12 lat. Trzeba tu żyć, żeby pojąć rozmiary społecznego, kulturowego i quasireligijnego zjawiska, któremu na imię calcio. Na pierwszych 22 miejscach imprez najliczniej oglądanych we włoskich telewizjach są mecze futbolowej reprezentacji. Dopiero na 23. plasuje się kultowy festiwal piosenki w San Remo. Jeśli chodzi o język, to terminologią futbolową opisywanych jest wiele zjawisk i zachowań niemających z piłką nic wspólnego. Na przykład „wejść z wysoko podniesioną nogą" oznacza również gwałtowne, brutalne zachowanie albo opryskliwość.

Poczucie klęski i poniżenia jest ogromne, zwłaszcza że Włochów wyeliminowała Bośnia i Hercegowina, a w mundialu zagrali (i to świetnie) piłkarze z Wysp Zielonego Przylądka. W efekcie, po ciągnących się ponad dwa miesiące potępieńczych swarach, doszło do rewolucji w związku futbolowym. Teraz trwają dyskusje, jak odbudować włoski futbol.

Postępowy szef Rady Trenerów Renzo Ulivieri zaproponował wprowadzenie numerus clausus. Jak się elegancko wyraził: „Trzeba pięciu–sześciu czarnych", czyli wprowadzenia regulacji, na mocy której w składzie włoskiej reprezentacji musi być pięciu–sześciu „kolorowych". Za przykład postawił Francję. Wskazał, że choć bez specjalnych przepisów, we francuskiej reprezentacji od lat grają dzieci migrantów z Afryki, a w wygranym finale MŚ w 1998 r., gdy odrodził się francuski futbol, zagrało ich właśnie pięciu.

Ideę natychmiast poparła włoska lewica. Aldo Cazzullo, wybitny intelektualista i komentator „Corriere della Sera", postawił diagnozę, że właśnie przez brak otwarcia na migrantów Italia nie gra na mundialu. Przy tym tak się rozpędził, że zaproponował, aby propozycję trenera Ulivieriego rozszerzyć i stosować w odniesieniu do innych, pozasportowych dziedzin, np. w edukacji czy przy naborze do pracy w siłach bezpieczeństwa. Spytał dramatycznie: „Na co czekamy?!". Nie wiem, jak z edukacją, ale wiem, że dzieci migrantów do włoskich sił bezpieczeństwa specjalnie się nie garną, chyba że z kamieniem w ręku podczas demonstracji.

Jeśli zaś chodzi o futbolowe meritum sprawy, to obaj postępowi mężowie opowiadają koszałki-opałki. Prawdziwy problem leży w tym, że we włoskiej Serie A aż 71 proc. graczy to obcokrajowcy (w hiszpańskiej La Liga 37 proc.), więc faktycznie tu numerus clausus by się naprawdę przydał, ale prawo unijne nie pozwala. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Pakiet ministra Sybihy

Do Polski przyjechał szef MSZ Ukrainy, Andrij Sybiha, po to, by znowu zwodzić Polaków. Piszę znowu, bo z taką misją – grania na czas – przyjechał swego czasu drugi człowiek Ukrainy, były szef wywiadu, Kyryło Budanow. I wtedy, i dziś te wizyty zamulały i zamulają istotę konfliktu, dają czas na ogarnięcie się wyłącznie Kijowowi i utrzymywanie sporu z Polakami w wygodnym obszarze pamięci, byle daleko od realnych spraw.

Przepatrzmy zawartość „pakietu pojednawczego", który przywiózł szef ukraińskiego MSZ. Mamy tam trzy punkty: po pierwsze – inicjacja konsultacji pomiędzy MSZ obu państw, po drugie – kontynuacja dialogu historyków w formacie spotkań z maja tego roku, po trzecie zaangażowanie Kościołów obu państw, by wykorzystać ich autorytet do procesu pojednania.

Wielkie mi mecyje, że dyplomaci zaczną ze sobą rozmawiać! To oni nie rozmawiali do tej pory ze sobą?! Polska z Ukrainą? Przy takiej skali pomocy? Co oni tam, w Kijowie, z zaskoczeniem odbierali pociągi niespodzianki z uzbrojeniem i socjal dla ukraińskiej diaspory w Polsce? To jakaś paranoja taka deklaracja.

Kontynuowanie spotkań historyków w formacie z maja tego roku? Tak? A zaglądał ktoś do tego „formatu"? Chodzi o to, że w dniach 6–8 maja w Baranowie Sandomierskim spotkało się ze 100 historyków z każdej strony i jedyne, co ustalono, to początek (sic!) prac nad „mapą drogową", czyli ustalono, jak będziemy pracować nad tematem, jak będziemy pracować. Zero konkretów, jedyny przedmiot (nierozstrzygniętego!) sporu wśród historyków to było to, czy wypadki na Wołyniu nazywać zbrodnią (to Polacy) czy tragedią (to oczywiście Ukraińcy). Czysta gra na czas.

Pozostało odwołanie się do hierarchów. Ci już – w Polsce – stwierdzili, że przebaczają i proszą o przebaczenie. Pytanie tylko – w czyim imieniu? Już w 2023 r., w przymiarkach do obchodzenia (chyba bokiem…) rocznicy rzezi wołyńskiej, powołano się na kojący dialog obu Kościołów. I co? Prezydent Zełenski zaostrzył swój kurs w stosunku do Polski, co zwieńczył wiadomym aktem upowskiego wyniesienia. Jeśli takie mają być wyniki dialogu tych kościelnych autorytetów, to należy chyba podziękować i panu Sybisze, i polskiemu MSZ za starania.

Ukraińcy grają na czas i zmiękczenie, podczas gdy niesławne jednostki będą dalej tuliły sztandary UPA, Luftwaffe czy Nachtigall, a trumna Bandery wjedzie (którędy?) na Ukrainę, wprost w państwowe obchody pamięci hitlerowskich kolaborantów. My skupimy się na tym, a zboże techniczne wciąż będzie napływać do Polski. I chyba o to właśnie chodzi. ©℗

eprasa.pl e248126c5c



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Tajemnica ukraińskich przebudzeń

Niezwykłej aktualności nabrał w ostatnich czasach oparty na prawdziwych wydarzeniach amerykański dramat filmowy zatytułowany „Przebudzenia" („Awakenings", 1990). Film opowiada historię neurologa, opiekującego się grupą pacjentów, którzy 50 lat wcześniej zapadli na tajemniczą chorobę

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



zakaźną o nazwie „encephalitis lethargica". Pogrążyli się wtedy w stanie katatonicznej śpiączki. Ich stan uległ gwałtownej i niespodziewanej poprawie, kiedy odważny lekarz podał im lek o nazwie L-dopa. Ludzie, którzy niedawno jeszcze wydawali się niezdolni do złożonych procesów poznawczych, a nawet prostej komunikacji z otoczeniem, zostali, nagle, wybudzeni z marazmu i otępienia. Ich żywiołowa ciekawość świata i umiejętność dziwienia się wszystkiemu dostarcza widzom „Przebudzeń" intensywnych filmowych wzruszeń.

Bardzo podobne wrażenie odnoszą dziś odbiorcy wywiadów, udzielanych przez czołowych polskich „ekspertów" i analityków spraw wschodnich. Wieloletni pracownik Ośrodka Studiów Wschodnich, kierownik Zespołu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii, następnie dyrektor tego Ośrodka, Wojciech Konończuk ogłosił w radiowej Trójce: „Jestem zaskoczony stopniem nastrojów antypolskich w Ukrainie: zajmuję się stosunkami dwustronnymi od 20 lat, ale nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziałem – zarówno w mediach, jak i w sieciach społecznościowych widać falę wręcz nienawiści wobec Polski". Wielokrotnie podkreślał on swoje zaskoczenie, zdumienie i wstrząs wywołany sytuacją na Ukrainie. „Po 1991 r. tak źle nigdy nie było. Obecny wybuch miał jednak swoją prehistorię" – przyznał skonfundowany dyrektor, wskazując na sprawę wstrzymywanych od dawna ekshumacji na Wołyniu. Pamiętać warto, że analizowanie i prognozowanie nastrojów społecznych u naszych wschodnich sąsiadów należy do podstawowych zadań Ośrodka i właśnie za umiejętność przewidywania tych procesów pobierają swe pensje pracownicy OSW.

Podobnymi rewelacjami podzielił się były już pracownik OSW, doradca szefa Agencji Wywiadu, ambasador Polski na Ukrainie (2019–2023) Bartosz Cichocki. Odkrył on, że Polacy od 1991 r. są „systemowo dyskryminowani przez państwo ukraińskie". „Nie dochodzi do ulicznych pobić, ale może dochodzi do czegoś gorszego. Wierni nie mają prawa odzyskać kościołów. Szkolnictwo polskie jest ograniczane itd." – oznajmił ambasador. „Wszyscy, którzy podróżują, którzy mają kontakty i rodzinne związki, wszyscy to doskonale wiedzą. Im bliżej granicy z Polską, tym gorzej". Dziwić może zaskoczenie i szok, do którego przyznaje się także Bartosz Cichocki. „I nagle, z niezrozumiałych dla nikogo przyczyn, nawet na Ukrainie […], wynosi się na cywilne ołtarze UPA i Andrija Melnyka. I to powoduje w Polsce szok i wyolbrzymienie reakcji".

Historia opisana w filmie „Przebudzenia" nie kończy się happy endem. U pacjentów pojawiły się silne skutki uboczne, następnie zaś nieszczęśnicy wrócili do stanu sprzed leczenia. Medycyna nie zna patogenezy epidemii „encephalitis lethargica". Mógł to być jakiś wirus lub inny, tajemniczy czynnik.

Polscy eksperci od Ukrainy demonstrują nam dzisiaj analogiczne objawy gwałtownego ustępowania, łagodniejszych, na szczęście, zaburzeń poznawczych. Dają one powody do radości i gratulacji. Jak jednak sprawić, by remisja była trwała? Zacząć trzeba od ustalenia przyczyn choroby. Jak podejrzewa w swojej ostatniej książce znakomity krakowski historyk, prof. Andrzej Nowak, szkodliwe dla polityków patogeny mogą do organizmu docierać nawet tak pozornie niewinnym sposobem, jak przez pocałunek w dłoń. Czy polscy „eksperci" od Wschodu przy okazji wizyt w gabinetach ministrów, przywódców partyjnych i sojuszniczych ambasadorów nie narażali swojego zdrowia na szwank w opisany przez prof. Nowaka sposób? Czy z detektywistycznych podejrzeń wykluczyć możemy i inne części ciała, których nazwa, jak dłoni, zaczyna się na „d"? ©℗

eprasa.pl e248126c5c



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Losy Klubu Krów i Byków

W roku 1945 grupa studentów i absolwentów SGH, Szkoły Głównej Handlowej, funkcjonującej w latach 1949–1991 jako SGPiS, założyła towarzyską grupę, nazwaną Klubem Krów i Byków, wywodzących się – jak pisała potem o nich bezpieka – ze środowisk „reakcyjnych" – inteligenckich, mieszczańskich, byłych członków AK, powstańców warszawskich, zwolenników PSL Mikołajczyka, którzy chcieli odreagować wojenną przeszłość i wreszcie się bawić. W „byczych melinach" – prywatnych mieszkaniach Byka Prezesa i Byka Wiceprezesa – organizowali „bycze ochlaje", brydże, swawolne tańce. Nad tapczanami wywiesili napis: „Warsztat pracy nr 1, maksymalne obciążenie 4 osoby, jazda bez dźwigowego wzbroniona", zarzucano więc im później rozpustę i wyuzdanie, ale niczego takiego nie było, nie brakowało młodych małżeństw i zakochanych par, powołano sekcję krów jałowych, seksualnie wstrzemięźliwych. Nie ograniczali się jednak do „ochlajów" w byczo-krowim towarzystwie, inteligentni, oczytani, przedwojennego jeszcze chowu, reagowali na nową rzeczywistość, propagandowe, komunistyczne hasła i slogany, komiczną dla nich nowomowę. Przedrzeźniali je, wyśmiewali, urządzając własne, swoiste bycze kabarety. Lansowane hasła współzawodnictwa pracy parodiowali współzawodnictwem na polu pijackim i seksualnym, uaktywnienia pozamałżeńskiej płodności i regionów seksualnie oraz pijacko zaniedbanych.

Partyjne samokrytyki wykpiwali samokrytykami swoich pijackich „ochlajów". Na apele i kongresy pokoju odpowiadali zbieraniem podpisów pod apelami o seksualne nowatorstwo, uznanie krów odmawiających picia wódki za szkodnice gospodarcze, zwołaniem kongresu niepokoju seksualnego. W 1948 r., po zjednoczeniu PPR i PPS, zorganizowali zjazd zjednoczeniowy klubów krów i byków założonych przez ich przyjaciół w Gdańsku, Poznaniu i Łodzi. Na partyjne odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne odpowiadali walką z odchyleniami małżeńskimi i seksualno-pijackimi. Po sloganach o udostępnianiu szerokim masom wiedzy i kultury inscenizowali przedstawienia, np. „Hrabia, hrabini i ta Wiśniewska", czy odczyty „W dobie penicyliny miłość rozrywką mas".

Partyjne samokrytyki wykpiwali samokrytykami swoich pijackich „ochlajów", a hasła współzawodnictwa pracy parodiowali uaktywnieniem pozamałżeńskiej płodności

Bawili się też, układając umieszczane na planszach hasła typu: „Stój Halina – chuj Stalina" czy też kalambury powstające z przestawiania liter, np. „Hamuję rozwój Tuji – Tamuję rozwój huji", „Kot Londona – Lot kondona", „Konstytucja w progu – Prostytucja w progu", „Szal w balecie – Bal w szalecie". Przedrzeźniając państwowe pogrzeby komunistycznych oficjeli, zaprosili klubowiczów na pogrzeb Byka Prezesa (odznaczonego Wielką Byczą Wstęgą z Krzyżami) z następującym programem: „1. Odebranie prezentów pogrzebowych – podstaw stypy; 2. Przedśmiertny kieliszek Byka Prezesa, ostatnie słowa, pożegnalny „numerek", puszczenie ostatniego bąka, wydanie ostatniego tchnienia; 3. Złożenie zwłok na katafalku, rozpacz kochanek, radość rywali, ewentualne wymiotki na trumnę; 4. Pośmiertne mycie członka (Prezydium Klubu Byków), ubranie zwłok; 5. Akademia żałobna, referat o znaczeniu Zmarłego w życiu ideologicznym Klubu; 6. Eksportacja zwłok z byczej meliny do Byczego Grobowca w Alei Zasłużonych Cmentarza Polskiego Monopolu Spirytusowego. W wyniku współzawodnictwa Pracy Byczej Spółdzielni Pogrzebowej, »Z uśmiechem do trumny«, uroczystość odbędzie się przed terminem, 1 kwietnia 1950 r.".

Po donosie uczelnianego „stukacza" w styczniu 1951 r. zostali aresztowani, przesłuchiwani przez śledczych z UB, którzy zarekwirowali też dowody „przestępstw" – księgę pijacko-noclegową z podpisami gości, plansze z kalamburami. Oskarżono ich o utworzenie nielegalnej organizacji i wyszydzanie ustroju PRL, szerzenie deprawacji niezgodnej z socjalistyczną moralnością. Zmuszano do przyznania się, że montowali antypaństwowy spisek, choć zgodnie przyznawali, że cel klubu był wyłącznie towarzysko-rozrywkowy. Sprawę nadzorował Hilary Minc, jedna z czołowych postaci ekipy Bieruta. Sądziła ich stalinowska Komisja Specjalna do walki z nadużyciami, szkodnictwem gospodarczym i tzw. szeptanką. Orzekała w trybie przyśpieszonym, bez prawa do obrony i apelacji. Prowodyrów – Byka Prezesa i Byka Wiceprezesa – ukarano dwoma latami ciężkiego obozu pracy w Mielęcinie pod Włocławkiem, absolwentów – wyrzuceniem z pracy z wilczym biletem, studentów – relegowaniem z uczelni, bez prawa wstępu na inne. Złamanym życiem. © ℗

Korzystałam z książki „Szeptane procesy. Z działalności Komisji Specjalnej 1945–1954", wyd. Baobab.

eprasa.pl e248126c5c

NA SZCZYCIE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W roku 1964 Chevrolet postawił jeden ze swoich samochodów osobowych na szczycie skalnej szpilki (Castle Rock) na pustyni Moab w stanie Utah. Spektakularne pustkowie i w tym pejzażu czerwona Impala z otwieranym dachem, a w aucie piękna pani w białej sukni. Sfilmowali to z góry tak, że zapierało dech w piersi, a człowiek się zastanawiał, czy ta babka z samochodem zaraz spadnie. Skała wysoka, ściany pionowe, na czubku miejsca tyle, że mógłbyś zmieścić jedną ciężarówkę – więcej nie ma gdzie.

Amerykanie byli dumni z tej reklamy, z jej rozmachu. Takie rzeczy tylko w Ameryce! Jaką trzeba mieć fantazję, by wymyślić coś takiego! Przychodzi spec od reklamy i mówi: „Postawimy prawdziwe auto na czubku tej skały, potem dostarczymy tam modelkę, potem będziemy latać dookoła helikopterem z kamerą i operatorem wywieszonym przez boczne drzwi…". A prezes firmy mówi po prostu: OK.

W Ameryce nie ma odpowiedzi: „Szefie, ale tego się nie da zrobić". Amerykanie od razu przechodzą w tryb „Jak to wykonać". Oni po prostu uważają, że wszystko, cokolwiek wymyślisz, zawsze da się wykonać, dokonać, pokonać. Na tym polegają amerykański duch i wyjątkowość tego kraju. USA przyciąga taki typ ludzi, a nawet gdy ktoś nie jest takim typem, to w Ameryce szybko uczy się, że każdy sen da się zrealizować niezależnie od tego, jak bardzo jest szalony.

Stany Zjednoczone to kraj, gdzie jest najwięcej ludzi, którzy odnieśli sukces na skalę światową. Jest też najwięcej milionerów, miliarderów, a nawet pierwszy w historii świata bilionerem (Elon Musk). USA ma najwięcej Nagród Nobla (425), a Chiny, o populacji trzykrotnie większej niż USA, mają tylko siedem. Można twierdzić, że to dlatego, że Ameryka kupuje sobie ludzi sukcesu, w tym także przyszłych noblistów, czyli sprowadza najlepsze mózgi i talenty z całego świata. W porządku, ale Chiny też mają kupę forsy. Dlaczego więc nobliści nie dają się kupić do Chin? To kwestia ducha Ameryki – ludzie twórczy chcą się przeprowadzić do USA i tam pracować, ale nie do Chin, bo wiedzą, że w Ameryce zrealizują swoje najbardziej szalone pomysły, projekty, wynalazki.

***

W USA każda przeszkoda jest do pokonania. Gdy prezydentem był Ronald Reagan, przeszkodą była żelazna kurtyna, a symbolicznie – berliński mur. Upadek komunizmu w Europie i rozpad Związku Sowieckiego to jego zasługa.

Reagan ma swoją bibliotekę prezydencką. Zbudował ją w górach w Kalifornii i postanowił umieścić wewnątrz budynku samolot prezydencki, który wyszedł z użytku, gdy go wymieniono na nowszy. Rozkręcili, przywieźli w kawałkach, skręcili i jest. Dało się zrobić. Chodzisz po muzeum i w jednej z sal stoi pełnowymiarowy Boeing Air Force One.

Jest też replika Gabinetu Owalnego. Gdy ją budowano, inżynierowie popełnili błąd w kalkulacjach. Poszli do Reagana i mówią, że z powodu grubości stropów replika Gabinetu będzie musiała być o kilka procent niższa od oryginału, ale nikt nie zauważy różnicy, bo przecież mało kto ze zwiedzających był w prawdziwym Gabinecie Owalnym. Reagan zastanawiał się tylko kilka sekund. „Sufit za nisko? To kopcie w dół".

W USA nie ma rzeczy niemożliwych. Skoro nie dało się podnieść stropu, to Reagan kazał obniżyć podłogę.

***

Amerykańska wyjątkowość (exceptionalism) – określenie oficjalne i urzędowo stosowane w USA. To ten ich duch, ten ich rozmach i fantazja powodują, że cały kraj jest obiektywnie wyjątkowy i oni się tym chwalą z radością i z dumą. Gdy europejscy politycy odnoszą się do tego terminu/zjawiska, robią to z wyrzutem lub pogardą: „Ach, ci Amerykanie, którzy obnoszą się z tym, że są tacy wyjątkowi". Hm. Może to niesmaczne dla kogoś, kto ceni lub udaje skromność, ale mimo to prawdziwe. Amerykanie lubią się chwalić. W ich kulturze wypada się chwalić, gdy masz czym. W ich kulturze opowiadanie o sukcesach należy do dobrego tonu. W złym tonie jest gadanie o porażkach, o kłopotach, o tym, że dzisiaj się trochę gorzej czujesz…

***

Reklamę Szewrolety ustawionej na skalnej szpilce powtórzono w roku 1974 – tym razem auto było w kolorze niebieskim. A w roku 2026 podnieśli na szczyt pikapa Silverado. Bardzo amerykańskie auto – pikap.

Mogli zastosować współczesne techniki komputerowe i nikt by się nie zorientował, ale w Ameryce liczy się ten ich wyjątkowy duch, to musiał być wyczyn, nie imitacja. Prawdziwy helikopter, w bardzo trudnych warunkach (wiatry pustyni) podniósł prawdziwy samochód na szczyt prawdziwej skały.

Reklama Impali z roku 1964 to do dziś najbardziej ambitna reklama samochodu w historii świata – auto na szczycie skały sterczącej w niebo, a w samochodzie modelka w białej sukni. Zdjęcia plenerowe, aby były ładne, robi się tylko rano i po południu – przy niskim słońcu. Górne światło powoduje, że jest szaro. Na pustyni rano i wieczorem zawsze wieje – powietrze zmienia temperaturę szybciej niż skały. Modelka po nagraniu reklamy musiała zostać na noc na szczycie, bo helikopter nie był w stanie zdjąć jej przy porywistych wiatrach.

Z modelką nocował ratownik, miał koce, wodę. Spali w samochodzie. Nie znalazłem informacji, gdzie ten ratownik się chował, gdy kamera w helikopterze latała dookoła góry i pokazywała całą tę scenę bez cięć. Czy on w trakcie zdjęć siedział w bagażniku? Czy dopiero wieczorem, szarpany wiatrem, wspiął się na linach po pionowej skale?

***

W reklamie z roku 2026 zamiast modelki na tylnej klapie pikapa Silverado siedzi piosenkarka country z gitarą i śpiewa tę samą piosenkę, która reklamowała Szewrolety od roku 1950. Urocza, bardzo przyjemna melodia wpada w ucho tak bardzo, że jesteś ją w stanie zanucić po pierwszym przesłuchaniu, a do tego słowa oddają ducha Ameryki: „See the USA…". Można to przetłumaczyć na kilka sposobów, ale z kontekstu piosenki wynika: „Podziwiajcie Amerykę". ©℗

eprasa.pl e248126c5c

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~725 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 418 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e248126c5c

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl e248126c5c